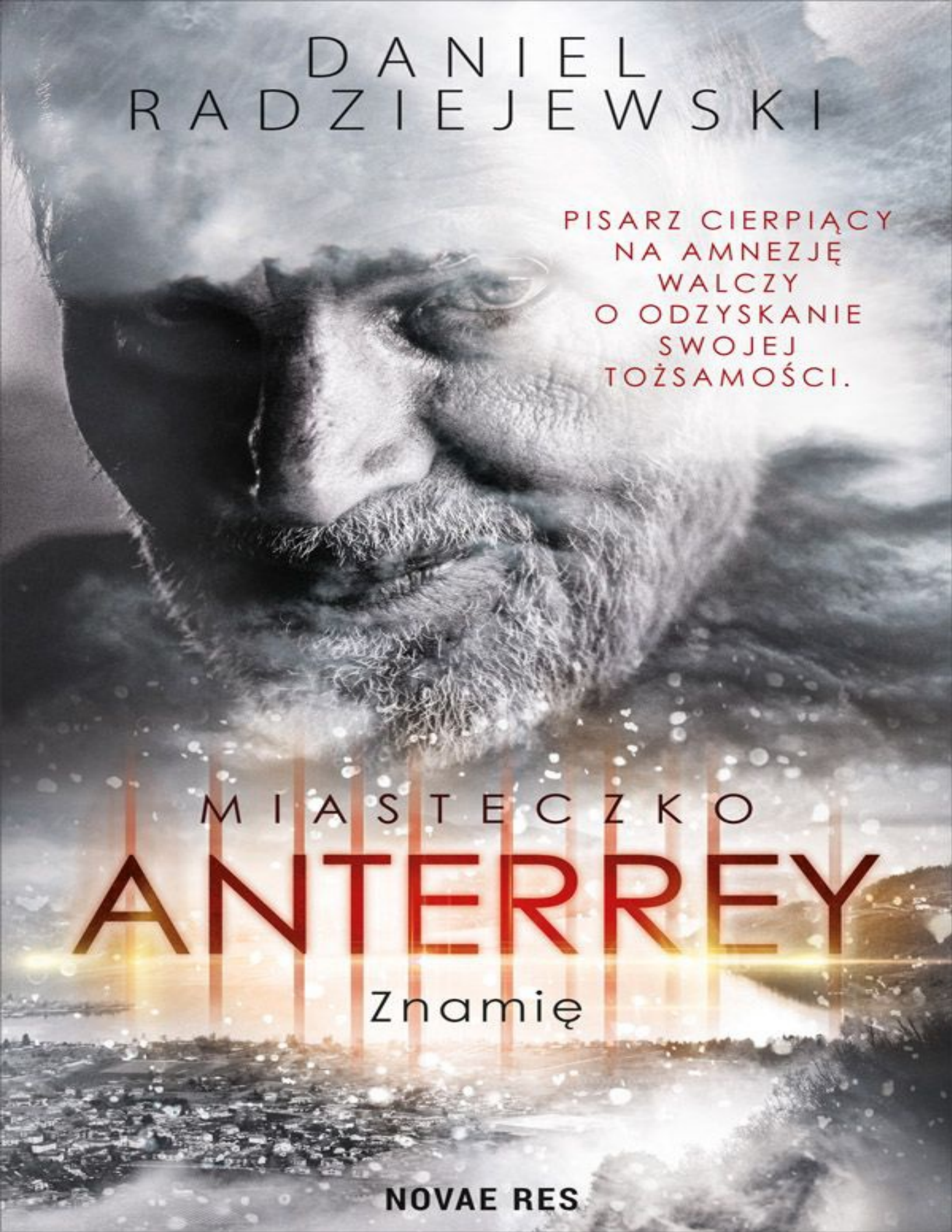
DANIEL
RADZIEJEWSKI
PISARZ CIERPIĄCY
NA AMNEZJĘ
WALCZY
O ODZYSKANIE
SWOJEJ
TOŻSAMOŚCI.
MIASTECZKO
ANTERREY
Znamię
NOVAE RES

DANIEL RADZIEJEWSKI

MIASTECZKO ANTERREY

Znamię

NOVAE RES

Dziękuję mojej Rodzince za całokształt.
Specjalne podziękowania zechcą również przyjąć Koleżanki Joanna Małolepsza oraz Edyta Gangata – za pomoc w końcowych pracach nad manuskryptem.

HISTORIA NIE DO KOŃCA ZMYŚLONA…

SPIS TREŚCI

PROLOG

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

EPILOG

PROLOG

Historia Anterrey sięga tysięcy lat wstecz. Przestrzeń niczyja, kamienista płaszczyzna zrodziła to tajemnicze miasteczko za sprawą grupy mędrców – wędrowców o nadludzkiej wrażliwości i wewnętrznej duchowej mocy, jakich nie posiadał żaden inny śmiertelnik. Przebyli setki wyżyn i dolin, by zatrzymać się właśnie tutaj, na końcu świata, tuż przed samym Królem, który władał tym, co wieczne. Wszyscy czuli, że w tym miejscu kończył się doczesny bieg, a krok dalej niewidzialne wrota dawały początek niekończącej się wędrówce. Nikt nie oddawał Mu czci za życia w przedziwnych obrzędach w obawie przed potępieniem. Żyli w zgodzie z naturą, jedząc i pijąc to, co zrodziła ziemia, bez wyrządzania krzywd i sprowadzania nieszczęść. Legenda głosi, że to jedyny punkt na ziemi, gdzie granica między życiem a śmiercią jest niczym tysięczna część włosa. Bo każdy, kto tu osiądzie, jest wciąż żywy, lecz jakby poza egzystencją. Miejsce to nazwano „Przed Królem", choć nikt nie pamięta już pierwotnej nazwy miasta, w języku znanym jedynie tej niezwykłej wędrownej komunie. „Przed Królem" ewoluowało w każdej mowie i każdym piśmie, aż wreszcie, za sprawą silnych wpływów latynoskich, przybrało nazwę „Anterrey". Z biegiem lat ze wszystkich zakątków świata przybywali nowi wędrowcy, by osiąść właśnie tutaj. Skąd wiedzieli o tym miejscu, nie wiadomo. Mówi się, że ma ono niewytłumaczalną moc, magiczną energię, która przyciąga niektóre jednostki,

jak tylko przyjdzie na nie pora w zaplanowanym porządku wszechświata.

ROZDZIAŁ 1

Deszcz nie ustawał. Fale oceanu odbijały się od linii brzegowej, napierając na szeroki pas mokrego piasku. To nie była jedna z tych plaż ciągnących się po horyzont, od samej północy, aż po krańce południa. Wręcz przeciwnie, zajmowała niewielką powierzchnię i stanowiła trudno dostępną enklawę, uwięzioną w skalnym półokręgu z wyrastającymi konarami, wysokim na dwanaście metrów. Ale ludzie i tak tam chodzili.

Krople rozbryzgiwały się o twarz mężczyzny, wsiąkały w czarną kurtkę i wytarte dżinsy. Przedzierały się przez czuprynę i mieszając się z rozrzedzoną krwią z rozbitej czaszki, wolno wsiąkały w grunt. Leżał nieruchomo na plecach, rozpostarty u stóp skalnego progu. W odkrytej szyi coraz wolniej pulsowało życie. Samochody policyjne ustawiły się rzędem przy samym brzegu przepaści. Warkot motorówki wyłonił się z nicości i rósł z każdym uderzeniem fal o brzeg. Dziób jeszcze dobrze nie osiadł na piasku, a czwórka młodych ratowników w niebieskich uniformach już biegła w stronę mężczyzny, ściskając w dłoniach nosze. Postaci pochyliły się nad ciałem i w mgnieniu oka przystąpiły do reanimacji. Szybkie uciski na klatkę piersiową przywracały świadomość. Dusza nieprzytomnego człowieka powracała do sfery profanum. Z przytłaczającej, niemej ciemności wyłoniły się niezrozumiałe dla mężczyzny obrazy.

Na tle szerokiej fontanny stała piękna kobieta. Papierowe żaglówki

przesuwały się po tafli wody mieniącej się promieniami słońca. Jeszcze dalej okazały, poprzecinany ścieżkami park otaczał spokojem spacerujące pary. Blask słońca rzucał się na trawniki, kwitnące kwiaty i drzewa. Kobieta ubrana była w kremowy kapelusz przyozdobiony główką krwistoczerwonej róży. Kolor sukni doskonale komponował się z nakryciem głowy i małą torebką. W oczy rzucał się obfity biust, podkreślony głębokim dekoltem. W jej wyglądzie było coś niewinnego i dostojnego. Jej duże ciemne oczy wpatrywały się w jedno miejsce, jakby przed nią siedział jakiś człowiek. Nic nie mówiła. Wydawała się tylko słuchać, delikatnie się uśmiechając.

Wnet przyjemne majaki przed oczami nieprzytomnego mężczyzny zaczęły nasuwać złowrogie, gorszące sceny.

Smukłe, nagie ciało, ciągnięte za rękę, sunęło po drewnianej podłodze, by po chwili opaść na dno wanny. Ciężki tasak odcinał kończyny, a krew tryskała na wszystkie strony i spływała po ciele. Silna męska dłoń bezlitośnie ćwiartowała zwłoki, by co jakiś czas poddać się odruchowi chorej czułości. Palce przesuwały się czule po naskórku, jakby w głębokiej tęsknocie za wygasłą egzystencją, do niedawna pulsującą w żyłach. Kilka minut później sentyment znikał w mgnieniu oka, a mężczyzna kontynuował rzeź. Ostrze tasaka ścięło powietrze i wbiło się w szyję. Głowa podskoczyła niemrawo. Krew rozbryzgnęła się na ścianach wanny. Czerwone krople spłynęły z ust – piękny obraz twarzy namalowany farbami zgonu.

Dziwne sny rozwiały się w całkowitej nicości, nie wiadomo na jak długo. Minuty, godziny, a może dni. Wyłonił się dźwięk. W końcu świadomość również potrzebowała czasu, by się przebudzić i zacząć rejestrować impulsy rzeczywistości.

– Anthony! Anthony, słyszysz mnie?

Głos wyłaniał się z głębi umysłowych otchłani, na początku wyraźnie zniekształcony. Z każdym kolejnym powtórzeniem nabierał wyrazistości,

ludzkich barw i czystości. Poważna twarz szatynki spoglądała w oblicze starszego mężczyzny. To była piękna kobieta; nie najmłodsza, lecz niewyglądająca na swoje czterdzieści lat. Miała wschodnioeuropejską urodę z nutą śródziemnomorskiego piękna hiszpańskich dam. W pierwszych sekundach Anthony nie rozpoznawał otoczenia ani kobiety pochylonej nad łóżkiem. Mózg dopiero wybudzał się z głębokiego snu.

– Gdzie ja jestem? – Nie znał jej imienia ani nie rozpoznawał twarzy.

– Jesteśmy w domu. Wróciliśmy dzisiaj w południe. Od razu położyłeś się i spałeś aż do teraz.

– Która godzina? – wyszeptał, zrywając się z łóżka.

– Nie wstawaj. Musisz się oszczędzać. Dochodzi piętnasta dwadzieścia. Zjesz trochę zupy, zrobiłam twoją ulubioną.

Ale on nie pamiętał, jaką lubi zupę. Przez głowę przelatywały mu jakieś obrazy, jednak skrawki pamięci za nic nie chciały ułożyć się w logiczną całość. *Kim jest ta kobieta?* Miał wrażenie, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu. Trudno mu było cokolwiek zatrzymać na dłużej i przyjrzeć się wspomnieniom. Jego mózg szalał.

Rozejrzał się wokół siebie. Był sam. Przez chwilę zwątpił, czy krótka wymiana zdań w ogóle miała miejsce, jednak odgłosy dobiegające z korytarza przekonały go do prawdziwości własnych myśli. Leżał w białej pościeli w dwuosobowym łóżku. Pokój, najwyraźniej będący skromną sypialnią, wydawał się stary, ale niebrzydki. Drewniane belki na ścianach kładły się jedna na drugiej, dając poczucie ciepła i bezpieczeństwa. Sypialnia nie oferowała nic więcej poza łóżkiem, szafą i stolikami nocnymi po obu stronach legowiska.

Wyszedł powolnym krokiem na korytarz i rozglądał się dookoła. Był otumaniony, lecz chłonął każdy obraz, za wszelką cenę próbując zrozumieć, co się z nim dzieje. Ogarniały go strach i niepewność. Chciał się jak

najszybciej obudzić i zakończyć ten koszmar, ale nie zdawał sobie sprawy, że najgorsze miało dopiero nadejść, a niezrozumiała teraźniejszość była namacalnym, a zarazem najlepszym momentem, jakiego doświadczał.

Dzień był ponury, jak przez większą część roku. Dom spowijał półmrok. Niewielki korytarz prowadził do łazienki, kuchni, drugiej sypialni i salonu. Tuż przed salonem, za zamkniętymi drzwiami strome schody wspinały się ku górze i kończyły na poddaszu. Natychmiast zauważył, że budynek stanowi niewielką leśniczówkę; starą, lecz przyzwoicie urządzoną; ciemną, lecz dającą poczucie ciepła i bezpieczeństwa. Stanął naprzeciw starego ściennego lustra, a jego oczom ukazała się sylwetka siwiejącego mężczyzny w średnim wieku. Worki pod oczami i opadające policzki zdradzały upływ czasu. Ciało emanowało zmęczeniem. Trwał tak przez chwilę. Szukał sam siebie w zakamarkach pamięci, ale wkrótce zrozumiał, że teraźniejszość była jedynie małą wysepką na nieskończonym pustkowiu amnezji. Powolny oddech zadrżał w wewnętrznej rozpaczy i strachu.

Przystanął w wejściu do kuchni. Spore pomieszczenie było dobrze oświetlone za sprawą dużego okna. Urządzenia kuchenne oferowały wszystko, co potrzebne, by zrobić przyzwoity obiad. Niewielkie kremowe drzwi po lewej kryły za sobą jeszcze jedno nieznane pomieszczenie. Wysoka szatynka o smukłej figurze nalewała zupę na talerz. Stała plecami do Anthony’ego, co dawało mu okazję, by przyjrzeć się jej uważnie jeszcze przez kilka sekund. Musiała słyszeć, że wchodził, a jednak się nie odwróciła.

– Mówiłam, żebyś nie wstawał. Jesteś jeszcze zbyt słaby – rzekła jakby do siebie, nie odwracając głowy.

Anthony wszedł do środka, sięgnął po taboret i powolnym ruchem usiadł przy stole.

– Ja nic nie rozumiem, nic nie pamiętam. Co się ze mną dzieje? – wyszeptał wolno drżącym głosem, niemal płacząc.

– Musisz odpocząć. Z czasem wszystko zrozumiesz – odparła kobieta, stawiając przed nim talerz parującej zupy.

Pomidorowa, moja ulubiona. Anthony kodował w pamięci całe otoczenie, każdy obraz, każdy ruch i słowo pięknej szatynki. Odnosił wrażenie, że jego życie zaczęło się piętnaście minut temu. Nie był niemowlakiem, lecz znów wszystkiego się uczył. Wyczuwał jej zmartwienie i troskę, dostrzegał też dziwny chłód i dystans.

– Nawet nie pamiętam, jak masz na imię – wyszeptał.

– Wiem, Anthony, masz prawo niczego nie pamiętać. Jestem Barbara, miło mi cię poznać. – Na ustach kobiety zarysował się delikatny uśmiech, pierwszy przejaw ciepła posłany w jego stronę.

– Czy ty jesteś moją… – Zawahał się przez chwilę.

Zapadła krótka cisza. Na twarzy kobiety ukazała się konsternacja.

– Jedz, proszę, zupę. Musisz nabrać sił – odpowiedziała z drżeniem w głosie.

Barbara wciąż krzątała się po kuchni, unikając spojrzeń Anthony’ego. Wyczuł, że coś jest nie w porządku, ale zdecydował się nie ciągnąć tematu. Wiedział, że musi na niej polegać, skoro zawiodła go własna pamięć. Nie zamierzał jednak brać wszystkich jej słów za pewnik. Czas i kolejne skrawki informacji miały dać mu jasny ogląd rzeczywistości, ale to nie był ten moment. Jeszcze nie teraz. Poczuł się niekomfortowo w jej obecności.

– Usiądź, proszę, i powiedz, co się ze mną stało. Mam pustkę w głowie. Zaraz zwariuję! – Chwycił się za skronie. Żal i beznadzieja wyzierały z jego oczu.

Barbara usiadła naprzeciw niego. Dopiero teraz dostrzegł bladość i zmęczenie na jej twarzy. Była piękną kobietą pogrążoną w smutku.

– Nie wiem, co się z tobą stało, Anthony. Miałeś wypadek, a przynajmniej tak to wyglądało.

– Wypadek? – powtórzył z niedowierzaniem.

– Byłeś nad skarpą, gdzie często spędzasz czas. Ktoś znalazł cię nieprzytomnego na dole. Lekarze uznali za cud to, że nawet się nie połamałeś. Widocznie gałęzie wystające z urwiska zamortyzowały upadek.

– Nic nie rozumiem. Dlaczego nad skarpą? – pytał z zainteresowaniem.

– Tam zawsze szukasz natchnienia do pisania swojej książki. Tego dnia wiał wiatr, padał deszcz. Być może stałeś zbyt blisko krawędzi, poślizgnąłeś się i spadłeś. A może po prostu chciałeś się… – Zesztywniałe gardło nie pozwoliło jej dokończyć myśli.

– Co chciałem?

– Anthony, wybacz, ale zbyt dużo się działo w ostatnim czasie. Lekarze zabronili ci się przemęczać. – Wolała nie drążyć tematu.

– Barbaro, ale dlaczego nic nie pamiętam? Boję się i nic z tego wszystkiego nie rozumiem. – W Anthonym wzmagała się niecierpliwość zmieszana z niemocą.

– Byłeś w szpitalu dziesięć dni. Pierwsze trzy dni spędziłeś w śpiączce. Straciłeś pamięć, Anthony. Amnezja wsteczna.

Z każdym jej słowem bladość coraz bardziej przenikała jego twarz. Słuchał jej słów z niedowierzaniem. Jakby opowiadała o zupełnie obcym mu mężczyźnie.

– Amnezja wsteczna?

– Podobno nie pamiętasz niczego sprzed wypadku.

– Kiedy ją odzyskam? – Podniósł głos. Drżenie strun głosowych nie ustępowało.

– Nie wiem. W szpitalu powiedziano mi, że… – Zawahała się. – Że jest podejrzenie uszkodzenia mózgu, choć nie było wylewu.

Anthony nie odpowiedział. Po jego policzku potoczyła się łza. Chwycił wolno łyżkę i w milczeniu jadł zupę. Chciał wiedzieć wszystko, ale im więcej

zadawał pytań, im więcej dostawał informacji, tym bardziej czuł się zagubiony w nowej sytuacji. Nie wiedział, jak bardzo może ufać kobiecie, która kreuje się na jego żonę. Wszak nie dostał od niej jasnej odpowiedzi. Była zimna, a może po prostu radziła sobie z jego wypadkiem na swój własny sposób.

– Anthony, musisz być cierpliwy i dużo odpoczywać. Nie forsuj się. Dokończ zupę i połóż się, proszę.

Wysunął dłoń ku Barbarze. Ta położyła swoją na jego palcach i lekko zacisnęła. Po chwili cofnęła rękę i wstała od stołu. W jej dotyku nie było czułości ani ciepła. Nie był to uścisk kochającej żony, tylko zwykły, ludzki, a w tym wypadku wymuszony odruch skierowany ku drugiemu człowiekowi w potrzebie.

– Barbaro, czy ja ci coś zrobiłem? – zapytał instynktownie.

Barbara westchnęła głęboko, spoglądając na niego znad stołu.

– Anthony, ja również ostatnio sporo przeszłam. To nie jest odpowiedni czas na takie rozmowy. Nie mogę cię zamęczać natłokiem informacji. Odpoczywaj, proszę. Pojadę do miasta po zakupy. Wrócę za półtorej godziny.

Kilka minut później był już sam. Dom wydawał mu się obcy, a jednak umiał się po nim poruszać. Tak jakby znał jego rozkład. Niestety, w tej chwili nie miał dostępu do swoich wspomnień. Jedynym skutecznym lekarstwem był czas. Trzeba było czekać.

Anthony stał w niewielkim salonie urządzonym w drewnie, podobnie jak reszta pomieszczeń. Pokój wyglądał dość skromnie: kanapa, stary telewizor, stół z gazetą pod blatem i kilka mebli dookoła. Tyle, a może nawet mniej niż w każdym innym domostwie. Leśniczówka nie oferowała żadnych luksusów, żadnych ochów i achów, jedynie przedmioty codziennego użytku. Nie dało się nie zauważyć wszechobecnych książek. Kilka pozycji

w biblioteczce przykuło jego uwagę. Stały w wyeksponowanym miejscu, czekając na podziw gości. „Z zaświatów”, „Cień przeznaczenia”, „Tam, gdzie kończy się piekło”, „Wysypisko dusz”, „Skowyt” – na wszystkich widniało nazwisko tego samego autora: Anthony’ego O’Donnella. Tytuły mówiły same za siebie. Powieści grozy były jego specjalnością. Każdy szczegół, jaki dostrzegał wokół siebie, wyrywał wspomnienie ze szponów niepamięci i przywracał do życia. Ziarnko do ziarnka, przeszłość i teraźniejszość znów stawały się jednością.

Zrozumiem wszystko prędzej, jeśli sam spróbuję poznać prawdę, zamiast czekać, aż ustąpi amnezja. Wziął do ręki „Przegląd Anterrey”, lokalny tygodnik. Anthony kartkował go, skanował artykuły wzrokiem, co jakiś czas zatrzymując się na dłużej. Nigdy nie czytał ostatnich stron i tak też było tym razem. Horoskop i sport nie leżały w centrum jego zainteresowań. Artykuł o firmie transportowej w cieniu bankructwa przykuł jego uwagę. Dobrze było znów coś poczytać, rozruszać umysł i wyobraźnię. Uśmiechnął się z optymizmem. A jednak coś było nie tak. Ostatnia linijka na stronie nie miała swojej kontynuacji na kolejnej. Upewnił się, że niczego nie przeoczył. *Nie ma końca artykułu. Brakuje strony.* I rzeczywiście, numery stron zupełnie się nie zgadzały. *Strona czwarta i siódma? Błąd w druku?* Kilka minut później już nie czytał. Rozłożył gazetę i przyglądał się jej uważnie. Nie siedział już zdumiony. Niezrozumienie i podejrzliwość wzięły w nim górę. *Czy możliwe jest dopuszczenie tak dużego niechlujstwa? To mało prawdopodobne. A może ktoś celowo usunął te strony? Czy to ty, Barbaro?*

Ledwo ją na nowo poznał, a już jej nie ufał. Nie potrafił znaleźć innego wytłumaczenia braku stron. Zostały wyrwane z chirurgiczną dokładnością, bez żadnych śladów.

Kim jest ta kobieta? Czy moja własna żona mogłaby coś przede mną ukrywać? Jeśli tak, to dlaczego? Czy jej chłód i dystans mają jakiś związek

z tym wszystkim? Wiele pytań kłębiło mu się w głowie i pragnął jak najszybciej znaleźć na nie odpowiedzi. Bez pomocy Barbary. Bez niczyjej pomocy. Rozejrzał się po salonie, ale nie dostrzegł niczego, co mogło świadczyć o ich związku. Żadnych zdjęć na półkach, żadnych uroczych wiadomości. Nie było ich też w sypialni, gdzie miał wystarczająco dużo czasu na poznanie otoczenia z pozycji leżącej. Nie przypominał sobie jej czułości, pocałunków czy objęć podczas porannych rozmów w kuchni. Jedynie krótki, letni dotyk jej dłoni. Zaledwie słaby, ledwo widoczny ułamek uśmiechu. Ogarnął go nagły strach. Strach przed poznaniem przeszłości. Brnął w dywagacje, insynuacje i podejrzenia bez absolutnie żadnych podstaw. Nie chciał i nie mógł powiedzieć żonie o brakujących stronach w „Przeglądzie Anterrey". Nie zamierzał też jawnie kwestionować jej zachowania, przynajmniej nie teraz. Dlaczego miałby jej nie ufać? Czemu miałby ufać sobie, będąc człowiekiem bez przeszłości? W jego głowie zapanował chaos. Spoczął na oparciu kanapy Uporczywe myśli coraz słabiej uderzały w zmęczoną świadomość. *Czy to na pewno moja żona? Czemu jest taka chłodna wobec mnie? Przez co przeszła, zanim straciłem pamięć? Czy na pewno pojechała na zakupy?* Powieki Anthony'ego robiły się ciężkie. Organizm wciąż szybko się męczył. Zamknął oczy. Z ciemności znów wyłoniły się złowrogie sny. Nowe wizje mieszały się z tymi, których już wcześniej doświadczył.

Elegancko ubrana kobieta stała na tle fontanny. Dalej wysokie drzewa spoglądały cierpliwie na dziesiątki przechodniów – dostojne damy kroczące pod rękę z nienagannie odzianymi dżentelmenami, młode kobiety popychające wózki z dziećmi, aż wreszcie starsze panie siedzące na ławkach.

Teraz szła chodnikiem zajęta rozmową. Mężczyźni i damy w samochodach i dorożkach przesuwali się monotonnie po brukowanej ulicy.

Wanna na czterech nogach wypełniała się gęstą czerwienią. Krwiste

krople spływały ku dołowi, ściągane siłą grawitacji. Widok z góry ukazywał makabryczną mozaikę, złożoną z pociętych części ciała poplamionych krwią. Blady korpus leżał na dnie wyścielonym zastygającą kałużą krwi.

Stare, brudne dłonie, na pewno nie jego. Palce były niemal czarne, pokryte ciemnym popiołem. Zerknął przed siebie i ujrzał coś przejmującego. Żeliwne drzwiczki wprowadzały w ciemność głębokiej komory pieca. Zanurzył ręce w jej wnętrzu. Żar już dawno ostygł. Zagarnął proch i przysunął do siebie. Czarny pył wydobywał się z wnętrza i jak sypki wodospad wpadał prosto do blaszanego pojemnika. W popiele prześwitywały drobne kawałki kości.

Na zewnątrz panowała chłodna noc. Opustoszała ulica przesuwała się pod biegnącymi nogami. Odgłos butów uderzających o bruk odbijał się od okolicznych budynków. Mężczyzna uciekał. Gardła za jego plecami wykrzykiwały niezrozumiałe komendy. Charakterystyczny dźwięk wyróżniał się spośród innych: „Ru! Ru!". Wzrok biegnącego człowieka automatycznie skierował się w górę i zatrzymał na wmurowanej tabliczce. Nazwa ulicy. Nieczytelna. Mężczyzna skręcił w wąską uliczkę. Dwie wysokie ceglane ściany eskortowały nierówną alejkę pokrytą brudem i wodą. Głosy za plecami przybierały na sile. Przesiąkały agresją i grozą. „Ru! Ru!"

Anthony otworzył oczy. „Ru" zabrzmiało po raz ostatni i zgasło w cichym salonie. Podłużna plama na karku nieprzyjemnie szczypała. Potarł skórę palcami, by uśmierzyć ból. Myślał. Wyrwane sceny łączyły się ze sobą bez większego ładu i składu. Nic nie rozumiał. Podniósł głowę z oparcia sofy i zamarł przez chwilę. Przed nim stała ta sama kobieta, o której niemal zapomniał wśród wszystkich myśli i makabrycznych majaków. Jej dłoń ściskała przezroczystą siatkę z zakupami. Wyglądała pięknie z burzą brązowych włosów i parą ciemnych oczu. Cienki wełniany, czarny sweter luźno spływał po ciele. Wąskie dżinsy podkreślały szczupłe nogi. A jednak

Anthony nie umiał się zakochać. Wokół siebie roztaczała aurę chłodu. Lodowy mur oziębiał uczucia, które być może kiedyś kwitły między nimi.

– Wróciłam – rzekła spokojnym głosem. – Wypijesz kubek herbaty? Dobrze ci zrobi.

– Tak, poproszę – odpowiedział, skinąwszy głową, półprzytomny po głębokiej drzemce.

Po chwili znów był sam. Gazeta zaśmiecała podłogę przy stole. Ruszył się ociężale, złożył ją starannie i odłożył pod blat, tak jak ją zastał dwie godziny temu. Podszedł do okna przy drzwiach wejściowych i spojrzał w niebo. Za szybą skraj lasu krył się w mroku jesiennego wieczoru. Pojedyncze myśli drążyły umysł Anthony'ego. *Nie domyśla się, że zauważyłem brak paru stron. Nie może się domyślać!*

Anterrey ogarniała ciemność. Miasteczko nie kładło się jeszcze do snu, a może po prostu nigdy się z niego nie wybudzało. Czasami wydawało się, że żyje własnym życiem; niby spokojnym, aczkolwiek tajemniczym, radosnym, lecz bez uśmiechów na ustach, żywym, a jednak zaledwie na skraju egzystencji. Tu nikt nie przyjeżdżał w odwiedziny, bo odwiedzić Anterrey na chwilę to się osiedlić, a osiedlić się to nigdy już nie wyjechać. Była w nim jakaś niewytłumaczalna magiczna moc, której nawet najstarsi mieszkańcy nie potrafili wytłumaczyć. To tutaj jesień trwała przez większą część roku; to tutaj mieszkańcy zrywali kontakty z rodziną i przyjaciółmi z zewnątrz, jakby nigdy ich nie mieli. Pozostanie w Anterrey było przejściem na emeryturę od życia, ku lenistwu i obojętności duszy, ku beztroskiemu marazmowi i błogiej apatii. Miasto dziwne, a nawet mistyczne, lecz tajemnicze i pociągające. Co ciekawe, mieszkańcy nigdy nie potrafili określić jego dokładnej lokalizacji na mapie.

– Prawdziwe położenie zna tylko Indianin Yakshit – mówili tajemniczo i kończyli temat.

Pomarszczony starzec o ciemnej karnacji i czarnych oczach nigdy nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Twierdził, że zna odpowiedzi na wszystkie pytania o sacrum i profanum. Nikt nie ośmielał się tego podważać. Stary Indianin mieszkał na obrzeżach tej aglomeracji. Niezwykła dusza była jego nadprzyrodzonym darem, którego nie posiadał nikt inny. A ten, kto jej nie miał, nie potrafił tego zrozumieć i nie dawał temu wiary. Miejska legenda głosiła, że już w chwili narodzin wyrwał się z objęć śmierci. W dżungli, gdzie przyszedł na świat, uznano go za cud. Nazwano go Yakshit – stały, trwający wiecznie.

– Anterrey – mówił ochrypłym, przepalonym ziołami głosem – nie jest zwykłym miasteczkiem. To miejsce na pograniczu wymiarów, gdzie moc z zaświatów przenika do naszego życia doczesnego. To miejsce, do którego wkraczają dusze, by zamknąć niedokończone sprawy z poprzedniego wcielenia. To miasto po drugiej stronie życia, ale jeszcze nie w objęciach śmierci.

Nieliczni uważali go za dziwaka. Większość nie chciała się wypowiadać – może w obawie przed jego nadprzyrodzonymi mocami – a może po prostu nie miała własnego zdania. Yakshit był samotnikiem. Miał gości, lecz sam nigdy nie był gościem. Mieszkańcy często go odwiedzali z koszykiem strawy i ziaren dla kur w zamian za zioła lecznicze, wróżby, porady życiowe i przepowiednie. To wszystko, czego zdawał się potrzebować. Sfera duchowa dawała mu pełnię życia, zaś sfera fizyczna – według miejscowych – egzystencję na granicy ubóstwa. Natomiast według niego samego – dostatni żywot wedle nakazów minimalizmu. Otoczony szerokim polem na skraju miasta, w zagrodzie z kurami, studnią i starą lepianką, żył tak niezmiennie być może od siedemdziesięciu lub osiemdziesięciu lat, a według miejskich legend aż od stu dwudziestu.

– Przemów do mnie – szeptał do siebie z głową zwróconą ku gwiazdom.

Siedział na ganku po turecku przed okrągłym domem z gliny i słomy. U jego stóp leżała dymiąca bambusowa fajka i lokalna gazeta, otwarta na piątej stronie. Lewa dłoń unosiła się nad zdjęciem nastolatka.

– Przemów do mnie.

Nagły podmuch wiatru wzburzył długie czarne włosy. Kosmyki smagały jego szyję i szerokie ramiona. Zamknął oczy. Niewielka przestrzeń pomiędzy otwartą dłonią i papierem gazety zdawała się w niewytłumaczalny sposób rozjaśniać. Pomarańczowa, ledwo widoczna kula zaczęła pulsować w zgodzie z żyłami na skroniach, a z ciemności pod powiekami wyłoniły się złowrogie wizje.

To były złe obrazy. Widział bezwładne ciało nastolatka szurające po betonowej podłodze. Ktoś trzymał je za kołnierz i z trudem ciągnął za sobą. Kurz brudził ubranie, a echo czyichś kroków odbijało się o zimne ściany z czerwonej cegły. Zielony but wysunął się ze stopy nieprzytomnego człowieka i pozostał w tyle. Jego twarz była rozmazana, tylko usta wydawały się wyraźne. Drgały, lecz nic nie mówiły. W starej wannie na środku surowego pomieszczenia bulgotała woda. Ogień tańczył na połamanych deskach. Światło rozświetlało kawałek ciemności. Majaki targały starym Yakshitem. Dostrzegł bąble na skórze. Wyskakiwały na rękach, nogach, szyi i policzkach. Niczym ospa wietrzna rozprzestrzeniały się w mgnieniu oka. Wrzątek zalał gardło i płuca, a głowa zniknęła pod powierzchnią wody. Bąbelki powietrza wypływały z otwartych ust, niosąc paniczny skowyt. Krzyk tak straszny, że okrywał gęsią skórką dusze w zaświatach.

Rzucające się pod wpływem wizji ciało szamana z każdą kolejną pominutą wracało do równowagi. Źrenice oczu wróciły na swoje miejsce, oddech zwolnił. Starzec leżał w milczeniu na ganku przed wejściem do chaty. Palenisko w środku pokoju dogorywało, a mieniący się żar powoli gasł. Rzadki dym uciekał przez otwór pośrodku strzechy.

– Zło dotarło do Anterrey – wyszeptał resztkami sił.

ROZDZIAŁ 2

Tego dnia poranek był dość chłodny. Słońce musiało zaspać, bo przez chmury nie przebijał się żaden promyk. W powietrzu wisiała dziwna atmosfera. Ciężkie powietrze zwiastowało coś niedobrego. Nawet ptaki przestały śpiewać, a uliczny kundel skomlał pod nosem bez powodu.

Richard Murray zatrzymał się przed budynkiem i wysiadł ze swojego starego audi w kolorze bieli. Ubrany w długi płaszcz mężczyzna stał niepewnie przed komendą policji. Sam nie wiedział, czemu tak dziwnie się czuje. Jego instynkt nie podpowiadał mu, że to będzie dobry dzień, ale zawsze mógł się mylić. Murray przetarł dłonią kilkudniowy zarost, zawahał się jeszcze przez chwilę i żwawym krokiem skierował ku szklanym drzwiom wejściowym. Jego nażelowane, zaczesane do tyłu włosy, pewne spojrzenie i dobrze zbudowane ciało – to właśnie podobało się miejscowym kobietom, choć nigdy mu się nie narzucały. Zbliżał się do czterdziestki, więc nie był jeszcze stary; do tego nie miał żony i dzieci. Nosił w uchu kolczyk, to był jego styl, w pewnym sensie wyjątkowy jak na spokojne i nieco staroświeckie Anterrey.

– Dzień dobry, Richardzie!

Usłyszał to pięć czy sześć razy, zanim dotarł do swojego biurka. W pomieszczeniu atmosfera wydawała się luźna, trwały rozmowy i śmiechy, ale tak naprawdę każdy działał i nikt się za bardzo nie obijał. Richard zdjął

prochowiec, przewiesił przez oparcie i rozsiadł się na krześle. Jasną koszulę opinała brązowa kabura z pistoletem, chyba bardziej dla szpanu niż z konieczności. Murray włączył komputer i gapił się w wyłączony monitor, próbując się obudzić.

– Może kawy? – Nieznajomy stał nad nim z ręką w kieszeni. W dłoni dzierżył plastikowy kubek z parującym napojem.

– Już jedną wypiłem, ale dziękuję! To już kawę za darmo do każdego biurka donoszą? – Wyciągnął rękę na przywitanie. – Richard Murray, miło mi.

– Steve Smith. – Szczupły, rudowłosy mężczyzna z przerzedzonymi włosami zaczesanymi na bok odwzajemnił uścisk. – Kupiłem cappuccino, ale maszyna nalała mi czarną, a nie chciałem wylewać. Poza tym chciałem się przedstawić. Szef przeniósł mnie dzisiaj z parteru na pierwsze piętro i przydzielił biurko obok. Mówił, że będziemy pracować razem.

– Co ci się stało w rękę? – Spostrzegawcze oko Richarda dostrzegło czerwone zadarcie po wewnętrznej stronie dłoni.

– To? – Steve spojrzał na ranę. – Wypieprzyłem się wczoraj przy wieczornym joggingu. Zdarta ręka, zdarte kolano i dziura w ulubionym dresie. Uroki biegania po ciemku w lesie.

– To zacznij biegać o świcie. Przynajmniej się nie zabijesz.

– Może i tak, ale wiesz, mieszkam sam, więc nie ma mnie kto wykopać z łóżka o tak wczesnej porze! – Pokiwał głową. – Zresztą, jestem tu dopiero od dwóch miesięcy, więc dobrze poznać miasto o każdej porze dnia i nocy.

– No proszę, nowy mieszkaniec Anterrey. – Richard przedłużał rozmowę, przełykając kawę. – Więc w naszej komendzie też od niedawna?

– Od sześciu tygodni, ale dopiero teraz wylądowałem tutaj, gdy szefowi się przypomniało, że mam spore doświadczenie w prowadzeniu śledztw. – Steve miał sympatyczną twarz i robił dobre wrażenie.

– Jakieś wieści na temat zaginionego księdza?

– Na razie nic nowego. Znasz Anterrey lepiej niż ja. Tu ludzie zawsze się niepokoją, nawet jak nie mają ku temu najmniejszych powodów. Znajdzie się!

W tym momencie otworzyły się drzwi do gabinetu komendanta. Stał w wejściu do swojego biura, oddzielonego od reszty pomieszczenia ścianą z szeroką prostokątną szybą. Każdy z zewnątrz mógł widzieć, co dzieje się w środku i w jakim humorze jest szef tego dnia. Łysy, krępy, w białej koszuli i czarnych spodniach, wyglądem przypominał czarnoskórą wersję serialowego Kojaka. Spojrzał na Richarda i skinieniem głowy zaprosił go do siebie. Murray ruszył się z miejsca i po chwili siedział już przy jego biurku. Papiery i foldery walały się na blacie, zasłaniając tabliczkę z imieniem i nazwiskiem: Danny Jones.

– Nie zajmę ci dużo czasu, więc tak się nie rozsiadaj – rzekł stanowczo Danny.

– Jakieś wieści o ojcu Malcolmie? – zapytał Richard z nadzieją w głosie. – Mam nadzieję, że jest cały i zdrowy!

– Nic! Przepadł bez wieści. Znajomi też nie mają pojęcia, gdzie jest. Póki co podstawili jakiegoś młodego księdza, żeby odprawiał msze w niedziele, ale gość nie ma posłuchu wśród wiernych.

– To naprawdę dziwne! Musi się znaleźć, bo ludzie zaczynają się niepokoić – stwierdził Richard.

– Ale nie po to cię tu wezwałem! – Uśmiech nieczęsto gościł na twarzy Danny’ego i tym razem nie należało się go spodziewać. – Mamy kolejne zaginięcie! Młoda kobieta, Tatiana Zharkova, lat trzydzieści.

– Tatiana Zharkova… – wyszeptał w zamyśleniu Richard. Jego twarz pobladła w mgnieniu oka. – To trzecia osoba w ostatnim miesiącu! Co się tu dzieje, do cholery?

– Znałeś ją? Wyglądasz, jakbyś się postarzał o co najmniej dziesięć lat!

– Dziewczyna z sąsiedztwa. Mieszka tu od niedawna. Tyle wiem. – Richard dochodził do siebie.

– Na razie nie wiemy, od kiedy jej nie ma, ale się dowiemy. W miejscu pracy powiedzieli nam, że jest na urlopie. Tu masz jej zdjęcie. – Danny wyciągnął przed siebie rękę z fotografią w dłoni. – Dostaliśmy je od kobiety, która zgłosiła zaginięcie. Zajmiesz się tą sprawą, bo reszta zajmuje się Malcolmem i tym cholernym chłopakiem. Ten ostatni jest w tej chwili priorytetem, ale póki co przydzielam cię do tej sprawy. Aha, byłbym zapomniał! Od dzisiaj będziesz współpracował ze Steve'em. To policjant z Walii, jest u nas od niedawna. Ma doświadczenie, myślę, że się zgracie.

– Tak, wiem. Zdążyliśmy się już poznać.

– Jakby co, jestem pod komórką dzień i noc. Informuj mnie o wszystkim. – To powiedziawszy, Jones zakończył rozmowę z podwładnym.

– Jasne, szefie! – Richard wyszedł z gabinetu i wrócił do biurka.

Obejrzał zdjęcie. To była ona. Siedziała na podłodze wśród porozrzucanych zabawek z jakimś chłopcem z zespołem Downa. Wyglądała tak uroczo jak wtedy, gdy się poznali. Wyciągnął komórkę z kieszeni prochowca i otworzył listę kontaktów. Ten numer wciąż tam był. *Tatiana.* Wcisnął ikonę słuchawki i połączył się z automatyczną sekretarką: „Nie mogę w tej chwili odebrać. Oddzwonię, kiedy będę wolna". Aksamitny głos przywołał twarz dziewczyny przed oczy Richarda.

Odłożył telefon na biurko i oparł się o krzesło. Poczuł, że opada z sił. Nie wiedział, co go bardziej zdenerwowało – fakt zaginięcia trzeciej osoby w ciągu mniej więcej dwóch tygodni czy może to, że ostatnią zaginioną była właśnie Tatiana. Ta Tatiana! To był naprawdę dziwny miesiąc. Najdziwniejszy w jego karierze. W Anterrey ludzie nie znikali,

a przynajmniej do teraz. Ktoś znikał tylko wtedy, gdy umierał, tak jak w każdym innym miejscu na Ziemi, nigdy inaczej. Trudno przypuszczać, by ktoś z mieszkańców mógł się dopuszczać porwań czy morderstw. Przeklęta apatia, jaka się udzielała każdemu w tym mieście, nie pozwalała na zrobienie niczego ponad codzienne obowiązki, a już na pewno niczego tak wyrachowanego i skomplikowanego jak uprowadzenie czy może zabójstwo. Drobne wykroczenia na granicy przestępstw i sporadyczne stłuczki na ulicach to wszystko, na co było ich stać.

Richard Murray rozpoczął poszukiwania Tatiany Zharkovej. Odwiedziny w szpitalu nie przyniosły rezultatu. Nikt w ostatnim czasie pod tymże nazwiskiem nie został przyjęty na oddział. Nikt też nie był umówiony na wizytę. Mylny trop – to było raczej oczywiste. Nie spodziewał się znaleźć zaginionej tak od razu. Inni też jeszcze się nie znaleźli. Rzecz jasna, mógł zadzwonić do szpitala. Tak byłoby łatwiej i szybciej, ale wolał wyjść z komendy. Twarz mogła coś zdradzać, a nie chciał się narażać na pytania lub komentarze kolegów. Wsiadł do auta na szpitalnym parkingu i otworzył notes. Odnotował brak jej nazwiska w szpitalnym rejestrze. Nie było też żadnych pacjentów o nieznanej tożsamości.

Podrapał się po zaroście i wpatrzył w dal. W dłoni trzymał zdjęcie Tatiany. Wracał w myślach do dnia, kiedy się poznali. To była bardzo atrakcyjna kobieta. Tamtego wieczoru dręczyła go migrena. Na dodatek przez cały dzień miał pecha. Najpierw spóźnił się do pracy, potem na spotkanie z szefem. Dochodziła dwudziesta dziesięć. Apteka była już zamknięta, ale w środku ktoś jeszcze się krzątał. Szarpnął za drzwi. Przysunął twarz do szyby. Widok przymrużonych oczu i spłaszczonego nosa na szkle musiał wyglądać komicznie od drugiej strony. Mężczyzna w potrzebie wzbudzał litość niczym smutny pies na deszczu szukający schronienia.

– Przepraszam, ale apteka jest już zamknięta. – Drzwi uchyliły się,

a w szparze pojawiła się młoda twarz kobiety. Zwróciła uwagę na policyjną oznakę.

– Uratuje mi pani życie, jeśli tylko dostanę paczkę aspiryny. Głowa mi pęka – mówił z lekką desperacją w głosie.

– Zamknęłam już kasę, ale proszę wejść.

Richard wszedł do środka. Ból głowy nie pozwalał mu się skupić na czymkolwiek.

– Dwie na miejscu, reszta na wynos – zebrał się na żart. – Ile się należy? – Wyciągnął piątkę z portfela i podał kobiecie przez okienko.

– Właśnie tyle.

Aptekarka uśmiechnęła się nieśmiało. Dopiero teraz detektyw zauważył, że ma do czynienia z naprawdę piękną kobietą. Aż dziwne, że nie spotkał jej tu nigdy wcześniej, bo apteka była mu jak najbardziej znana.

– Dziękuję. Uratowała pani życie funkcjonariuszowi. – Humor znacznie mu się poprawił. – Nie będę zabierał już więcej czasu. Na pewno się pani spieszy.

Młoda kobieta zerknęła przez ramię Richarda. Przejeżdżający autobus nie zatrzymał się na pustym przystanku, minął aptekę.

– Już nie. Właśnie uciekł mi autobus – westchnęła głęboko kobieta.

– Odwiozę panią, jeśli to nie problem – zaproponował. Przytłaczała go jej uroda, choć nie dawał tego po sobie poznać.

Zapadła chwilowa cisza. Aptekarka wpatrywała się w oczy Richarda.

– Czy zna pan ulicę Rocha?

Murray odchylił głowę w zdziwieniu. Myślał, że żartuje.

– Ulica Rocha? Mieszkam na samym końcu! Wygląda na to, że jesteśmy sąsiadami.

Tak rozpoczęła się znajomość. Krótka, ale Richard jeszcze wtedy o tym nie wiedział. Reszta potoczyła się zwyczajnie. Ciekawa pogawędka

w samochodzie, wymiana numerów telefonów oraz zaproszenie na kawę po sąsiedzku w kolejny weekend, w domu Tatiany. Detektyw nie spodziewał się takiego końca dnia. Usiadł na kanapie w swoim salonie kompletnie oczarowany i zaskoczony. Zaskoczony, bo już od dawna nikt go nie zauroczył; nie spodziewał się też poznać tak pięknej kobiety, i to ze swojej ulicy. Oczarowany, bo w zachowaniu Tatiany widział podobieństwo do swojej dawnej dziewczyny. Pomimo wrażenia, jakie na nim wywarła, nie chciał sobie niczego obiecywać. Jeszcze nie teraz. Wszak wiedział o niej naprawdę niewiele.

W sobotę wieczorem, ubrany w niebieską koszulę i czarne spodnie, siedział na kanapie w domu Tatiany i rozglądał się po pokoju.

– Dziękuję za zaproszenie. Ależ te dni szybko minęły. Już mamy sobotę.

– Mówią, że im starszy jesteś, tym szybciej płynie czas. To prawda? – Postawiła filiżanki z herbatą na szklanym stoliku i usiadła na drugim końcu kanapy.

– Powinnaś znać odpowiedź na to pytanie. Nie jestem dużo starszy od ciebie – ripostował z wdziękiem.

– Trzydzieści osiem? – szacowała wiek, ostentacyjnie oglądając jego twarz ze wszystkich stron.

– W tym roku stuknie mi trzydzieści dziewięć. Ty pewnie masz koło trzydziestu.

– Dokładnie tak! Trzydzieści. Intuicja detektywa czy może sprawdziłeś mnie w bazie komputerowej? – pozwoliła sobie na żart.

– Powinnaś była zostać dziennikarką, nie aptekarką – odparł wymijająco.

– Może w kolejnym wcieleniu – rzekła z uśmiechem.

Sporą część ściany w głównym pokoju pokrywały antyramy z fotografiami ptaków, roślin w zbliżeniu i zjawisk naturalnych. Na innych

zdjęciach twarze ludzi pochłonięte codziennymi obowiązkami prowokowały do przemyśleń. Mieszkanie było bardzo małe i stanowiło jedynie przybudówkę do głównego budynku zajmowanego przez właścicieli. Pokój z kuchnią, łazienka oraz sypialnia na piętrze – tanie i przytulne, ale nie na zawsze. Tatiana nie była wyniosła ani przesadnie skromna. Normalna dziewczyna z sąsiedztwa o nieprzeciętnej urodzie i świetnym poczuciu humoru. I właśnie jej zachowanie było czymś, co tak bardzo urzekło detektywa. Przypominała mu jego dawną miłość. Tatiana nie była też pedantką. Luźny komplet, wyglądający na sportowy dres, zwisał niedbale przewieszony przez krzesło w kuchni. Był jeszcze jeden ciekawy szczegół, który nie umknął uwadze Richarda. Dwie fotografie w ramkach na parapecie, a na nich Tatiana i nastolatek z zespołem Downa. Trzecia ramka obok leżała płasko, zdjęciem na dół. *Nieuwaga czy celowe działanie?*

– Skąd tu przyjechałaś?

– Z Nowosybirska w Rosji. Tam się wychowałam i skończyłam farmakologię. Ale po studiach zaczęłam odczuwać brak satysfakcji. Czegoś mi brakowało, bym mogła czuć się spełnioną.

– A dlaczego przyjechałaś właśnie do Anterrey?

Tatiana zamyśliła się, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Nie wiem. Może to kobieca intuicja, może jakieś przeczucie. Od dłuższego czasu coś chyba ciągnęło mnie do tego miejsca, jakbym miała nagle zrealizować swój główny cel w życiu. Trudno to wyjaśnić racjonalnie, ale jednak coś w tym jest. Z drugiej strony odnoszę nieraz wrażenie, że niewiele czasu mi zostało w Anterrey, więc kto wie, może wkrótce już mnie tu nie będzie.

– Ludzie mówią, że to magiczne miasto, cokolwiek mają na myśli – wtrącił Richard.

– I chyba mają rację. Widzisz, kiedyś, jak byłam mała, miewałam

koszmary. A właściwie tylko jeden, wciąż ten sam. Sen powtarzał się co jakiś czas. Za każdym razem jedna scena. Zawsze te same trzy osoby stały nade mną, z rozbitą butelką w ręku, a ja myślałam o chorym dziecku. Nie wiem, co to było za dziecko, ale wiem, że o nim myślałam i bałam się o nie. Sny nigdy nie ustały, jedynie straciły na częstotliwości. Przypominały o sobie co jakiś czas. Zmieniły się na lepsze, gdy przyjechałam do Anterrey. To nie jest już ten sam koszmar, co przed laty. Najpierw było trzech oprawców, potem dwóch, a teraz tylko jeden. – Tatiana zamyśliła się na chwilę. – A więc mój przyjazd tutaj i to, co teraz robię, chyba ma sens. Nawet jeśli to tylko wybawienie od uporczywego snu.

– Życie w Anterrey udziela się każdemu. Nie zrozumie tego ktoś, kto tu nigdy nie mieszkał.

– To prawda. Niby takie same, a jednak inne w jakiś tajemniczy sposób. Pracuję, poznaję ludzi, tak jak kiedyś, ale coś mi mówi, że to nie są przypadki, że jakaś siła przedstawia mi osoby, na które czekałam przez całe życie! Poznałam tu pewną dziewczynę, Sofię Weber, która ma syna z zespołem Downa. Też mieszka na naszej ulicy, w pierwszym domu po prawej. Chłopiec ma na imię Jim. Bardzo go polubiłam. Do tego stopnia, że traktuję go prawie jak własne dziecko. Pomagam mu w lekcjach w każdy piątek. Odkąd go znam, o wiele lepiej sypiam.

Richard wpatrywał się w jej oczy i usta. Słuchał jej ciepłego głosu. Brzmiał inaczej, niż kiedy rozmawiali po raz pierwszy w aptece czy w samochodzie. Był bardzo urzekający; może nieco dziecięcy jak na kobietę w jej wieku, ale w tej chwili był aksamitem muskającym jego skórę. Siedziała podkulona, wciśnięta w kanapę, rozpuszczone włosy opadały na plecy. Uważny wzrok detektywa dopatrzył się kolejnego szczegółu. Skrawek plamy na skórze zaczynał się na ramieniu i spływał pod dekolt koszulki. Nie wyglądał na bliznę ani na ranę, bardziej na rozległe znamię.

– A ty, Richard? Lubisz to miasto? – przerwała ucztę wzrokową swojego gościa.

Murray zagłębił się spojrzeniem w jej oczach.

– Sam nie wiem. Anterrey zawsze było smutne. Apatia, szarzyzna, przygnębienie to tutaj codzienność. Ale ostatnio jest zupełnie inaczej. Ciemniej, bardziej złowrogo.

– Jak to? – spytała z niepokojem Tatiana.

– Powiem ci coś, co i tak niedługo wyjdzie na jaw. W miasteczku zaginęły dwie osoby w odstępie dwóch lub trzech dni. Mężczyzna i dziecko. Zupełnie ze sobą niespokrewnieni. Pracuję tu prawie dziesięć lat, ale nigdy nie zajmowałem się czymś tak poważnym. Coś złego zaczyna się tu dziać. Tu nikt nigdy nie znikał, nikt nie wyjeżdżał bez niczyjej wiedzy. Chyba nawet śmierć przychodziła zapowiedziana. – Oboje zaśmiali się w tej chwili.

Richard powrócił do teraźniejszości. Wciąż siedział w samochodzie na przyszpitalnym parkingu. Przypomniał sobie uśmiech Tatiany tamtego wieczoru. Uśmiechała się wtedy jeszcze nie raz. Wbrew jego cichej nadziei do niczego nie doszło. Niemniej spotkanie było obiecujące. Pożegnali się jak dobrzy znajomi, przyjacielskim uściskiem. Stanęli przed sobą twarzą w twarz, jego dłonie z wolna puszczały jej talię. W jej oczach zobaczył nowy świat. Jej pełne usta być może czegoś chciały, lecz nie mówiły nic. Miał zaledwie kilka sekund, by zwieńczyć spotkanie pocałunkiem. Nie zrobił tego. Nie chciał psuć pierwszego wrażenia. Być może i ona wcale tego nie oczekiwała. Ale nigdy się o tym nie przekonał. To była niezwykle sympatyczna dziewczyna, a pierwsze wrażenie okazało się piorunujące. Ciekawiło go, czy kogoś miała. Prawdopodobnie nie, ale istniało takie prawdopodobieństwo, a on nie chciał pchać się na trzeciego. Ta kwestia jeszcze długo chodziła mu po głowie. Powinien był zapytać, dla świętego spokoju. Dzień później wysłał uprzejmego SMS-a z podziękowaniami za

miły wieczór i sugestią wspólnego drinka w kolejny weekend. Odpowiedź była z humorem, w jej stylu: „To ja dziękuję, Richardzie! Jesteś przemiłym facetem. Policjantem, ale z głębią! Pod tym względem jesteś chyba wyjątkiem. Co do drinka, to z wielką przyjemnością. Na pewno ci go nie odpuszczę! Odezwę się przed kolejnym weekendem. Obiecuję! Uściski". Czekał, nie chciał się narzucać. Ale Tatiana nie dotrzymała obietnicy, już więcej się nie odezwała.

W kieszeni jego prochowca zadzwonił służbowy telefon. To już nie był ten sam spokojny Steve.

– Richard! Przyjeżdżaj na ulicę Dawkinsa. Tam, gdzie jest ta pusta szwalnia na peryferiach. Nie uwierzysz, dopóki tego nie zobaczysz.

Znaleźli Tatianę! Czarne myśli przebiegały mu przez głowę. To nie mogła być prawda. Bardzo chciał się z nią jeszcze spotkać. Pragnął się do niej zbliżyć. Los musiał mu dać tę szansę. Dużo sobie obiecywał po ich spotkaniu, może za dużo. Ale chciał się przekonać, czy była jakaś nadzieja. *A może faktycznie kogoś miała?* Otworzył okno, szybkim ruchem ręki wystawił koguta na dach i ruszył z piskiem opon.

Na przedmieściach kilka radiowozów i samochód koronera zaparkowały niedbale pod budynkiem, tarasując część drogi. Asfaltówka była ślepą uliczką. Nikt z niej nie korzystał. Tam, gdzie kiedyś mieściła się potężna szwalnia, teraz pozostał jedynie surowy budynek z czerwonej cegły z powybijanymi szybami w dużych, podłużnych oknach. Zamknięty od ponad sześćdziesięciu lat straszył wyglądem.

Był środek dnia, ale policyjne światła widać było z daleka. To był bardzo niecodzienny widok dla każdego policjanta w tym mieście. Dla wielu zapewne pierwszy w karierze. Taka liczba radiowozów w jednym miejscu musiała oznaczać coś bardzo poważnego. Detektyw również zdawał sobie z tego sprawę, ale nie mógł podejrzewać potworności kryjącej się w starych

murach budynku. Coś, co przejawiało się dotychczas w atmosferze miasta, miało teraz swój wygląd, zapach i konsystencję. Obrazy, które miał zobaczyć, pozostaną z nim już na zawsze.

Samochód zaparkował na uboczu, po drugiej stronie dziurawej jezdni. Przy pojazdach stało kilku policjantów i sanitariuszy. Dwóch kolegów Richarda przysłuchiwało się pod murem brudnej kobiecie w łachmanach. Tłumaczyła coś z zapartym tchem, żywo gestykulując. Z każdym kolejnym krokiem słyszał ją coraz wyraźniej.

– Tu prawie nigdy nikogo nie ma, więc ten, kto to zrobił, miał wolną rękę. Jak tu teraz nocować? Takie znalezisko… W tej wannie to nawet kiedyś spałam. Jest nas troje, przychodzimy tu bardzo rzadko, bo zwykle śpimy w opuszczonej ruderze po drugiej stronie miasta… Za dnia to tylko szczury tu biegają. Na pewno wszystko widziały…

Richard Murray podchodził bez słowa z rękami w kieszeniach prochowca. Nie odzywał się do nikogo, jeszcze nie teraz. Wsłuchiwał się w atmosferę miejsca, chłonął wzrokiem każdy szczegół. Minął ostatni radiowóz i stanął prawie na wprost do budynku. W tym samym momencie chwiejnym krokiem wyszedł z niego młody policjant z dłonią na ustach. Po chwili posłał porcję wymiocin na kępy trawy. Jeszcze nie zdążył się wyprostować, a kolejna fala ochlapała mu but i nogawkę. Murray wykrzywił twarz.

Za drzwiami do pustostanu znajdowało się obszerne pomieszczenie, a dalej kolejne. Miejsce na co dzień milczące, dziś było punktem zgromadzenia prawie połowy posterunku. Echo rozmów odbijało się od ceglanych ścian, fragmentów maszyn do szycia i porozrzucanych po kątach resztek mebli. Ponumerowane stojaki do znaczenia materiału dowodowego na miejscu przestępstwa rozproszyły się po betonowej posadzce. Jeden, bardzo szczególny, zatrzymywał na dłużej uwagę każdego, kto tędy

przechodził. Biała czwórka na czarnym tle stała przy zielonym bucie. Rozmiar nie pasował do osoby dorosłej. Musiał należeć do kogoś bardzo młodego.

Niemal na środku grupa policjantów w maskach szczelnie zapinała białe kombinezony i przypatrywała się czemuś, czego z daleka Richard nie mógł jeszcze rozpoznać. Gdy podchodził bliżej, przestrzeń między policjantami poszerzała się. Stary pojemnik w kształcie wanny na czterech nogach przybierał coraz wyraźniejsze kształty. Pod nią leżał niewielki stos spalonych desek. W nozdrza Murraya wdarł się nieprzyjemny zapach. Trzy kroki później przerodził się w fetor. *Ciało!* Odór. Mdły, przejmujący, z nutką słodyczy. Trudno opisać jego intensywność. To jak włożyć dwa kilogramy surowego mięsa do wiadra, zamknąć, zostawić na słońcu, po dwóch tygodniach włożyć tam głowę i porządnie się zaciągnąć.

Jeszcze dwa kroki i zobaczył wszystko. Zobaczył, ale niczego nie pojmował. Gęsta ciecz w odcieniach brązu i czerni wypełniała całą wannę. Wynurzone skrawki odzieży stały w bezruchu w odrażających odmętach. Chmara much bzyczała nieznośnie nad breją; owady uderzały o twarze ludzi wokół, siadały im na ramionach. Spod powierzchni wynurzało się kolano, przebarwione rozkładem. Stopa, pozbawiona buta, okryta cienką skarpetką i oparta o krawędź pojemnika, wystawała z gęstej, śmierdzącej cieczy. Richard poczuł ścisk żołądka. Odruchowo schował nos i usta w rękaw prochowca.

– Co to jest, do cholery? – krzyknął przez rękaw do grupki policjantów.

– Chyba znaleźliśmy naszego chłopaka, Richard – zza pleców dobiegł głos Steve’a, kolegi z biura. Jego głos brzmiał inaczej, wydobywał się spod białej maski. Mężczyzna podszedł do detektywa. W wysuniętej dłoni trzymał jeszcze jeden ochraniacz na usta i nos.

– Skąd to wiecie? – Richard przyłożył maskę do twarzy. Nie była

całkowicie szczelna, ale pozwalała swobodniej oddychać.

– Tamten zielony but na ziemi i materiał w wannie. Wygląda na kurtkę. Wszystko pasuje do opisu Simona Alvareza. – Steve najwidoczniej wcześniej przyjrzał się miejscu zgonu.

– Wiadomo, jak zginął? Jakoś nie mogę tego ogarnąć. – Murray badał wannę wzrokiem z pewnej odległości. Nie miał pojęcia, jak do tego doszło.

– Ewidentne zabójstwo. Pod wanną widać zwęglone kawałki desek. Zobacz, cały spód jest czarny. – Smith wymachiwał palcem wskazującym przed twarzą kolegi. – Wygląda na to, że ktoś chłopaka zabił, a potem ugotował. Gorzej, jeśli było odwrotnie.

– Odwrotnie? – Murray nie potrafił trzeźwo myśleć w tym odorze.

– Może ktoś wrzucił go nieprzytomnego do wanny i ugotował żywcem.

– Cholera! – Wszystko zaczęło powoli układać się w całość.

– Zakładamy, że wanna była wypełniona wodą. W drugim pomieszczeniu znaleźli kran i stare wiadra, więc sprawca lub sprawcy musieli się chyba najpierw natrudzić, żeby ją wypełnić. To, co teraz widać, to rozgotowane ciało w rozkładzie. Jednym słowem, zupa – stwierdził Steve.

– O identyfikacji na miejscu nie ma nawet mowy.

– Poczekamy na wyniki DNA, ale to na pewno ten chłopak. Stopa ma raczej rozmiar tego buta. Zresztą, Richard, któż inny mógłby to być? Przecież nie ojciec Malcolm.

Policjanci w bieli obeszli wannę dookoła, przymierzając się do wyciągnięcia zwłok. Szczelne kombinezony, maski i rękawiczki zabezpieczały każdy skrawek ich ciał. Nic a nic nie mogło mieć styczności ze skórą. Znajomy koroner przyglądał się całej akcji z niewielkiej odległości. Nie widząc innej możliwości, jeden z funkcjonariuszy podszedł od strony wystającej stopy i objął ją od dołu palcami rękawicy. Zrobił krok w tył i pociągnął ostrożnie nogę do siebie. Widząc, jak ta wynurza się ze

śmierdzącej brei, kiwnął do kolegów z zadowoleniem. Noga wyłaniała się nienaturalnie łatwo. Po chwili nogawka spodenek do kolan stanęła w miejscu, a spod niej wylazły strzępy rozgotowanej skóry i mięsa. – Niech to szlag! – Puścił stopę i jednym ruchem odwrócił się od wanny. Rozgotowana noga odkleiła się i płynnie zsunęła po piszczeli. Niemal wszyscy odwrócili się w tym samym czasie z głośnym jękiem obrzydzenia.

Nie była to normalna procedura, ale w Anterrey nic nie było normalne. Z uwagi na brak ciężkich przestępstw służby dysponowały dość podstawowym sprzętem, a i ten dotychczas się kurzył.

– Wychodzę stąd! – rzucił Steve i ruszył w stronę wyjścia.

Richard dotrzymał mu kroku.

– Nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego! Kto, do diabła, mógł coś takiego zrobić?!

– Najwyraźniej ktoś, kto posiadł umiejętności wszystkich najgorszych psychopatów świata.

– Nie sądzę, żeby ci bezdomni byli w stanie nawet o czymś takim pomyśleć, ale ich pierwszych trzeba przesłuchać. – Richard zdjął maskę, czując świeży podmuch powietrza z zewnątrz.

– Kobietę przed budynkiem chłopaki już sprawdzają. To ona znalazła ciało. Resztę też znajdziemy. To kwestia paru dni, nie więcej. – Steve mówił szybko, najwidoczniej zszokowany tym, co zobaczył przed chwilą.

Przed budynkiem stały zaledwie trzy osoby. Wszyscy rozproszyli się po pustostanie i okolicach w poszukiwaniu wskazówek, dowodów, a może kolejnych zwłok. Nie każdy widział z bliska to, co Richard. Większość nie miała odwagi podejść, ale podsłuchane rozmowy i wyobraźnia w pełni im wystarczyły, by wyrobić sobie pogląd sytuacji. Dzień był szary, jak zawsze, ale wyjątkowo jasny i radosny w zestawieniu z obrzydliwym, rozdzierającym żołądek miejscem zbrodni w opustoszałej szwalni. Richard Murray oparł się

o radiowóz i patrzył na Steve’a z papierosem w ustach. Nerwowo oklepywał kieszenie spodni.

– Z nerwów nie mogę znaleźć zapalniczki! – Jego twarz, a zwłaszcza usta, drżała, mężczyzna wciąż nie mógł się otrząsnąć. – Richard, czy myślisz, że to dopiero…

– Początek? – dokończył Murray i zwiesił głowę w zamyśleniu. – Nie wiem, stary. Staram sobie wmówić, że to pierwszy i ostatni trup, ale moja intuicja niestety nie daje się przekonać.

– Nawet nie chcę myśleć, jak zareagują wierni, jeśli okaże się, że ojciec Malcolm również… – Steve nie dokończył zdania.

– Wiem, co masz na myśli. Musimy mieć nadzieję. – Richard klepnął kolegę w ramię i ruszył do samochodu. – Jadę na komendę. Tu już nic więcej nie możemy zrobić.

Nie powiedział tego głośno, lecz to nie osoba ojca Malcolma zajmowała mu teraz umysł. Twarz miał smutną, głowę wypełnił niepokój.

Tatiana!

ROZDZIAŁ 3

O’Donnell spał niespokojnie. Znów męczyły go senne koszmary. Za każdym razem pojawiało się coś nowego, równie niezrozumiałego jak reszta obrazów. Najpierw był w jakimś mieszkaniu, urządzonym w stylu retro. Siedział przy stole i przeglądał gazetę. Przewracał leniwie kartki, aż wreszcie zatrzymał się na rubryce towarzyskiej. Język wydawał mu się dziwny, obcy, a jednak doskonale wszystko rozumiał. *Wdowiec, 43, o dobrych manierach i dużych dochodach pragnie poznać wdowę w celach matrymonialnych.* Do stołu podeszła jakaś kobieta w czarnych włosach, spiętych w kok i z przedziałkiem pośrodku. Jej ubiór nie pasował do współczesnych trendów. Prosta brązowa suknia z jasnymi guzikami od szyi aż po kostki przywoływała te same skojarzenia: nieśmiała, z tradycyjnej rodziny i wychowana po katolicku. Chwilę później do pokoju wszedł młody chłopak z zespołem Downa. Scena zdawała się być momentem z życia jednej rodziny.

Przed oczami Anthony’ego ponownie stanęła znajoma scena, której nie potrafił zrozumieć. Uciekał po mokrym chodniku, w środku nocy. Biegł co sił w nogach, dysząc niemiłosiernie. Cienie obcych ludzi niemal podcinały mu stopy. Słyszał te same głosy, te same wołania:

– Ru! Ru!

Sen przebiegał niezmiennie w tym samym porządku, a jednak teraz widział więcej szczegółów. Z góry spoglądała tabliczka wciśnięta w mur,

wypisana białą farbą. Spojrzał na nią i dostrzegł nazwę ulicy. Tym razem ją przeczytał, ale nie zapamiętał. Nie było czasu. Znów skręcił w wąską uliczkę i wiedział, jak to wszystko się skończy.

Ciało O'Donnella powoli zaczęło się wybudzać, lecz koszmar trwał w najlepsze.

Pomieszczenie było surowe i chłodne. W środku panował półmrok pomimo prawie trzymetrowych okien. Drewniane ławki tworzyły otwarty kwadrat. Na środku stało solidne biurko, a przy nim tkwili starsi mężczyźni w togach. Siedział po prawej stronie sędziów i rozglądał się wokół. Funkcjonariusze policji z poważnymi minami i podkręconymi wąsami siedzieli obok i tuż za nim, pod zimną ścianą. W długich ławach grupka osób, większość ubrana na czarno, spoglądała raz na twarze sędziów, raz prosto na niego. Czuł, że siedzi po niewłaściwej stronie sali sądowej. Wszyscy wyglądali bardzo podobnie. Wijące się wąsy i długie brody rzucały się w oczy. Szerokie kapelusze i suknie z falbanami okrywały żeńską część widowni.

– Jest winny popełnionych czynów! – dokończył werdykt sędzia.

– Ha, nic na mnie nie macie. Nie macie żadnych dowodów. Jedynie poszlaki. Pokażcie ofiary! Strzeżecie prawa, którego nie potraficie egzekwować.

– Jak mogłeś mi to zrobić?! – Przez tłum przedarł się zrozpaczony damski głos. Kobieta w pierwszym rzędzie z idealnie prostym przedziałkiem wzdłuż głowy i w koku krzyczała w jego stronę z ław widowni. Płacz przenikał jej drżący głos, a łzy zalewały policzki. – Rozbiłeś nasz związek i zostawiłeś mnie samą z dzieckiem na pastwę losu! Czym ja sobie na to zasłużyłam? Pożałujesz tego! Kiedyś i ty zostaniesz sam! Zobaczysz, kiedyś i ty zostaniesz sam!

Anthony otworzył oczy. Dochodziła trzecia trzydzieści. Wiedział, że już

nie zaśnie. W domu panowała cisza. Wyszedł na korytarz. Drzwi do pokoju Barbary były przymknięte. Przystanął przy nich, lecz z wnętrza nie dochodziły żadne dźwięki. Zdawał się słyszeć spokojne wdechy i wydechy, choć sam nie był do końca pewien, czy nie jest to przypadkiem tylko wytwór jego wyobraźni. Nie sprawdził. Nie chciał jej budzić. Zresztą i tak pragnął pobyć sam. Ciężkie wizje senne nie dawały mu spokoju. Stawały się coraz głębsze, coraz bardziej wyraźne, coraz bardziej irytujące. Przeszkadzały w spokojnym odpoczynku. Postanowił usiąść w salonie i je zapisać. Na kredensie przy wejściu dostrzegł kubek z ołówkami i długopisem. Obok leżał mały notes z kilkoma kartkami. Usiadł na kanapie, przysunął stolik i położył notes przed sobą. Dłoń z ołówkiem ani drgnęła. Nic nie przychodziło mu do głowy. Za późno. Czas minął. Wszystkie obrazy z koszmaru wyparowały z pamięci.

– Kiedy to wszystko się skończy? – szepnął do siebie w nagłym poczuciu bezsilności.

Nie był załamany swoim położeniem, a przynajmniej jeszcze nie teraz. Jedyne, co odczuwał, to psychiczny i fizyczny dyskomfort. Czuł się niepewnie w obliczu zawodzącej pamięci, tymczasowego życia bez przeszłości i niepełnego zrozumienia otaczającej rzeczywistości. Jeszcze raz rozejrzał się po pokoju. Podświadomie zbliżył się do biblioteczki, stojącej pod ścianą naprzeciw drzwi wejściowych. Pięć rzędów książek rozciągało się na całej szerokości półek za szklanymi drzwiami. Oprócz dzieł jego autorstwa stały tam powieści różnych gatunków, czasami dylogie i trylogie mniej lub bardziej znanych autorów rozmaitych narodowości. „Szósty” Agnes Scorpio, „Grzech ojca” Dana Rada, „Podpalaczka” Stephena Kinga, „100 uczonych, odkrywców i wynalazców, którzy zmienili świat” Jona Balchina, „Za zamkniętymi drzwiami” B.A. Paris. Anthony dopiero teraz zauważył coś, co nie rzuciło mu się w oczy za pierwszym razem. Czerwony

laptop stał oparty o wewnętrzną ścianę. Pod nim spoczywał zasilacz. Kilka minut później otwierał już skrzynkę e-mailową. Poczta z informacją z banku sprzed piętnastu dni to najświeższa wiadomość, jaką otrzymał. Reszta nie wyróżniała się niczym szczególnym. Kilkanaście wiadomości od nieznanych mu nadawców z wyrazami uznania i komplementami na temat jego kunsztu. Znalazła się też jedna od wydawnictwa. W treści ktoś rozpływał się nad wynikami sprzedaży „Wysypiska dusz" i wyrażał nadzieję na powtórzenie sukcesu. Wszystko to wypełniało skrzynkę od dłuższego czasu. Nikt nie przysłał nic w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Nikt nie zapytał o wypadek, o to, jak Anthony się czuje. *Czyżby nikt nie wiedział o moim wypadku. Jak to możliwe?*

Było jeszcze coś, co przykuło jego uwagę. Otworzył folder i poczuł się jak u siebie w domu. Jego oczom ukazały się pliki z nazwami, które kojarzył z tytułów własnych powieści. Anthony uśmiechnął się do siebie. Odczuwał niewytłumaczalną przepaść między chwilą obecną a tym, co widział na ekranie. Brakowało spoiwa, łączenia, które gdzieś tam istniało, ale wciąż było zatarte z powodu głębokiej luki w pamięci. Znalazł foldery ze znajomymi tytułami. Na samej górze zobaczył jeszcze jeden. Wszystkie inne stały już w formie książki na najwyższej półce biblioteczki, ale nie ten. Jeszcze nie.

Désiré. Podobało mu się to, co widział. Zdjęcia pochodzące z różnych stron internetowych, fotografie kobiet w dawnych eleganckich strojach i z przypisanymi imionami. Była tam niejaka Louise-Josephine, Thérèse, była też Celestine wraz z Anne, a także Jeanne-Marie. Przewinęły się też Berth-Anna i Marie-Angellique. Czarno-białe zdjęcia o słabej jakości przedstawiały zatłoczone ulice miasta, jego architekturę, postaci uchwycone przy różnorakich czynnościach. Wszystko to pachniało przedwojenną Francją z początku dwudziestego wieku. Jednak nie mógł się w tym doszukać

głównego wątku książki. Być może jeszcze nie powstał, a może kiełkował mu w głowie, zanim znaleziono go na dnie przepaści. Anthony przesuwał tekst suwakiem na monitorze, zatrzymując się co jakiś czas przy fragmentach, które uznał za ciekawsze.

– Ależ, Désiré, to bardzo uprzejme z twojej strony, ale nie chciałabym cię zanudzać historiami z przeszłości. Poza tym nie chciałabym cię w żaden sposób urazić.

– Nie zanudzasz, moja droga Thérèse. Bardzo chciałbym poznać twoją historię. W końcu nasza znajomość trwa już wystarczająco długo.

– Masz rację. Skoro nalegasz, to opowiem ci, dlaczego zostałam wdową.

– Ale tylko jeśli jesteś gotowa o tym mówić, moja droga. Teraz jesteśmy razem. Będę cię wspierał pod każdym względem i zapewnię ci dobre życie. Mój sklep meblowy przynosi znaczne dochody, więc będziemy mogli się utrzymać.

– Jesteś cudowny. Tak bardzo się cieszę, że cię poznałam, Désiré. Nigdy wcześniej nie odpowiadałam na ogłoszenia matrymonialne w gazecie, ale teraz wiem, że sam Bóg popchnął mnie do tego.

– Na pewno tak było, najdroższa Thérèse. Gdy tylko będziesz gotowa, wprowadź się do mojej willi i będziemy mogli wieść wspólne życie.

– Ach, Désiré…

Anthony O’Donnell poczuł się jak czytelnik pogrążony w lekturze swojego ulubionego autora. To pierwszy moment, w którym utrata pamięci odkryła swoją zabawną stronę. Czytał tekst swojego autorstwa i naprawdę nie wiedział, co może go zaskoczyć na następnej stronie. Nie kojarzył, skąd właśnie taki pomysł na książkę. Jeszcze raz postanowił przejrzeć losowo wybrany fragment w dalszej części pliku.

Désiré wyglądał dość śmiesznie. Niski, nieprzystojny mężczyzna o długiej brodzie i cherlawej posturze nie wpadał w oko kobietom o wykwintnym guście, a przynajmniej takim, którym los oszczędził cierpień. Ale w swojej przebiegłości i inteligencji, a także ze względu na niedawno zakończoną wojnę światową odkrył żyłę złota w bogatych wdowach przepełnionych cierpieniem i pragnących wypełnić pustkę w sercu.

– Madame Berthe-Anno Héon, kupiłem najurodziwszą różę, jaką mieli w kwiaciarni, specjalnie dla ciebie. – Désiré usiadł obok i wręczył kobiecie dojrzały kwiat.

– Ależ, Désiré, naprawdę nie musiałeś!

– Mam jeszcze jedną niespodziankę, a właściwie propozycję, którą wierzę, że zaakceptujesz. – Désiré patrzył na jej profil, podczas gdy Berthe-Anna spoglądała na kwiat.

– Propozycję? – Zerknęła na niego z nieskrywaną ciekawością.

– Bardzo chciałbym, abyś wprowadziła się do mojej willi w Gambais. Zobaczysz, że odżyjesz. Będziesz mogła odpoczywać w ogrodzie, będziesz mogła robić, co tylko zechcesz. Zapewnię ci wszystkie wygody, jakich tylko zapragniesz!

Minęła czwarta piętnaście rano. Panowała zupełna cisza. Mrok wciąż wypełniał cały dom. Słabe światło księżyca wpadało do środka. Nagle pojedynczy stukot wytrącił Anthony'ego z lektury. Odruchowo zamknął laptopa i odłożył go na stół. Spojrzał na bale na suficie. *Ktoś jest na górze.* Nie przypominał sobie, aby Barbara wspominała coś o innych domownikach. Był pewien, że coś słyszał. Jakby ktoś chodził po ciemku i przypadkowo kopnął jakiś przedmiot na podłodze. Anthony wstał i powolnym krokiem skierował się na korytarz. Zatrzymał się przy pokoju Barbary. To nie mogła być ona. Obrócił się. Drewniane drzwi o niestandardowych wymiarach

musiały prowadzić do pomieszczeń na górze. Ciemność działała na wyobraźnię, a ciało Anthony'ego pokryło się gęsią skórką. Schody wiodły na poddasze, gdzie mrok wydawał się odrobinę jaśniejszy przez srebrne światło księżyca wpadające do środka. Szedł niemal bezszelestnie. Stanął na górze i rozejrzał się wokół siebie. Strych na pierwszy rzut oka był dość mały i pokrywał jedynie część powierzchni budynku. Anthony dostrzegł dwa wąskie okna; przestrzeń była pusta pośrodku. Jedynie pod ścianami zalegały stare kartony, zużyta komoda i meblościanka z rzadko używanymi drobiazgami. Nie wiedział, co mogło spowodować ten hałas. Miejsce było wyraźnie zakurzone, ale nie nadawało się na dom dla myszy. Na małym stoliku pod ścianą dostrzegł błyszczącą latarkę. Snop światła przeszył pomieszczenie. Anthony ruszył do przodu i odruchowo spojrzał jeszcze raz w dół schodów. Znieruchomiał. Sam nie wiedział, czy ze strachu, czy z niedowierzania. Na dole, gdzie stał jeszcze przed chwilą, dostrzegł cień w kształcie człowieka. O'Donnell trwał nieruchomo, sekundy upływały.

– Barbara? – szepnął cicho.

Nikt nie odpowiedział. Cisza. Anthony nie zamierzał schodzić. A może nie miał odwagi? Ciekawość dziwnego stukotu na strychu była silniejsza od podejrzanej sylwetki na dole. Widać, że nikt od dawna tu nie sprzątał. Powolnymi krokami ruszył przed siebie, w miejsce nad salonem, gdzie jeszcze kilka minut temu zainteresowało go podejrzane tupnięcie. Kilka kroków dalej dostrzegł coś, co nie pasowało do zapylonego porządku poddasza. Pod samym oknem, na końcu meblościanki leżała półotwarta metalowa kasetka. Szary pył pokrywał niegdyś żywe kolory czerwieni i granatu połączone wzorami kwiatów. Spod wieka wystawały jakieś przedmioty. Nie wiedział, jak kasetka mogła spaść tak sama z siebie. Usiadł pod oknem i przytulił się do starego regału. Wziął pudełko w dłonie. Przedmioty, które kiedyś przedstawiały pewnie jakąś wartość, przynajmniej

sentymentalną, w tej chwili – przy uporczywej nieobecności wspomnień – nie miały większego znaczenia. Na samym dnie leżała niezaadresowana koperta. Otworzył ją wolnym ruchem i wyciągnął ręcznie pisany list. Ze zgiętej kartki wyleciała fotografia mężczyzny siedzącego na trawniku pod drzewem, z laptopem na kolanach. *To ja!* Tuż za nim skarpa i woda mieniąca się światłem promieni słonecznych. Na dole kadru nagie stopy z polakierowanymi na czerwono paznokciami spoczywały na trawniku; niezbyt wyraźne, ale na pierwszym planie. Rzucające się w oczy, a jednak nie w centrum soczewki aparatu.

Kochany!

Lubię patrzeć, gdy piszesz. Nie sądziłam, że kiedykolwiek doświadczę tego momentu. Pamiętam pierwsze chwile po przeczytaniu Twojej pierwszej książki. Nic o Tobie nie wiedziałam, a jednak bardzo chciałam Cię poznać. To było coś niewytłumaczalnego. Jakaś wewnętrzna siła kazała mi Cię odnaleźć. Wszystkie słowa w powieści być może były zwykłym drukiem dla innych. Ze mną było inaczej. Przemawiały do mnie Twoim głosem, choć nigdy wcześniej go nie słyszałam. Przemawiały głosem, jaki wcześniej znałam. Tak jakby był zakodowany we wnętrzu mojej duszy. Donny, nie wiedziałam o Tobie nic oprócz notki autorskiej na okładce. Dziś mogę być przy Tobie, w chwili tworzenia następnego dzieła. Wiem, że znów porwiesz moje serce, tak jak zrobiłeś to powieścią „Z Zaświatów”! Przebyłam długą drogę, by odnaleźć siebie, a kiedy w końcu stanęłam, okazało się, że Ty również tu jesteś. Przypadek czy przeznaczenie?

Przebarwienie w dolnej części kartki nie pozwalało mu odczytać podpisu. List był krótki, a kartka jeszcze nie zdążyła pożółknąć. Widocznie został napisany stosunkowo niedawno. Barbara najwyraźniej potrafiła pięknie pisać. Jej słowa były bardzo przekonujące, emanowały ciepłem

i uczuciem. Anthony poczuł się źle. Wyrzuty sumienia ścisnęły mu serce. Nie ufał Barbarze, lecz słowa napisane na kartce nie dawały mu ku temu podstaw. To jednak nie wyjaśniało, dlaczego kobieta wydawała się tak zdystansowana. Uczucia emanujące z listu kontrastowały z emocjonalnym chłodem panującym w domu.

Z powodu amnezji nie mógł wysnuć żadnych sensownych wniosków, miał ku temu za mało przesłanek. Wiedział, że musi poczekać. Nie wiedział tylko, jak długo. Dni? Tygodnie? Miesiące? Sytuacja bardzo go przytłaczała. Im dłużej o wszystkim myślał, tym bardziej pogrążał się w smutku. Anthony przysunął zgięte nogi do siebie i włożył głowę między kolana. Ciche pojękiwania i stęknięcia rozpływały się w zakurzonym powietrzu i znikały w przestrzeni poddasza. Łzy wypływały spod powiek i rozbijały się o podłogę. Uspokoił się po dwudziestu minutach. Cisza zaczęła dawać się mu we znaki, jakby dopiero teraz ją sobie uświadomił. Nagle usłyszał dźwięk. I jeszcze jeden! Delikatne szurnięcie i lekkie skrzypnięcie deski. Podniósł głowę i nadstawił ucha. Włożył list ze zdjęciem i resztę przedmiotów do pudełka i odstawił je na półkę meblościanki. Wiedział, że jeszcze nie raz tu wróci. Teraz musiał już iść. Powolnym, niemal bezszelestnym krokiem podszedł do poręczy. Ruchem kciuka wyłączył latarkę i postawił ją tuż przy schodach. Spojrzał w dół. Po chwili wstrzymał oddech. Serce zabiło mu mocniej. Po ludzkim cieniu, który zdawał się widzieć, gdy tu wchodził, nie było ani śladu. Mrok nocy pokrywał podłogę parteru.

ROZDZIAŁ 4

Stary Yakshit siedział zamyślony w glinianych ścianach chaty. Chrust leżał w palenisku, gotowy na wieczór. Światło dnia przebijało się przez otwór na środku strzechy. Rozjaśniał, a zarazem pozwalał wietrzyć wnętrze. Słońce dopiero rozpoczynało swoją wędrówkę w dół ku horyzontowi, a więc droga do końca dnia była jeszcze daleka. Indianin rozmyślał w pozycji po turecku, ale nie wiadomo, czy snuł wizje przyszłości, czy może roztrząsał w głowie to, co już na pewno się stało – coś, o czym mógł wiedzieć tylko on i nikt inny. Przed nim leżała gazeta – „Przegląd Anterrey". Często ją dostawał od odwiedzających wraz z jakimś posiłkiem w zamian za poradę czy szybką sesję bioenergoterapeutyczną. Wprawdzie wiadomości ukazywały się z poślizgiem, ale mimo to Yakshit orientował się, co dzieje się w mieście, we wszystkich sferach życia, a przynajmniej tych doczesnych. Wiedzę o sferze duchowej i pozaziemskiej czerpał z innego źródła.

Pomarszczone palce powolnym ruchem chwyciły krawędź gazety i zaczęły przewracać strony. Kartki kładły się płasko na ziemi. Po chwili się zatrzymał. Wiedział, co chciał zrobić. Inni zrobiliby to z ciekawości; on tylko po to, by samemu przed sobą potwierdzić oczywistość. Pochylił się nad rozpostartym papierem. Strona szósta. Fotografia przystojnego mężczyzny w średnim wieku o włosach w kolorze ciemnego blondu i zaroście tego samego koloru wołała o pomoc. Drugie zdjęcie tego samego mężczyzny

ściskającego się ze swoim przyjacielem. Zaginiony od paru tygodni i ostatnio widziany przed swoim domem do dziś nie dał znaku życia. Zapewne nikt z mieszkańców nie pamiętał czasów, kiedy ktoś przepadł tu bez śladu. Dlatego ta rubryka – niegdyś traktująca o błahych przewinieniach i kolizjach drogowych – tak bardzo zyskała na znaczeniu. I choć zdjęcia zdążyły się już wszystkim opatrzyć, to wciąż utrzymywały społeczność miasteczka w szoku i strachu, czy aby nie pojawi się jakieś nowe. Indianin wziął głęboki oddech, a stara dłoń zawisła kilka centymetrów nad fotografią.

– Przemów do mnie – szepnął ochrypłym głosem.

Po kilku sekundach pyłki kurzu wokół gazety zerwały się z glinianej podłogi – wszystkie jak najdalej od niewidzialnej siły kumulującej się w powietrzu między dłonią Yakshita a papierem. Podmuch wiatru wdarł się do środka, najpierw krótki i delikatny, a po chwili bardziej porywisty, trwający kilka sekund. Długie kruczoczarne włosy, z czerwoną plecionką wokół skalpu, podniosły się z ramion, lekko trzepocząc na wietrze. Wyciągnięta ręka drżała coraz bardziej. Przestrzeń nad gazetą rozjaśniła się, tworząc pomarańczową, przezroczystą kulę.

– Przemów do mnie!

Indianin zamknął oczy. Serce starca kołatało niemiłosiernie. Płytki oddech ustawał co kilka sekund, nie zakłócając coraz to bardziej wyrazistych wizji. Dziwny odgłos zamienił się w krzyk. W majakach szamana znów rozgrywały się mroczne sceny. Widział bezwładnego mężczyznę. Chciał krzyczeć, ale paraliż odebrał mu mowę. Oczy przepełniały się strachem i paniką. Nad nim stał ktoś jeszcze, ale Indianin nie widział twarzy. W ciemnych obrazach błysnęło ostrze noża i przecięło gardło ofiary. Nagle poprzeczny ból przeszył struny głosowe szamana. Napięta dłoń jak magnes przywierała do pomarańczowego skupiska energii, zbyt słaba, by się uwolnić. Druga dłoń ścisnęła za grdykę, jakby próbowała zamknąć przełyk. Oczy się

zacisnęły. Spod powiek wypłynęły łzy. Kilkaset metrów dalej stado wron okupujące półnagie drzewa zerwało się w panice i odleciało w siną dal. Starzec leżał nieruchomo na utwardzonej ziemi i ciężko oddychał.

***

W mieście posterunek policji pracował już pełną parą. Głowy pochylały się nad stosami papierów na biurkach. Detektyw Murray właśnie kończył drugą kawę tego dnia. Siedział na krześle i wystukiwał palcami o blat tylko sobie znaną melodię. Nie wyglądał na zapracowanego ani specjalnie zestresowanego, jedynie na bardzo zamyślonego. Tymczasem z oddali wyłonił się rudowłosy Steve z nadgryzionym jabłkiem w ręku.

– Co tak siedzisz, jakbyś nie miał nic do roboty? – rzekł do Richarda.

– Mam, i to aż za dużo, ale próbuję wczuć się w tego psychopatę i wywnioskować, jakie trzeba mieć motywy, aby dosłownie ugotować dziecko w wannie.

– Właśnie wróciłem od rodziców chłopaka. Cały sztab psychologów nad nimi pracuje. Jeden na pewno nie dałby rady. Terapia i psychotropy może doprowadzą ich do stanu używalności, ale w tym przypadku to będzie długotrwały proces.

– Rozmawiałeś z nimi? – Richard spojrzał na stojącego nad nim kolegę.

– Rozmowa to chyba za dużo powiedziane. Zadałem im kilka pytań co do ubioru chłopaka tamtego dnia. Potwierdzili but i spodnie. Spytałem też, czy może był z kimś umówiony, a może ktoś miał go odwieźć do domu. Nic nie pamiętali, nie byli w stanie wydusić ani słowa. Fotografie wystarczyły, aby zniszczyć im psychikę. Mówiłem, że na wyniki DNA trzeba jeszcze trochę poczekać, aby mieć stuprocentowe potwierdzenie, ale to ich nie uspokoiło.

– Faktycznie, marne pocieszenie. DNA to tylko formalność. Jak żyję nie

zdarzyło się jeszcze, aby ktokolwiek zaginął w tym mieście. Teraz mamy nagle trzy zaginięcia i właśnie znaleźliśmy jedną ofiarę. Potwierdzili ubiór, więc nie ma o czym mówić. Już nawet nie pytam, czy zabierasz ich na identyfikację.

– Identyfikację czego? Rozgotowanego mięsa na kościach? Nikomu nie zaserwowałbym takiego widoku, a już na pewno nie rodzicom. Stary, nikt jeszcze takiego czegoś nie widział. Ale mniejsza o to. Przyszedłem, bo szef cię wzywa.

– Wiedziałem, że nie przyszedłeś na pogaduszki. – Murray wstał z krzesła i zrównał się wzrokiem ze Steve'em. – Idziesz ze mną?

– Nie. Gadałem z nim wcześniej, więc wszystko wiem. Wracam do roboty. Widzimy się później.

Biuro komendanta nie zmieniło się od ostatniej wizyty. Stół z papierami przypominał każde inne stanowisko pracy na komendzie, z wyjątkiem tego, że znajdowało się w uprzywilejowanym miejscu – było oddzielone oszkloną ścianą i prawie nie docierał do niego hałas. Szef siedział za biurkiem pogrążony w rozmowie telefonicznej. Twarz miał poważną, ale wyglądał na bardziej opanowanego, tak jakby zdołał przetrawić pierwszy szok związany z odnalezieniem ciała chłopca.

Detektyw Murray nie mógł jakoś ruszyć z miejsca. Nie miał koncepcji na resztę dnia; nie wiedział nawet, od której strony najlepiej podejść do sprawy. Nic nie chciało się kleić, więc wywiesił białą flagę do czasu, aż ktoś inny nie podsunie jakiegoś sensownego pomysłu. W całym tym szale i wstrząsie związanym z makabrycznym odkryciem zapomniał na jakiś czas o zaginionej Tatianie – przepięknej dziewczynie, z którą zainicjował coś, co można by nazwać początkiem zażyłej znajomości.

– I co wymyśliłeś? – Czarnoskóry Danny Jones odłożył telefon na biurko i oparł się o krzesło.

– Trudno zebrać myśli przy sprawie takiego kalibru. Mam wrażenie, że cała moja kariera dotychczas raczkowała, bo nic poważnego się nie działo.

– Nie tylko ty się tak czujesz. Spójrz na nich wszystkich. – Danny machnięciem dłoni wskazał na okno w ścianie. – Chodzą jak w ukropie. Twarze opanowane, ale to tylko złudzenie. Każdy sra pod siebie, bo nie są przyzwyczajeni do tak wytężonej pracy. Jeszcze dwadzieścia lat temu, gdy los rzucił mnie do Anterrey, miałem nadzieję na bardzo spokojną pracę aż do emerytury. Najwyraźniej się przeliczyłem, jednak im szybciej zamkniemy sprawę z zaginięciami, tym szybciej wrócimy do starej dobrej monotonii. Ale nie po to cię tu wezwałem, by się rozczulać nad naszym losem. Słuchaj, pojedziesz do mieszkania księdza Malcolma Murphy'ego i obejrzysz je dokładnie.

– Myślałem, że nasza ekipa była już na miejscu – odparł Richard.

– Posłałem dwóch młodych, bo reszta była zajęta. Pogadali z gosposią, porozglądali się po mieszkaniu, ale nic nie znaleźli. Chcę, żebyś dokładnie przerył jego chatę. Musimy mieć pewność, że niczego nie przeoczyliśmy.

– Szef sądzi, że Murphy ma jakiś związek z zaginięciem Simona Alvareza?

– Coś mi mówi, że tak, ale nie mamy jeszcze żadnych dowodów. Oficjalnie traktujemy Murphy'ego jako zaginionego. Ojciec Malcolm cieszy się nienaganną opinią wśród wiernych, więc ludzie nie mogą się dowiedzieć, że chcemy rzucić cień na jego nieskazitelną reputację. Nawet większość naszej komendy by się oburzyła, gdybym śmiał zasugerować coś innego. – Danny Jones zaczął stukać palcami o blat.

– A więc to wersja oficjalna, dla opinii publicznej. A ta druga? – Richard spojrzał na palce Danny'ego uderzające o stół i nie mógł się nadziwić, że jeszcze przed chwilą sam wystukiwał dźwięki jakiejś melodii, która brzmiała nad wyraz podobnie.

– Ta druga to możliwość popełnienia przestępstwa przez samego księdza i próba uniknięcia odpowiedzialności. Nie mamy nawet poszlak, by tak myśleć, ale musimy wziąć pod uwagę każdą ewentualność. Dlatego powołałem specjalną grupę śledczą.

– Specjalną grupę śledczą? – Richard podniósł brwi.

– Tak, to ty i Steve. Wybrałem was z dość szczególnych względów. Obaj jesteście zatwardziałymi kawalerami, więc nic nie wypaplacie swoim żonom, a one nie puszczą tego dalej.

– To dość nietypowe kryteria. – Podniesione brwi Richarda pozostawały w górze.

– Nietypowe, ale konieczne. – Danny Jones wziął głęboki oddech. – Poza tym czuję, że mogę liczyć na waszą rzetelność. Waszym zadaniem jest znalezienie wszelkich powiązań pomiędzy małym Alvarezem a księdzem Murphym. Ojciec Malcolm będzie dla was zaginionym, ofiarą, a także przestępcą. Chcę wiedzieć, co łączy te dwie sprawy, a może i trzy, jeśli weźmiemy pod uwagę tę młodą kobietę.

– Tatianę Zharkovą – odparł automatycznie detektyw Murray. Przed oczami miał jej piękną twarz.

– Tak, o tej mówię – kontynuował Danny – ale Zharkova poszła na urlop, więc miejmy nadzieję, że to fałszywy alarm i że sama się znajdzie. Ojciec Malcolm jest bardzo znany w mieście, więc jego zniknięcie spowodowało niemałe poruszenie. Musimy go znaleźć, inaczej ludzie nie dadzą nam spokoju. I lepiej, żeby odnalazł się cały i zdrowy!

Parafia Świętego Marka znajdowała się w centrum miasteczka. Mały drewniany kościółek, o prostej konstrukcji, z kapliczką, stał na niewielkiej posesji ogrodzonej ozdobnym płotem. Do zewnętrznej części ogrodzenia przylegał niewielki piętrowy dom. Paradoksalnie większość budynku zajmowała gosposia, będąca prostą kobietą po pięćdziesiątce. Sam ksiądz

zamieszkiwał przestronny pokój na piętrze połączony z łazienką i aneksem kuchennym. Nie było takiej osoby, która nie znałaby ojca Malcolma – przystojnego duchownego w sile wieku, o ciemnoblond włosach, nieco szpakowatego, z równo przystrzyżoną brodą i ciepłym uśmiechem. Jednak to, co najbardziej urzekało całą społeczność, to jego skromność, ciepłe usposobienie i głęboka wiedza teologiczna, którą umiejętnie przeplatał ze znakami zapytania, jakie niesie ze sobą trud życia doczesnego. To, w połączeniu z niezwykle aksamitnym głosem i błogim spokojem, czyniło z niego kogoś więcej niż tylko duchownego. Malcolm Murphy należał do wąskiego grona osób o największym zaufaniu społecznym i choć trudno byłoby wskazać jakiegoś mieszkańca Anterrey, który miałby zszarganą reputację, to właśnie Murphy był w oczach wszystkich postacią nieskazitelną.

Dzień nie był pogodny, choć zdarzały się gorsze. Uporczywa mżawka sączyła się z nieba. Atmosfera na zewnątrz była nieznośna, a ciężkie powietrze z wolna, acz niezmiennie nasiąkało grozą. Trwała cisza przed burzą zwiastująca nadejście najgorszego.

– Dzień dobry, detektyw Murray i Smith. Możemy wejść? Chcielibyśmy rzucić okiem na pokój ojca Malcolma, jeśli pani pozwoli.

– Ależ bardzo proszę. Było tu już takich dwóch, co to chcieli pokój zobaczyć, ale porozglądali się chwilę, wzięli laptopa do sprawdzenia i wyszli. Zadali kilka pytań i podpisałam jakiś tam papier, co się o ten laptop rozchodził, to wszystko.

Przed detektywami stała jasnowłosa, niska kobieta w luźnym brązowym swetrze i spódnicy do kostek. Nie pamiętała, że przed kilkoma sekundami zapraszała ich do środka. Stali tak w progu z mokrymi włosami i wykrzywionymi minami, czekając, aż gospodyni szerzej otworzy drzwi. Musieli wysłuchać jeszcze kilku zdań, nim udało się im przekroczyć próg domu. Maria Angelini, bo tak się nazywała gospodyni księdza, była prostą

osobą, starszą na twarzy niż w metryce i niesłychanie rozgadaną. Nie przerywała potoku słów, dopóki nie stanęli przed drzwiami pokoju na piętrze.

– Czy pamięta pani tego chłopca? – Richard Murray wyciągnął zdjęcie z podobizną Simona Alvareza.

– Wiem, wiem, o kogo chodzi. Pamiętam wszystkich ministrantów ojca Malcolma. – Nawet dobrze nie przyjrzała się fotografii. – Oni byli wszyscy jak jedna wielka rodzina. Simon był bardzo uczynnym chłopcem. Biedny chłopak. Ludzie mówią, że stało się z nim coś strasznego. – Splotła palce dłoni i przycisnęła do klatki piersiowej. Jej twarz przybrała wyraz zmartwienia.

– Simon Alvarez był ministrantem? – upewnił się Steve.

– Od ponad roku, jakoś tak. Chciał nawet śpiewać w chórku, ale dojrzewał chłopak i głos mu się łamał. – Gospodyni otworzyła drzwi i wprowadziła detektywów do środka.

– Ojciec Malcolm zapraszał ministrantów do domu? – Smith stąpał po grząskim gruncie, jednak łagodniej już się nie dało.

– Do domu nie zapraszał. Od czasu do czasu ministranci przychodzili z rodzicami do ogródka i ksiądz smażył kiełbaski. Wstęp do tego pokoju miałam tylko ja. Zresztą, to jego własna świątynia. Ojciec Malcolm bardzo ceni sobie prywatność.

– Dobrze pani pamięta tego Simona. – Richard delikatnie ciągnął za sznurki.

– Proszę panów, ten kościół to mój drugi dom. Ja codziennie go otwierałam i zamykałam razem z ojcem Malcolmem. Teraz robię to z księdzem Karolem, który jest tu na zastępstwie. A ten Simon to był najprzystojniejszy ministrant w parafii. Nawet ksiądz się nim często zachwycał w domu. Jedyny taki z ciemną buzią i czarnymi włosami. Taka meksykańska uroda. I do tego bardzo sympatyczny chłopiec. Zawsze się

ukłonił.

Richard i Steve stali na środku pokoju i wpatrywali się w rozgadaną Marię. Wyczerpali zapas pytań, o czym świadczyły ich znudzone i zmęczone twarze. Z grzeczności pozwolili gosposi dokończyć kwestię, a kiedy i ona znużyła się mówieniem, wyszła, zamykając za sobą drzwi.

– Najprzystojniejszy ministrant w parafii. – Steve znacząco pokiwał głową. – Wszyscy są tak samo zboczeni! Co my tu w ogóle robimy? Zdelegalizować tę całą mafię, a księży zagonić do orki na polu. Niech się w końcu nauczą ciężkiej pracy, zasrane skur…

– Zwolnij trochę. – Richard zdusił przekleństwo w zarodku. – Nie sądzę, aby miało to coś znaczyć. – Podrapał się po zaroście i rozejrzał po pokoju. – Jeśli jest jakiś związek między Malcolmem a jego ministrantem, to na pewno nie jakieś brzydkie zabawy. Ta kobieta jest zbyt szczera w swojej prostocie. Widać, że nie umie kłamać.

– Może i tak, ale prostota to często nadmierna naiwność. Uwierzyłaby w każde słowo Malcolma. A ludziom w koloratkach nie należy do końca ufać.

– Steve, powtarzam ci, że to nie to. Jasne, jest taka możliwość. Ksiądz dobierał się do ministranta, coś poszło nie tak i usunął chłopaka. Tyle że, do cholery, ten gówniarz skończył w wannie z wrzątkiem i to mi wcale nie pasuje. Po co Murphy miałby tak się trudzić, zamiast porzucić ciało w jakichś krzakach? Poza tym to miasto jest zbyt małe na takie schadzki. Gdzie miałby go bzykać? Kościół i dom odpada. Zresztą, poznałeś już tę mieścinę. Tu naprawdę zawsze było spokojnie. Ludzie co prawda ufni, ale zdystansowani, introwertyczni i jacyś tacy nadwrażliwi. Nie lgnęliby do niego tak bardzo ani tym bardziej nie posyłaliby do kościoła swoich dzieci, gdyby wyczuli coś podejrzanego.

– Sam już nie wiem, co o tym myśleć. – Steve zrezygnował

z domniemań i zaczął przeszukanie od szafy. Był wyraźnie podenerwowany.

Pokój ojca Malcolma zajmował większą część piętra. Emanował czystością i skromnością. Był niemalże odzwierciedleniem osobowości duchownego. Jednopokojowe mieszkanie z kuchnią i łazienką – praktyczne i bez przepychu. Dwa duże okna wpuszczały wystarczająco światła, by rozjaśnić całe pomieszczenie. Oba po tej samej stronie, wychodziły na teren plebanii, ulicę i okoliczne zabudowania. Pościelone łóżko w narożniku, obok biurko z krzesłem i komoda. Przy oknie podwójna szafa, biblioteczka, nieopodal stolik z ołtarzykiem do modlitwy, a w głębi niewielka kuchnia ze stołem dla dwóch osób i drzwi do łazienki. Podłoga wyłożona parkietem gdzieniegdzie pojękiwała pod naciskiem stóp.

Steve Smith przemierzył mieszkanie i zatrzymał się przy biurku. W szafkach nie znalazł nic przydatnego; kilka zapasowych kabli, pudełko z przyborami do pisania i kreślenia oraz mały album z fotografiami. Usiadł na krześle, otworzył go i przyjrzał się zdjęciom. Większość kart wypełniały czarno-białe wspomnienia z dzieciństwa, potem kolorowe ze święceń kapłańskich, aż wreszcie kilka bardziej współczesnych w towarzystwie znajomych wiernych.

– Mam wrażenie, że gdzieś już widziałem tego człowieka. – Steve zatrzymał wzrok na jednym zdjęciu. Na fotce ojciec Malcolm uśmiechał się do fotografa, stojąc w braterskim uścisku z siwowłosym mężczyzną. Za nimi czerwona ścianka z nazwą „Wysypisko dusz”.

– Pokaż. – Richard podszedł i przyjrzał się fotografii zza pleców kolegi. – Ach tak. To przecież ten dziwak, pisarz, którego znaleźli na plaży jakiś czas temu. W gazecie było jego zdjęcie.

– Wiedziałem, że skądś znam tę gębę. Dobra, w biurku nic ciekawego nie ma. Szukamy dalej i spadamy! – Steve odłożył album na miejsce i energicznie wstał z krzesła. W jego zachowaniu było coś dziwnego.

Wyrażało ono zniecierpliwienie i niepewność.

– Co ci jest? – spytał Richard, przyglądając się z ciekawością biblioteczce. – Odczuwasz chyba jakąś niechęć do tego miejsca. To za bardzo nam nie pomoże w zrozumieniu zaginięcia Malcolma.

– Wybacz, Richard, ale przeszłość nie pozwala o sobie zapomnieć. – Steve rozejrzał się jeszcze raz po pokoju.

– Co masz na myśli? Malcolm zalazł ci kiedyś za skórę?

– Nie. – Podszedł do mebla z kilkoma szufladami. – Mnie żaden ksiądz nie skrzywdził. Może byłem za brzydki, za stary albo jedno i drugie. Ale mój siedmioletni brat miał o wiele mniej szczęścia!

– A niech to! – westchnął Murray. – Nie wiedziałem!

– Widzisz, pochodzę z bardzo katolickiej rodziny. Moi rodzice byli strasznie zapatrzeni w młodego księdza z miejscowej parafii. To było na wsi, zanim przeprowadziliśmy się do miasta. Wiesz, ludzie byli zbyt ufni i naiwni. Pamiętam, jak raz nie mogłem znaleźć brata. Zniknął mi z oczu, kiedy bawiliśmy się w chowanego przy kościele. Wchodzę do środka, patrzę, a on akurat wychodzi z konfesjonału, cały blady. Po chwili widzę księdza jak opuszcza budkę. Spojrzał na mnie, odwrócił się i zniknął w głębi kościoła. Na początku nie wiedziałem, o co chodzi. Miałem jedenaście lat, więc za bardzo nie kojarzyłem. Dopiero potem do mnie dotarło. Mark, mój brat, zaczął się moczyć w nocy, krzyczał przez sen. Miał zrujnowaną psychikę.

– Przykro mi, Steve. – Richard poczuł się zaskoczony długim i osobistym wywodem kolegi. – Mam nadzieję, że z czasem odnalazł spokój.

– Odnalazł. Po ośmiu latach, gdy popełnił samobójstwo. A wiesz, co było w tym wszystkim najgorsze?

– Co?

– Że moi rodzice nigdy nam w to nie uwierzyli. Byli przekonani, że konfabuluję, a Mark musiał mieć jakieś problemy psychiczne. Ech! – Steve

westchnął i na chwilę spauzował. – Mniejsza z tym!

Atmosfera stała się ciężka. Kolejne minuty przeminęły w milczeniu. Podczas gdy Steve zajmował się komodą z bielizną, Richard wciąż nie mógł oderwać wzroku od biblioteczki z książkami. Po głowie kołatał mu się dołujący wywód kolegi.

– Myślisz, że coś mu się stało? – spytał Steve, nie przerywając oględzin.

– Mam nadzieję, że nie! Śmierć Alvareza wystarczająco poruszy ludzi, kiedy przeczytają w gazecie, że znaleźliśmy ugotowane ciało w wannie. A jeszcze jakby coś stało się księdzu, to równie dobrze moglibyśmy zamieszkać na posterunku, bo szef nie dałby nam żyć. – Mówiąc to, Richard wrócił po krzesło przy biurku i przeniósł je pod regał.

– Lepiej, żebyś miał rację. Może faktycznie nawiał, bo interesował się chłopakiem? – Steve wyraźnie forsował hipotezę o ucieczce. – Z drugiej strony – gdzie można się schować w Anterrey? Stąd nikt nie wyjeżdża ani tym bardziej nie ucieka. Tu wszyscy wszystko o wszystkich wiedzą.

– Nasz Malcolm interesuje się kobietami. I wygląda na to, że nawiał! – Do uszu Steve’a dobiegł głos Richarda. Tym razem było w nim coś nienaturalnego. Drżał jakby w ekscytacji i nagle zgasł na końcu zdania. – O ja pier… – Nie zdołał wydusić reszty.

Smith nerwowo odwrócił głowę. Jego kolega stał na krześle. W lewej dłoni trzymał kopertę, a w prawej coś, co wyglądało na zdjęcia i kartkę papieru. Twarz Richarda zbladła na chwilę, przybierając odcień kartki między jego palcami.

– Spójrz na to! – Murray zszedł z krzesła. – Wygląda na to, że nasz poszukiwany dał nogę, a niedługo te fotki wszyscy zobaczą w prasie!

Wszystkie przedstawiały tę samą scenę. Znajomy mężczyzna w swetrze i dżinsach siedział na ławce wśród drzew w towarzystwie kobiety. Ich splecione dłonie spoczywały na udzie kobiety. Druga ręka Malcolma leżała

na drewnianym oparciu ławki, zapewniając dodatkowe oparcie, a zarazem poczucie bezpieczeństwa. Twarze wpatrzone w siebie traciły dystans z każdym zdjęciem, by w końcu połączyć się ustami. Ostatnia fotografia w maksymalnym przybliżeniu odzierała scenę z jakichkolwiek wątpliwości. Malcolm Murphy miał romans z tajemniczą blondynką w czarnym żakiecie.

Obaj spojrzeli na wiadomość. Napisana odręcznie, drukowanymi literami. Jej wydźwięk nie pozostawiał najmniejszych złudzeń.

TEN SAM PARK. CZWARTEK, 29 SIERPNIA, GODZ. 20. INACZEJ UJAWNIĘ ZDJĘCIA PRASIE.

Steve Smith głośno wypuścił powietrze z ust.

– Niech to szlag! Gdzie to znalazłeś?

– W kopercie na książkach. Chciałem zobaczyć tytuły na najwyższej półce. Patrzę, leży jakaś koperta. – Murray raz jeszcze zeskanował pomieszczenie wzrokiem. – To chyba jedyne miejsce w pokoju niedostępne dla gosposi. Nawet jakby stała na krześle!

– Masz rację! – Steve Smith zmierzył wzrokiem górną półkę biblioteczki. – Co o tym wszystkim myślisz?

– Jawny szantaż. Data sprzed dwóch tygodni, więc pokrywa się z zaginięciem Murphy’ego.

– Poznajesz tę kobietę? Wygląda na ładną dziunię!

– Nie widać dobrze twarzy, ale wydaje się, że to ktoś z wyższym wykształceniem.

– I z pracą w biurze na wysokim stanowisku – dodał Steve. – Podejrzewam, że spotkała go po pracy. To nie jest strój na randkę.

– Bo to nie jest zwyczajna randka – powiedział Richard. – Wszystko zaplanowane pod jego grafik, być może trochę na spontanie. Ksiądz musiał wiedzieć, kiedy może wyjść bez wzbudzania podejrzeń.

– Szykuje się niezły skandal! Bierzemy gosposię na spytki?

– To chyba nie najlepszy pomysł. Oszczędźmy kobiecinie dodatkowego stresu i znaków zapytania. Obgadamy sprawę na komendzie. Szef musi to zobaczyć.

Obaj wyszli z domu księdza w kompletnym szoku. Dwadzieścia minut później wpatrywali się w twarz Danny'ego Jonesa, na której malował się cały wachlarz uczuć – począwszy od niedowierzania, poprzez zawód i konsternację, na rezygnacji kończąc.

– Szef wygląda na dziwnie zrezygnowanego – rzucił Steve prawie szeptem.

– Bo jestem zrezygnowany. Trudno zaakceptować to, że kolejny ideał i wzór do naśladowania upada w moich oczach, tak jak dziesiątki przed nim. Nie znałem go osobiście, ale uważałem za wyjątek od reguły, ostatnią nadzieję gatunku ludzkiego na tym popieprzonym świecie.

Richard i Steve siedzieli cicho bez pomysłu na komentarz.

– Był bardzo konserwatywny i tradycyjny, co dzisiaj uchodzi za coraz rzadszą cechę – kontynuował Danny, nie mogąc oderwać wzroku od fotografii w swoich dłoniach. – A przede wszystkim był wierny swoim ideałom, co dało się odczuć w jego kazaniach. Widziałem go w akcji na dwóch mszach. Ostatni raz kilka miesięcy temu, poszedłem z czystej ciekawości. Naprawdę inspirujący facet, prawdziwy motywator do działania. Pokazywał wszystkim, że jednak można być w pełni oddanym wartościom, i sam nieustannie do tego dążył. Stanowił idealny przykład człowieczeństwa z najwyższej półki, ale jak widać, to wszystko było tylko kolejnym złudzeniem. – Odłożył zdjęcie na stół, westchnął głęboko i spojrzał na podwładnych.

– Ja straciłem wiarę w ludzi, gdy zdałem sobie sprawę, że Święty Mikołaj tak naprawdę jest moim ojcem z doczepioną brodą z waty, w czerwonym płaszczu i czapce – dodał od siebie Richard.

– Nie można tak żyć. Musimy wierzyć, że są gdzieś ludzie lepsi od nas, jacyś godni przedstawiciele ludzkości. Chyba całe Anterrey potrzebowało takiego kogoś jak Murphy. Szczególnie Anterrey, bo to naprawdę bardzo dziwne i dołujące miasto, ale tylko nieliczni to dostrzegają. Każdy ukrywa tu swoje tajemnice, nawet psy mają coś dziwnego w oczach. Dlatego jeśli to zdjęcie wyjdzie na jaw, społeczność straci ostatniego sprawiedliwego, a miasto do reszty pogrąży się w obojętności i całym tym bezwładzie. – Szef skończył wywód.

– Wygląda na to, że ojciec Murphy zwiał z miasta w obawie przed kompromitacją. Być może nawet z tą kobietą. – Steve kierował rozmowę na odpowiednie tory.

– Mało prawdopodobne – rzekł Danny Jones. – O ile mi wiadomo, ojciec Murphy nie posiadał samochodu. Zresztą, z tego miasta chyba nie można uciec. Nie ma też gdzie się ukryć na dłuższy czas.

– Morderstwo Malcolma? – spytał Richard, przybierając swój charakterystyczny wyraz twarzy.

– Albo ucieczka kochanków w obliczu kompromitacji księdza! – stwierdził szef. – I chcę się trzymać tej hipotezy. Naszego miasta naprawdę nie stać na kolejny niewyjaśniony zgon.

– Ale jest jedna rzecz, która w tej chwili mnie nurtuje – wtrącił Richard, drapiąc się po podbródku. – Ten list ze zdjęciami znaleziony w pokoju ojca Malcolma ma już dwa tygodnie. To zbiega się z czasem, w którym zniknął. Mówiąc „morderstwo Malcolma”, nie miałem na myśli, że to jego ktoś zabił. A co, jeśli… – Zawiesił głos.

– Jeśli co? – ponaglił go Jones.

– Co, jeśli szantażystą był mały Alvarez?

– Ojciec Malcolm spotyka się z Simonem Alvarezem, odzyskuje zdjęcia i zabija go, by upewnić się, że nie puści pary z ust! Być może w całym tym

przedsięwzięciu bierze udział kobieta ze zdjęcia. Po akcji znikają, bo nie mają do końca pewności, czy kopie zdjęcia nie ujrzą światła dziennego! – Steve dokończył myśl Richarda.

– Bingo! – podsumował Richard.

– Niech to szlag! – zdenerwował się Danny Jones. – Lepiej, żebyście obaj się mylili! Steve, pojedź do rodziny Alvarez i zarekwiruj aparat! Psychologowie są jeszcze na miejscu, więc nie będziesz tam sam. Richard, postaraj się znaleźć to miejsce ze zdjęcia.

– Jasne! – odrzekł detektyw Murray. – Być może mam już pewien pomysł!

ROZDZIAŁ 5

I znowu ta ulica.

Stopy w pełnym biegu uderzały z tupnięciem i rozjeżdżały się po mokrej nawierzchni. Za plecami te same głosy, te same krzyki.

– Ru! Ru!

Już wiedział, że skręci z głównej ulicy. Jego wzrok zwrócił się w górę. Wmurowaną tablicę na rogu pokrywała namalowana białą farbą niezrozumiała nazwa. Ciemność rozproszyła się na moment. To było mgnienie oka, ułamek sekundy, ale wystarczyło, by pamięć zachowała obraz napisu.

O’Donnell zbudził się nagle z haustem powietrza w ustach. Włączył lampkę na nocnym stoliku i szybkim ruchem zgarnął kartkę z ołówkiem. Nie zastanawiał się ani chwili. Ulotny błysk rozpływał się w pamięci. Ostatnim wysiłkiem odczytał obraz, zanim ten rozproszył się w otchłani, i zapisał go na papierze. *Rivoli*.

– To niesamowite! – wyszeptał do siebie, nie mogąc wyjść ze zdumienia.

Uchwycił napis ze snu, być może pierwszy raz w życiu. Nie wiedział tego na pewno. W końcu jego pamięć sięgała tylko kilku dni wstecz. Odczuł chwilową radość z czegoś tak niewartego większej uwagi dla zdrowego mózgu. Dla niego natomiast, właśnie w tej chwili, był to wyczyn – znaczący

krok do zrozumienia własnych snów. W głowie myśli formowały się w jedną sensowną konkluzję. Koszmarne obrazy musiały rodzić się z pomysłów na nową książkę. Zapewne czekały na rozwinięcie, zapisane w pliku. Prawdziwy dowód, że szok pourazowy rozluźniał uścisk, a mózg powoli powracał do zdrowia. Musiał uzbroić się w cierpliwość, ale nie chciał zrzucać wszystkiego na barki czasu. W domu mieszkał ktoś jeszcze. Ktoś, kto bez trudu mógł opowiedzieć mu rzeczy, o których on nie wiedział nic.

Wstał ociężale i spojrzał na łóżko. Druga strona wciąż była nienaruszona. Nietknięta poduszka i gładka kołdra, pod którą od dawna nikt nie spał. Wyszedł na korytarz. Słyszał szmery dobiegające z kuchni. Barbara musiała się krzątać po domu. Zapewne słyszała jego kroki, ale nie wyszła się przywitać, nie odezwała się radosnym „dzień dobry". Dlaczego tak właśnie było? Czyż żona nie powinna cieszyć się z kolejnego poranka z mężem? Poszedł do łazienki i doprowadził się do względnego porządku, choć nie miał na to najmniejszej ochoty. Słabe ciało i zmęczony duch nie motywowały do walki z kolejnym dniem. Wszedł do kuchni i spojrzał na Barbarę. Szczupła szatynka w ciasnych dżinsach i niebieskiej koszulce kończyła myć naczynia. Była bardzo atrakcyjną kobietą o zgrabnej sylwetce. Anthony pomyślał, że w sprzyjających okolicznościach z przyjemnością kochałby się z nią przy kuchennych szafkach lub na stole. Nic nie pamiętał, ale nie zatracił w tym wszystkim naturalnego instynktu. W głowie buzował natłok pytań.

– Przygotowałam ci mleko z płatkami. Zjedz trochę – powiedziała krótko i łagodnie, ale nie odwróciła głowy. – Musisz nabrać siły.

– Dziękuję, Barbaro – odparł i usiadł do śniadania. Głód był silniejszy niż wczoraj – kolejny dobry znak, że wracał do zdrowia. – I dzień dobry! – dodał z lekkim przekąsem.

– Dzień dobry, Anthony, dzień dobry! – Tym razem spojrzała na niego z uśmiechem; wymuszonym, ale jednak. – Dobrze spałeś?

– Spałem – odpowiedział. – Męczą mnie dziwne sny, jakby z zupełnie innej epoki. Wszystko wydaje się starodawne, a do tego pełno krwi i jakieś trupy. Ja uciekam, ktoś mnie goni, a potem się budzę.

– To mózg tak odreagowuje upadek. Nie masz się czym przejmować – mówiła dość sucho i konkretnie, bez żadnych czułych słów czy zdrobnień.

– Wiem, już czuję poprawę, choćby w apetycie. Może i pamięć szybko się poprawi.

– Na to musisz poczekać. Lekarz mówił, że to być może nawet kwestia tygodni. – Barbara usiadła przy stole, po przeciwnej stronie, z przygotowaną kanapką na talerzu.

– Powiesz mi w końcu, co się ze mną stało i kim byłem wcześniej? Ta amnezja mnie dobija! – W głosie Anthony'ego dało się usłyszeć błaganie.

– To jeszcze nie czas, Anthony. Musisz po…

– Proszę! Ja naprawdę nie chcę czekać! – Podniósł głos bardziej, niż zamierzał. Spauzował na chwilę i spuścił z tonu. – Przepraszam. Niepotrzebnie się uniosłem. Ale ja muszę poznać te najbardziej podstawowe rzeczy, pobudzić umysł i pomóc sobie przypomnieć. Pomóż mi, proszę. Ja nawet nie wiem, gdzie mieszkam. Wszystkiego muszę się dowiadywać z gazety. – W sercu czuł narastającą bezsilność i rozpacz.

– No dobrze – westchnęła Barbara z obawą w oczach. – Co chciałbyś wiedzieć?

– Nawet nie wiem, od czego zacząć. Może od miasta?

– Jasne. Mieszkasz w Anterrey, małym, szarym mieście z dala od cywilizacji. Nudna mieścina, nic się nie dzieje, ale może właśnie dlatego wszyscy wydają się szczęśliwi. Bo nie chcą, żeby cokolwiek się działo.

– A coś o mnie?

– O tobie? – Zastanowiła się. – Jesteś bardzo inteligentny i zazwyczaj sympatyczny. Niekiedy uparty, wybuchowy i nieopanowany, ale to nierzadka

cecha u artystów. Jesteś pisarzem, piszesz poczytne powieści grozy.

– Tego zdążyłem się domyślić. Otworzyłem wczoraj laptopa, przeczytałem nawet kilka linijek czegoś, co wyglądało na moją nową książkę. Szkoda tylko, że nie pamiętam, o czym w ogóle piszę. Może ty mi powiesz? – Jego głos wyraźnie się uspokoił.

– Przyznam, że nie mam pojęcia. – Barbara pokręciła przecząco głową. – Nigdy nie opowiadasz, o czym piszesz, mówisz o tym bardzo zdawkowo.

– A o czym są moje poprzednie książki? Bo napisałem już kilka. – Anthony nie przestawał pytać.

– Nie… – Barbara zacięła się na chwilę. – Nie wiem, nie pamiętam dobrze. To są horrory, ale mówiłam ci wiele razy, że nie czytam horrorów. Wolę komedie i romanse, coś lekkiego.

– Rozumiem. – O'Donnell wyraźnie odetchnął. Niecierpliwił go jej oschły ton, ale starał się tego nie okazywać. Chciał dowiedzieć się jak najwięcej i nie miał zamiaru przerywać konwersacji niepotrzebnym uniesieniem. Widział jednak, że nie miała ochoty na rozmowę; robiła to tylko z grzeczności. – A moi znajomi? Mam jakichś przyjaciół?

– Przyjaciół? – powtórzyła wolno i niepewnie, zyskując chwilę na zastanowienie się, co Anthony zdołał szybko odnotować. – Nie masz, nie wiem. Może paru znajomych, ale to chyba twoi czytelnicy. Chodziłeś nieraz do biblioteki i tam się spotykałeś i rozmawiałeś z ludźmi. Wolisz siedzieć w domu, rozmyślać i pisać. Nie jesteś towarzyski – mówiła powoli, wolniej niż przed chwilą. W sam raz, by przemyśleć to, co chce powiedzieć.

Anthony był zdziwiony jej odpowiedzią.

– Ale ty chyba znasz kogoś poza mną?

– Znam. Znam ludzi, z którymi nieraz się spotykam, których widzę na ulicy, z którymi pracowałam w sklepie odzieżowym, zanim obcięli mi godziny do minimum. Ale nigdy nie mieliśmy wspólnych znajomych, bo ty

po prostu wolisz nie wychodzić. A zresztą mieszkasz z dala od miasta i nikomu nie chce się tu przyjeżdżać. – Barbara odpowiadała nieco drżącym głosem.

– To z czego się utrzymujemy?

– Mój drogi, z tego, co wypłaca ci wydawca za sprzedaż książek. Nigdy nie chciałeś, abym dużo pracowała.

– Kto mnie uratował, gdy doszło do wypadku?

– Hmm… – pomyślała głośno. – Ekipa ratunkowa. Podobno znalazł cię jakiś facet z psem, gdy przechodził plażą. Miałeś dużo szczęścia, bo nieczęsto ktoś zapuszcza się w te rejony. Pomoc nadeszła bardzo szybko. Miałeś ze sobą dowód, więc zadzwonili do mnie. Potem wprowadzili cię w śpiączkę, by nie dopuścić do nieodwracalnych zmian w mózgu. Wybudzono cię po trzech dniach. Resztę już znasz! – Ostatnie zdanie wypowiedziała z nutką zniecierpliwienia.

– A nasze małżeństwo? Jak długo jesteśmy razem? – Anthony nie ustawał z pytaniami i pochłaniał każde jej słowo, mimikę twarzy, gestykulację.

– Małżeństwo? My… – Tu musiała się zastanowić. – My przecież nigdy się nie pobraliśmy. Dlatego ty jesteś O’Donnell, a ja Orszanski. Anthony, wystarczy na dzisiaj, dobrze? – Nie chciała brnąć w dalsze przepytywanie. – Ty naprawdę potrzebujesz odpoczynku. Obciążanie się informacjami raczej ci nie pomoże. Zrelaksuj się, poczytaj książkę, potrenuj umysł. Ja muszę zaraz wyjść do pracy, bo potrzebują mnie na kilka godzin. Wrócę później.

Wstała od stołu i zabrała pustą miskę z talerzem. Nie dokończyła kanapki. Anthony zamilkł i obserwował kobietę. W sercu czuł ulgę, niedosyt i ból. Wiedział więcej niż przed kilkoma minutami, ale wciąż daleko mu było do satysfakcji. Najlepiej spędziłby z nią pół nocy na głębszej rozmowie, wspomnieniach, w poczuciu, że jest bezpieczny i kochany. Na próżno szukał

bezpieczeństwa i miłości w słowach Barbary Orszanski, których właśnie teraz, w tym całym zagubieniu, tak bardzo potrzebował. Wstał z krzesła, podszedł do niej i objął w talii od tyłu. Spięła się, czuł to. Bił od niej chłód, ale starała się to ukryć. Odwróciła ku niemu głowę i nadstawiła policzek, by mógł ją pocałować. Zrobił to, ale jej reakcja na jego dotyk wręcz go odrzuciła. Cofnął się i skierował do przedpokoju.

– Dziękuję, Barbaro. Pójdę do pokoju coś poczytać. – Zrobił kilka kroków i zatrzymał się w wejściu. – Ach, jeszcze jedno!

– Tak? – Barbara znów stała przy zlewie. Obcisłe spodnie dobrej marki opływały fantastyczne pośladki.

– Jak się do ciebie zwracałem? Czy jakoś czule?

Kobieta spojrzała przez chwilę w nicość, a potem na niego.

– Barbie, mówiłeś mi Barbie. – Uśmiechnęła się delikatnie, tym razem bardziej naturalnie.

– A ty do mnie?

– Tony! – I tu nastąpił moment zastanowienia. – Na ciebie mówiłam Tony, zdrobniale od Anthony'ego.

Godzinę później był już sam. Nie miał pewności, czy przysnął, czy może się zamyślił, w każdym razie nie zamienił już z Barbarą ani słowa pomiędzy ostatnią rozmową w kuchni a „do zobaczenia" i lekkim trzaśnięciem drzwi wejściowych. To była chyba najdłuższa konwersacja, jaką przeprowadzili od czasu jego wyjścia ze szpitala. Znowu musiał zrobić pierwszy krok, znowu musiał nalegać, by się do niego odezwała jak człowiek. Z jednej strony dostał to, czego chciał – garść informacji o swojej przeszłości. Z drugiej te lakoniczne odpowiedzi rodziły nowe pytania. Był zbyt inteligentny, nawet w swoim umysłowym niedołęstwie, by nie uchwycić tych wszystkich potknięć językowych, pauz i niespójności. Najgorsza chyba była rzecz najbardziej dla niego istotna: przejmujący chłód i brak czułości.

Starał się zrozumieć zachowanie i intencje kobiety. Trudno mu było zrozumieć, dlaczego partnerka nie wiedziała nic o jego życiowych projektach. A jeszcze bardziej zaskakujący wydawał się fakt, że nie potrafiła streścić żadnego z gotowych dzieł. Być może tylko konsumowała owoce jego pracy w postaci tantiem. Barbara nie potrafiła wymienić również żadnego dobrego znajomego, nikogo z nazwiska, z kim bardzo chętnie by teraz porozmawiał. Skoro ona nie mogła mu pomóc, zapewne był ktoś jeszcze, kto mógłby mu przypomnieć, kim tak naprawdę jest. W tejże chwili nastąpiło olśnienie.

Telefon komórkowy!

Zerwał się z sofy i rozejrzał po pokoju. Podszedł do biblioteczki, sprawdził stolik i wszystkie zakamarki, ale komórka przepadła jak kamień w wodę. Czyżby w ogóle jej nie miał? *To niemożliwe!* Przeczuwał, wiedział, że musi mieć. Wystarczyło ją znaleźć, ewentualnie naładować i sprawdzić kontakty. Zatrzymał się przy kuchni, ale zdrowy rozsądek podpowiadał, że tam jej nie ma. Szybkim krokiem skierował się do sypialni. Dłonie trzęsły się z ekscytacji, w nadziei, że znów do czegoś dojdzie na własną rękę, że i tym razem zrobi krok do przodu w poznawaniu zapomnianego świata. Otworzył szufladę w stoliku nocnym. W środku spoczywały fiolki z tabletkami przeciwbólowymi i środkami na sen. Sięgnął ręką w głąb i zamarł.

Jest!

Palce wyczuły plastikowy przedmiot pasujący do dłoni. Serce uderzyło z taką siłą, jakby chciało wyrwać się z klatki piersiowej. Wyjął rękę z szuflady i nie posiadał się z radości. Jednym ruchem odwrócił komórkę na drugą stronę. Ciało ogarnął bezwład, a nogi ugięły się w kolanach. Mały, srebrny telefon starej generacji był bezużyteczny. Obudowa ledwo trzymała się baterii, a pajęczyna pęknięć na ekranie odebrała nadzieję na odczytanie kontaktów. Pewnie miał go w kieszeni w chwili upadku.

Pustka. Anthony usiadł na łóżku. W mgnieniu oka opuściły go wszystkie siły. Rozpacz wzięła górę. Skulił się i płakał. Łkał jak nigdy wcześniej, jak dziecko pozostawione przez rodziców, jak ciężko chory pacjent bez nadziei na ujrzenie jutrzejszego wschodu słońca. Był sam – dosłownie i w przenośni – pozbawiony wszelkich złudzeń. Leżał tak jeszcze godzinę, dopóki nie skończyły mu się łzy. Wrócił do dużego pokoju. Jeszcze jakiś czas temu trwał w emocjonalnym bankructwie, a teraz siła ducha wracała z mocą tajfunu. Nie martwił się nagłymi wahaniami nastroju, ale nie zdawał sobie sprawy z rychłych konsekwencji swojego zmiennego zachowania. A te miały nadejść.

Usiadł na kanapie, dokładnie w tym samym miejscu co wcześniej, i powrócił do rozmyślań. Nagle chwycił się za głowę. Płat skroniowy przeszył ostry ból. Z każdą sekundą narastał i dezorientował myśli. Anthony zacisnął powieki. W czerni pojawiły się obrazy, ale nie takie jak wcześniej, nie te ze snów. Widział spacer po lesie. Dłonie w uścisku. Skarpę. Przed oczami mignęła mu szatynka z aparatem, celująca w niego obiektywem. Nagle znalazł się na łóżku w sypialni. Widział nagą kobietę. Uprawiali seks. Na końcu dostrzegł kawał folii ochronnej na podłodze. Nastąpiła ciemność. Długa ciemność. Otworzył oczy. Ból głowy prawie minął, a ciśnienie w żyłach wracało do normy. Odpłynął na godzinę, może na trochę dłużej. To pierwszy taki atak, zapewne wynik urazu głowy. Poczuł strach, ale z nutką optymizmu. Wspomnienia wydostawały się z niepamięci. Dobry znak. Spamiętał większość obrazów. Różniły się od tych we śnie. Były całkiem współczesne. Widział swoją sypialnię, las i skarpę. Dostrzegł kobietę i ich wspólną radość. A więc jednak byli szczęśliwi, tylko ten wypadek wszystko zmienił. Teraz Barbara była inną kobietą – poważną i smutną. O’Donnell odczuwał ulgę i odpływ negatywnych emocji. Zażegnał ból głowy, ale spodziewał się ponownego napadu. Miał rację, bo ten wkrótce znów miał

nadejść, i to w najmniej spodziewanym momencie.

Tępy huk rozszedł się po suficie. Anthony z niepokojem podniósł głowę. Ten sam odgłos co wczoraj. W domu był zupełnie sam, tego mógł być pewien. Nie odnotował też wcześniej żadnego przeciągu ani obecności gryzoni na poddaszu. Podniósł się i wyszedł na korytarz. Chwycił za klamkę i otworzył drzwi. Wąskie schody ciągnęły się pod sam dach. Tym razem nie potrzebował latarki. Za oknami panowała popołudniowa szarówka i choć widoczność nie była idealna, to mógł się obejść bez sztucznego światła. Wyraźniej niż poprzednio widział szczegóły w pomieszczeniu nad dużym pokojem. Ukośny dach poprzecinany balami zwisał dwa metry nad głową Anthony'ego. Siwa warstwa kurzu pokrywała wszystkie kartony i przedmioty na półkach meblościanki. Prawie od razu zauważył coś, co wykraczało poza zapylony porządek strychu. *Nie wierzę! To niemożliwe!* Ozdobna szkatułka z metalu leżała na podłodze niemal w tym samym miejscu co poprzednim razem. Spod otwartego wieka wystawały te same przedmioty – koraliki, szlifowany kamyk, liść lipy i parę innych drobiazgów o symbolicznym znaczeniu – koperta, ta sama fotografia i odręcznie napisany list.

O'Donnell czuł się niepewnie. Najwyraźniej coś wisiało w stęchłym powietrzu. Znów usiadł i przejrzał zawartość pudełka. Spojrzał na tę samą fotografię. Błoga scena, pełna beztroski: w oddali mężczyzna pod smukłą lipą o rozłożystej koronie wpatrywał się w otwartego laptopa, a nieostry obraz kobiecych stóp rzucał się w oczy na pierwszym planie. Suchy liść w pudełku musiał być symbolem ich wspólnego czasu nad urwiskiem. Dopiero teraz Anthony zwrócił uwagę na niewytłumaczalny ciężar odczuwalny w tej przestrzeni. Coś dziwnego, elektryzującego. Rozejrzał się raz jeszcze i zamarł. W samym narożniku, gdzie sklepienie łączyło się z podłogą, dostrzegł blady kształt. Zbyt słaby, by mógł od razu rzucać się w oczy; zbyt wyraźny, by go pominąć przy dokładniejszym oglądaniu

pomieszczenia. Wyglądał jak pionowy zarys sylwetki człowieka. Nie rzucał cienia na ściany. Stał zupełnie swobodnie w słabym świetle dnia.

Mężczyzna powstał z podłogi. Zrobił pięć kroków w przód. Szedł ostrożnie, wpatrując się w to samo miejsce. Schylił głowę, gdy dach zaczął się obniżać, i praktycznie wszedł w dziwne zjawisko. W rogu nie było nic namacalnego. Jedynie zapach w tym miejscu wydawał się bardziej intensywny – bez żadnej charakterystycznej woni, a jednak wyraźnie inny. Ciało O'Donnella zaczynało ciążyć, odczuwał mrowienie. Stał tak jeszcze przez chwilę i wrócił do meblościanki. Spod okna sylwetka znów była wyraźnie widoczna, a może to tylko przemęczony mózg i oczy płatały mu figle. Przetarł powieki i powkładał rozsypane przedmioty do szkatułki. Otwarty list opierał się o ścianę. Pamiętał jego treść, mimo że przeczytał go zaledwie raz. To dobrze świadczyło o jego schorowanej pamięci. Jednak coś dziwnego nie dawało mu spokoju, tak jakby kazało mu zajrzeć do środka.

Jakaś wewnętrzna siła kazała mi Cię odnaleźć… Przemawiały głosem, jakbym już wcześniej go znała… Donny, nie wiedziałam o Tobie nic, oprócz notki autorskiej na okładce… Przebyłam długą drogę, by odnaleźć siebie, a kiedy w końcu stanęłam, okazało się, że Ty również tu jesteś. Przypadek czy przeznaczenie?

Odłożył kartkę do pudełka; papierowe słowa odbijały się gdzieś w pamięci. Nagle otworzył szerzej oczy, a delikatny uśmiech zniknął w śmiertelnej powadze. Raz jeszcze rozprostował zgięty papier i znieruchomiał. Wzrok wyselekcjonował jedno jedyne zdanie z całej treści. Czytał je dokładnie, skracając końcówkę przy kolejnym podejściu.

Donny, nie wiedziałam o Tobie nic, oprócz notki autorskiej na okładce.

Donny, nie wiedziałam o Tobie nic, oprócz notki…

Donny, nie wiedziałam…

Donny…

W nagłym paraliżu umysłowym odezwał się oschły głos Barbary w porannej rozmowie, w czterech ścianach kuchni.

Tony! Na ciebie mówiłam Tony, zdrobniale od Anthony'ego.

Tony. *Donny*. Zdrobnienia podobne, ale nie takie same. Pierwsze pochodziło od imienia, a drugie miało być przemiłą ksywką od O'Donnell. Barbara nie miała prawa się pomylić, a jego uszy nie mogły przesłyszeć. Ta rozbieżność z pewnością nie była przypadkiem. Nie był nim też jej oschły głos, zauważalny chłód, brak troski i pewności siebie oraz momenty zastanowienia między zdaniami. O'Donnell włożył list do środka i postawił kasetkę na miejsce. Był w szoku, jakby dostał obuchem w głowę. Przez usta przedostał się słyszalny szept.

– Ty nie jesteś moją partnerką, Barbaro!

Zatrzymał się przy schodach i przeczekał falę wewnętrznego wstrząsu. Jeszcze raz zerknął w głąb strychu. Po metafizycznym cieniu nie było już śladu. Jednolita pustka unosiła się w zakurzonym powietrzu.

ROZDZIAŁ 6

Białe audi wtoczyło się na zupełnie zniszczony chodnik, porośnięty kępami trawy. Richard wyszedł na zewnątrz. Detektyw niespecjalnie dbał o swój wygląd. Pozornie zaniedbany, z bruzdami, a jednak przystojny. Z kolczykiem w uchu, a jednak męski. Chyba każda jego cecha miała w sobie jakieś „ale". Podobnie jak całe to miasto – niby szare i przygnębiające, ale nikt go nie opuszczał. I podobnie przeszłość Murraya – na pierwszy rzut oka ciekawa i bezstresowa, ale z wielką głęboką raną. Taką samą, jaka rozdzierała twarz jego wybranki i przenikała aż do czaszki. Krew na twarzy, blond włosach i ubraniu zdążyła już skrzepnąć, gdy dotarł na miejsce. Oczy z wolna zachodziły mgłą. Ze skóry umykały ostatnie barwy życia. Mieszkali w kanadyjskim Calgary i w tym samym miesiącu mieli obchodzić dwulecie jego służby i trzylecie udanego związku. Los chciał inaczej. Niezapięty pas i brak poduszki powietrznej miały wpływ jedynie na zakres obrażeń, choć nie na samą śmierć. Przy takim impecie nie było szans na przeżycie. Nie było jak uniknąć przeznaczenia. Rozpędzony minivan wpadł prosto na maskę samochodu z przeciwnego pasa i w ułamku sekundy przerwał młode życie. Murray starał się nie wracać do tragicznych wspomnień. Te, choć już bardzo odległe, wciąż potrafiły zaboleć.

Richard zapalił papierosa. Stał przed wejściem do opuszczonego lasku, nieuczęszczanego od dekad. Nie było żadnego ogrodzenia, żadnej bramy, po

prostu ścieżka biegnąca od resztek chodnika prosto między drzewa. Być może wraz z otwarciem nowego i bardziej nowoczesnego parku w samym mieście stary stracił na popularności. A może to stopniowy rozrost sąsiadującego cmentarza odstraszył miłośników drzew, pikników i lektury na ławeczce. To miejsce, szczególnie osobliwe wieczorową porą, zniechęcało nawet w najbardziej słoneczne dni (tych w Anterrey było jak na lekarstwo), a to za sprawą warstwy rzadkiej mgły utrzymującej się tuż nad gruntem, niezależnie od pogody. Co więcej, szerokie korony drzew stworzyły szczelną kopułę przepuszczającą promienie punktowo. W ten sposób spacerowicz mógł stać w snopie słonecznego światła i nie dostrzec potwora czyhającego w ciemnościach kilka kroków dalej. Park cmentarny, bo tak potocznie go nazywano, odpychał niemal każdego.

– To przez ten cmentarz – mruknął do siebie, idąc ostrożnie naprzód. Mgła owijała się wokół jego nóg. Powietrze stawało się coraz cięższe. Zapachy drzew i mokrej trawy przenikały do nozdrzy. Richard włączył latarkę. Snop sztucznego światła rzucał się na ciemniejsze miejsca, gdzie nie docierały promienie słońca. Park nie był szczególnie rozległy. Godzina wystarczyłaby na spenetrowanie terenu. Jednak miał on sporo zakamarków, do których nie docierały wydeptane ścieżki i trzeba było przedzierać się przez wilgotną trawę i krzaki.

Detektyw doszedł do punktu, w którym dróżki rozwidlały się w trzech kierunkach. Skręcił w lewo. Niewielka polana nierówno porośnięta trawą wdzierała się na drewniany plac zabaw i już dawno pochłonęła piaskownicę. Zmurszałe drewno resztkami sił podtrzymywało całość konstrukcji dla dzieci. To nie było właściwe miejsce – tak Richardowi podpowiadała intuicja. Zbyt otwarte, zbyt oczywiste, nawet na tak odizolowany punkt jak park cmentarny. Murray szedł wzdłuż ścieżki i rozglądał się dookoła. Podszedł do ławek oddalonych od siebie o kilka metrów, otaczających plac zabaw. Wiedział, że

był w dobrym miejscu, ale w jego złej części. Wyciągnął z kieszeni prochowca fotografie z mieszkania ojca Malcolma. Ławka do złudzenia przypominała tę, na której siedział ksiądz z tajemniczą kobietą. Żeliwna, zdobiona rama, zawijana na końcach, z wąskimi, próchniejącymi deskami na siedzeniu i oparciach – wszystko to było nieodłączną częścią tego niegdyś przemiłego parku.

Murray rozejrzał się raz jeszcze i cofnął do rozwidlenia. Podążył środkową ścieżką. Ta była szersza i jak wszędzie indziej wyłożona mglistym dywanem. Po obu stronach grube, złowrogie drzewa spoglądały na niego z góry. W oddali coś zaszeleściło w kępach trawy. Biegło na oślep w głąb lasku, rozpychając źdźbła na swojej drodze. Z każdym krokiem mężczyznę ogarniała coraz większa ciemność, jakby w mgnieniu oka nastał wieczór. Po dwóch minutach detektyw stanął w osłupieniu. Doszedł do miejsca, gdzie droga rozchodziła się w przeciwnych kierunkach. Skręt w lewo prowadził do innych partii parku. Idąc w prawo, trafiało się do bocznej bramy cmentarza. Ale on nie zamierzał iść dalej. Spojrzał jeszcze raz na fotografię, poświecił latarką przed siebie i po chwili wyłączył.

– Znalazłem! – powiedział do siebie głośno. W jego głosie nie było radości, raczej nutka niepokoju.

Dopiero teraz zauważył, jak bardzo drżały mu dłonie. Coś dziwnego unosiło się w powietrzu i naprawdę trudno było tego nie poczuć. Wyciągnął kolejnego papierosa, zapalił i głęboko się zaciągnął. Stał parę metrów od ławki ze zdjęcia. Znajdowała się na samym rozwidleniu, pozwalając kontrolować otoczenie z trzech stron. Była doskonałym punktem widokowym, a żwirowa nawierzchnia ścieżek powodowała, że dało się stąd usłyszeć kroki nawet z kilkunastu metrów. Murray wyciągnął rękę z fotografią przed siebie i upewnił się jeszcze raz. Była odzwierciedleniem tego, co widział przed sobą, acz najwyraźniej została zrobiona z innego

miejsca. Postanowił zlokalizować punkt, z którego zrobiono zdjęcia. Skręcił w prawo i bardziej zdecydowanym krokiem podążył przed siebie. W końcu stanął i dokończył papierosa. Kilkaset kroków dalej znajdowała się już tylko siatka otaczająca teren cmentarza. W oddali zarysowywały się jedynie kontury ławki. Wyciągnął telefon i wybrał numer.

– Halo? – odezwał się znajomy głos.

– Cześć, Steve. I co? Znalazłeś aparat?

– Właśnie od nich wyszedłem. Aparatu nie znalazłem. Matka twierdzi, że Simon Alvarez nie interesował się fotografią i nie miał żadnego aparatu. Jedynie ten w komórce.

– Niech to szlag! – rzekł Richard z lekkim zawodem w głosie. – To nie mógł być telefon komórkowy. Nawet najlepszy nie zrobiłby tak dobrych zdjęć przy słabym świetle i ze sporej odległości. To musiał być przynajmniej jakiś półprofesjonalny sprzęt z porządnym obiektywem.

– Więc jeśli rodzina Alvarezów mówi prawdę, to Simon nie jest naszym szantażystą. Wygląda na to, że straciliśmy punkt zaczepienia. A co u ciebie?

– Znalazłem to miejsce na zdjęciu. Nie pomyliłem się. To park cmentarny. Fotograf był jednak na tyle sprytny, że robił zdjęcia spomiędzy drzew, na mokrej trawie, więc był praktycznie niesłyszalny. Ścieżki tutaj to mieszanka piasku i żwiru. Odgłos kroków na pewno niesie się na jakąś odległość. Tak więc ktokolwiek robił te fotki, musiał o tym wiedzieć. Być może znał ten park dość dobrze, chociaż kto, do cholery, chciałby się tu zapuszczać?

– To już zupełnie wyklucza małego Alvareza. Trudno sobie wyobrazić dzieciaka z aparatem biegającego samego w takim miejscu. Dasz radę znaleźć dokładne miejsce, z którego robiono zdjęcia? Jeśli ziemia jest mokra, to może będą jakieś ślady?

– Wszędzie mech i trawa. – Richard rzucił okiem między drzewa. – Ale

może przy odrobinie szczęścia znajdziemy odcisk buta.

Po chwili zszedł ze ścieżki, oświetlając ziemię przed sobą. Mimo że trawa była niska, Richard stawiał duże kroki, jakby przechodził między kałużami. Przystawał co jakiś czas, porównując zdjęcie z widokiem przed sobą. Dopiero po kilku chwilach zrozumiał, że odległość między ławką i fotografem mogła być większa; wszak przybliżenie optyczne nie było tylko domeną aparatów z najwyższej półki. Stał wpatrzony w przestrzeń, próbując wyobrazić sobie scenę z tamtego dnia. *Czy ksiądz naprawdę miał romans z długowłosą nieznajomą? A może był tylko ofiarą w dobrze zaaranżowanej prowokacji?* W głowie detektywa kłębiło się bardzo wiele pytań. W tym całym rozmyślaniu było coś, co nie dawało mu spokoju, coś, co przeszkadzało w wysnuciu logicznych wniosków.

Co to jest, do cholery? – pomyślał, zaciągając się powietrzem.

Zapach kory i mokrej trawy był trochę inny niż w pozostałych częściach parku. Nos detektywa wyczuwał nutkę czegoś, co było mu dobrze znane, lecz zbyt słabe, by mógł to od razu scharakteryzować. Nagle coś zabzyczało mu przy uchu i usiadło na czole. W szybkim odruchu machnął ręką, wytrącając się z kontemplacji. Ruszył po wyimaginowanej linii strzału aparatu fotograficznego. Mgła nad ziemią stopniowo bladła w mocniejszym świetle dnia. Znów zaciągnął się powietrzem i wykrzywił usta. To, czego jeszcze przed chwilą jego nos nie umiał rozpoznać, było teraz nad wyraz oczywiste. Mdła, słodkawa woń mieszała się z zapachem parku. Smród gnijącego mięsa. Przed sobą dostrzegł coś dziwnego. Zgięte wpół leżało oparte o drzewo. Tak jakby ktoś porzucił zwinięty w rulon dywan. Murray skierował latarkę w stronę dziwnego kształtu, a jego wzrok podążył za snopem światła. Zatrzymał się gwałtownie i wstrzymał oddech. To nie był żaden dywan. Wytężył wzrok, a dziwny przedmiot nabrał ludzkich kształtów. Ciało, a właściwie to, co z niego zostało, rozkładało się na jego oczach. Niczego

nieświadomy szczur siedział spokojnie na ramieniu nieboszczyka, jakby szeptał mu coś do ucha. Jego główka się trzęsła. Richard zasłonił usta rękawem płaszcza i wydobył z siebie głośny jęk obrzydzenia. Szczur podskoczył ze strachu, ześlizgnął się z ciała i zniknął w trawie.

Detektyw podszedł bliżej. Z każdym krokiem odór rozkładających się zwłok przybierał na intensywności. Prowizoryczna ochrona z rękawa stawała się niewystarczająca. Gryzonie pochowały się w okolicznych zakamarkach, ale życie w tym miejscu pulsowało niczym serce. Murray przystanął kilka metrów od ciała, badając je snopem światła latarki. To na pewno były ludzkie zwłoki i raczej należały do mężczyzny. Spoczywały spokojnie, oparte o drzewo, z głową przechyloną na bok. Tuż obok leżała czapeczka z daszkiem. Policzki i reszta twarzy zdążyły już mocno poczernieć. Usta były nabrzmiałe, a uszy, poobgryzane z tkanki miękkiej, podkreślały dziurę z boku głowy. Całe ciało jakby falowało pod swetrem przesiąkniętym czarną mazią. Może to tylko złudzenie, a może właśnie tysiące białych larw spożywały organy wewnętrzne nieboszczyka. Twarz była nie do rozpoznania, ale krótkie ciemnoblond włosy stanowiły dobrą wskazówkę. Zaginął tylko jeden mężczyzna o podobnej fryzurze. Richard Murray odszedł na kilkanaście kroków, próbując zaczerpnąć świeżego powietrza. Znów sięgnął po telefon.

– Co jest, Richard? – rzekł na przywitanie Danny Jones.

– Obawiam się, że mam złe wieści, szefie. Potrzebna będzie ekipa z koronerem. Park cmentarny.

– Kto to? – Danny uniósł głos.

– Prawdopodobnie to nasz zaginiony Malcolm Murphy.

– Noż kur… – Resztę przekleństwa zagłuszył huk uderzenia pięścią w blat stołu. – Czekaj tam na nas. Za dwadzieścia minut będziemy.

Murray wrócił na ścieżkę. Ogarnął go smutek i zaniepokojenie. Przypomniał sobie Tatianę, której piękna twarz i aksamitny głos wciąż żyły

w głębi jego wspomnień. Sposób, w jaki z nim rozmawiała, był niezmiernie pociągający. Jej odważne poczucie humoru, riposty, delikatna kokieteria nie pasowały do nieśmiałej twarzy. Ta mieszanka pozornej nieśmiałości i pewności siebie działała pobudzająco. W jej zachowaniu dostrzegał skrawki swojej tragicznie zmarłej dziewczyny. Właśnie dlatego widział w niej nadzieję na nową miłość, co dotychczas uważał za mało prawdopodobne jak na człowieka o tak smutnym wnętrzu, osiadłym w równie smutnej mieścinie. Nie przestawał podtrzymywać się na duchu. Kolejne spotkanie musiało się odbyć. Musiał ją odnaleźć – za wszelką cenę. Nie chciał się do tego przyznać, nawet przed samym sobą, ale fakt, że ciało w parku najwyraźniej należy do mężczyzny, wypełnił go ulgą. Wciąż tlił się w nim płomień nadziei, że Tatiana Zharkova ma się dobrze. Nie dopuszczał do siebie najgorszych myśli.

Dziesięć minut później nie był już sam. Najpierw dwa radiowozy, a potem dwa następne, nieoznakowane terenówki, przywlokły się pod wejście do parku. Na końcu z wolna przyjechał karawan. Wszystkie dotarły bez pośpiechu, bez zbędnych świateł i sygnałów. Wszak nie jechali w miejsce zagrożenia życia, a raczej do zdarzenia, gdzie życia już dawno nie było. Funkcjonariusze zbadali wzrokiem przejazd i zdecydowali się przesiąść do dwóch land roverów z napędem na cztery koła. Jedynie one mogły sprostać nierównej nawierzchni parku bez uszkodzenia podwozia. Richard nie wrócił już do miejsca, w którym dokonał makabrycznego odkrycia. Pozostał na dróżce i wdał się w rozmowę z dwoma kolegami z komendy. Słabszy żołądek nie pozwalał im na dłuższe przebywanie w sąsiedztwie rozkładających się zwłok. Woleli asystować z daleka i przyswoić sobie opis zdarzenia z ust detektywa Murraya. W oddali, wśród drzew, słychać było przytłumione głosy, a od czasu do czasu wśród cieni rozbłyskały flesze aparatów fotograficznych. Po kilkudziesięciu minutach podszedł do nich Barry Janssen – koroner i lekarz medycyny sądowej w jednym – chudy facet

o wyschniętej twarzy i zapadłych policzkach. Na jego widok młodsi policjanci dokończyli rozmowę i poszli w las pomóc pozbierać sprzęt. Akcja dobiegła końca.

– Niestety, to ojciec Murphy – rzekł ochrypłym głosem koroner.

– Tego się obawiałem – odparł detektyw z rezygnacją w głosie. – Wiadomo, jak zginął?

– Poderżnięte gardło. – Barry zamilkł na chwilę. – Prawdopodobnie zginął właśnie w tym miejscu i raczej bez walki. Nie ma żadnych śladów szarpaniny czy przenoszenia zwłok. Pewnie załatwiono go tak jak tego dzieciaka.

– Czyli jak? Bo nie rozumiem… – zdziwił się Murray.

– Przyszły wyniki toksykologiczne małego Alvareza. No tak, pewnie ich pan jeszcze nie widział, bo dopiero jakieś dwie godziny temu przekazałem je pańskiemu szefowi.

– I co wykazały?

– W jego krwi znaleziono ślady esmeronu. To środek znieczulający i zwiotczający mięśnie. Ma bardzo szybkie działanie. Parę minut i człowiek jest właściwie bezbronny.

– To by wyjaśniało brak śladów walki. A jak się go stosuje?

– Esmeron podaje się dożylnie. Jeśli wstrzyknięto go znienacka, to ofiara nie miała zbyt wiele czasu, aby się obronić lub uciec. Przypuszczam, że ojciec Murphy też mógł dostać dawkę, ale dopiero wyniki sekcji dadzą nam pewność. – Barry cierpliwie udzielał wyczerpujących odpowiedzi.

– Rozumiem. – Richard spoglądał mu przez ramię. W oddali czterech funkcjonariuszy w maskach i lateksowych rękawiczkach niosło czarny worek na noszach w stronę wejścia do parku, gdzie czekał zaparkowany karawan. – A więc to na sto procent Malcolm Murphy?

– Ciało już źle wygląda, do tego zostało naruszone przez tutejsze

zwierzęta, ale jeszcze do rozpoznania. Ten park jest dziwnie chłodny, więc rozkład postępuje wolniej. Poza tym miał przy sobie portfel z dokumentami i pieniędzmi. Nie wydaje się, aby coś zginęło.

– Najwyraźniej zabito go z innych pobudek – odpowiedział Richard, bardziej do siebie niż do Barry'ego.

– Ale nie to jest najstraszniejsze. Proszę spojrzeć, co znaleźliśmy w kieszeni jego spodni.

– Zdjęcia? – Murray dopiero teraz zauważył, że koroner trzymał je cały czas w dłoni.

– I to nie byle jakie. Mam wrażenie, że co niektórych zszokowałyby bardziej niż śmierć księdza.

Richard widział je wcześniej, w domu Malcolma. Ci sami ludzie, ten sam park i dzień, ale inne ujęcia. Wszystkie zrobione z tego samego miejsca, w dużym zbliżeniu. Jedno z nich szczególnie zwróciło jego uwagę. Twarz tajemniczej kobiety wpatrywała się prosto w obiektyw aparatu. Może to tylko przypadek, a może coś usłyszała. Twarz ojca Malcolma wciąż była zwrócona ku niej, znajdowała się zaledwie kilka centymetrów od policzka. Zdecydowanie za blisko jak na księdza i parafiankę. Etykieta kościelna nigdy by na to nie pozwoliła. W przeciwieństwie do wcześniejszych fotografii oblicze kobiety było dość dobrze widoczne i pomimo lekkich szumów powstałych przez słabe oświetlenie w pełni rozpoznawalne. W jej płomiennym spojrzeniu było coś groźnego. Po drugiej stronie źrenic paliło się zło w najczystszej postaci.

– Jej twarz wydaje mi się znajoma. Nietrudno będzie ją namierzyć – stwierdził Murray.

– Pozwoli pan, że już się oddalę. Czy mogę zostawić te zdjęcia panu? – zapytał grzecznie Barry.

– Proszę je oddać moim kolegom. Nie wracam na posterunek. Muszę

jeszcze coś sprawdzić. – Detektyw odwrócił głowę i spojrzał wzdłuż ścieżki, biegnącej w stronę cmentarza.

Niedługo potem stał w samotności. Land rovery znikały w cieniach parku, kierując się w stronę głównego wejścia. W całym tym zamieszaniu nawet nie zobaczył się ze swoim kolegą – Steve'em. Nie wiedział, czy on dotarł na miejsce zbrodni. Ale nie to było teraz ważne. Coś innego zaprzątało myśli Richarda. Nietrudno było odgadnąć, że sprawca najprawdopodobniej wszedł do parku od strony cmentarza. Główne wejście byłoby zbyt ryzykowne, jeśli chciał pozostać niezauważony. Stanowiło to też element zaskoczenia i asekuracji w razie ewentualnej pułapki. Po dwóch minutach stał już przy siatce. Brama była na stałe zamknięta. Zardzewiały łańcuch z równie starą kłódką skutecznie strzegły wejścia. Rozwiązanie co najmniej niezrozumiałe, ale decyzje rady miasta nie leżały w jego kompetencjach. Komuś najwyraźniej bardzo zależało, aby nikt ani nic nie przechodziło z cmentarza do lasku. Było późne popołudnie, a dzień zaczynał coraz bardziej szarzeć. W porównaniu z atmosferą w parku było jaśniej, ale wcale nie przyjemniej. Richard przeskoczył przez płot i podążył wzdłuż ścieżki. Była dość szeroka, a pierwsze nagrobki napotkał w znacznej odległości od ogrodzenia. Teren cmentarza był dość rozległy, ale użytkowano jedynie część. Bagniste grunty uniemożliwiały dostęp do tych bardziej odległych partii, gdzie i tak nikt nie miał odwagi się zapuszczać. Według opowieści najstarszych mieszkańców to właśnie tam wieki temu grzebano zmarłych, a krzyże z czasem zatonęły w grzęzawisku. Powietrze tutaj cuchnęło śmiercią. Mgła spowijała miejsca spoczynku. Większość płyt nagrobnych emanowała starością. Zatarte czasem litery pokrywał zielono-czarny osad. Opadające krzyże, te drewniane i betonowe, narzucały myśl, że nikt już dawno nad nimi nie stał. Jedynie garstka kwater wydawała się stosunkowo nowa – powstawiana losowo pomiędzy te wiekowe. Nic nie było tu

poukładane. Betonowe wspomnienia zmarłych – stare z nowymi, duże z małymi, bardziej okazałe z prostymi. Śmierć nie znała kategorii i tego trzymali się okoliczni mieszkańcy. Wszystko postawione niedbale, w pośpiechu. Po zachodzie słońca nietrudno byłoby się zgubić wśród grobów bez żadnego punktu odniesienia.

Z oddali, gdzie rozciągały się bagna, dochodziło natrętne krakanie wron i ujadanie dzikich psów. Richard nie zwalniał kroku, nawet na papierosa. Po dziesięciu minutach dotarł do głównej bramy cmentarza. Ta prowadziła na drogę. Po przeciwnej stronie znajdował się mur i dwa zakłady z płytami nagrobnymi, a także kilka sklepików ze zniczami i jedzeniem. Cmentarna mgła napływała na jezdnię, lecz nie posuwała się dalej. Droga ciągnęła się w obu kierunkach i wbiegała pomiędzy domostwa w różnych częściach miasta. Przenikliwy chłód nagle się rozproszył, a przyjemne podmuchy powietrza ocierały się o twarz Murraya. Droga świeciła pustkami, nawet o tej porze dnia. W każdym innym miejscu na ziemi byłby to idealny teren działania dla wszelkiej maści złoczyńców. Ale nie w Anterrey, bo tu zawsze było spokojnie. Było.

Murray szedł poboczem pogrążony w myślach. Miał przed sobą spory spacer z powrotem do samochodu i dużo czasu na rozważania. Po lewej stronie gotowe nagrobki spoglądały na niego chłodno zza płotu zakładu. Strażnik w budce przy bramie wjazdowej drzemał w oczekiwaniu na koniec zmiany. Za nim znów ciągnął się płot i rzędy płyt nagrobnych różnych kształtów, wielkości i kolorów. Richard czuł zmęczenie. W myślach, niczym slajdy w projektorze, przesuwały się zdarzenia z dzisiejszego dnia. Park i ciało księdza wypełniły go smutkiem. Niedługo całe miasto wypłacze swój żal po ojcu Malcolmie i wywrze presję na policji, by złapać tego, kto zgasił im światło nadziei. Nagle stanął w miejscu. Obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i przyspieszył kroku. Znów mijał znajomy płot, aż wreszcie zatrzymał

się przy kantorku ze strażnikiem w letargu. Znad budy ciągnęła się wiata aż po sam chodnik, zauważył tam kamery przemysłowe. Skierowane w przeciwnych kierunkach, obserwowały teren.

– Pobudka! – Murray zapukał w szybę i przystawił do niej swoją odznakę.

– Ależ mnie pan przestraszył! – Strażnik prawie podskoczył na krześle.

– Przepraszam, że przeszkodziłem w pracy. – Richard otworzył drzwi i sam wpuścił się do środka. – Te kamery na zewnątrz działają?

– Jasne, panie władzo, że działają. Wszystko tu widać na ekranach! – Otyły strażnik wskazał palcem na dwa małe telewizorki z kolorowym obrazem.

– Panie Danielu… – Richard zerknął na jego identyfikator. – Jak długo przetrzymujecie materiał?

– Kasujemy co piętnaście dni. Jutro mój zmiennik będzie czyścił dysk.

– Mam szczęście! Więc pan mi pokaże, jak obsługiwać ten sprzęt, a potem może sobie pan zrobić przerwę. Ja pana zastąpię.

– Ja tu przerwę mam właściwie cały czas, panie władzo. Ale w sumie chętnie przejdę się coś przekąsić. Sklep z hot dogami jest chyba jeszcze otwarty. – Stróż wstał z krzesła i ruszył w stronę drzwi. – Aha, czy nasz wielebny już się odnalazł? – wyskoczył z niewygodnym pytaniem.

– Nic mi o tym nie wiadomo! – odparł Murray. – Jeszcze szukamy. – Kłamstwo swobodnie przeszło mu przez gardło.

Kilkanaście minut później sterował czasem na trzecim ekranie monitora, przesuwając minuty, godziny, aż wreszcie dni – do przodu i do tyłu, wedle uznania. Skupił się na materiale od siedmiu dni wstecz – taki, zgodnie ze stanem ciała księdza, założył prawdopodobny czas zgonu. Na nagraniach z obu kamer obraz ulicy i ogrodzenia cmentarza kończył się na krawędzi ekranu. Richard obserwował dzień i noc w przyspieszonym tempie, pędzące

samochody i przechodzące szybkim krokiem postaci. Każdy dzień wydawał się taki sam, a noc świeciła pustką i świetlistymi kołami z przydrożnych lamp na asfalcie. Brama cmentarza była dość dobrze widoczna – otwierana niemal punktualnie o ósmej rano i zamykana o dwudziestej. Po kilkudziesięciu minutach Murray znał już rozkład dnia. Te same postaci, te same pojazdy przydrożnych sprzedawców, te same czynności. Dzień czternasty był inny. Detektyw zwolnił czas i przybliżył obraz. Przysunął się bliżej ekranu i wstrzymał oddech. Minuty przed dziewiętnastą postać w kapturze z przewieszoną przez ramię torbą weszła na chwilę w kadr i zniknęła we mgle. Nie przeszła przez bramę, jak inni. Musiała sforsować ogrodzenie poza okiem kamer. Trzy godziny później kontury ciemnej sylwetki wracały po tej samej stronie. Tajemniczy osobnik przeszedł przez świetlisty snop lampy na chodniku oraz części płotu i w pośpiechu zniknął w ciemności. Murray powiększał wybrane części obrazu kosztem jakości. Bladość zalała mu twarz.

– Steve, to nie możesz być ty!

W szufladzie biurka znalazł płyty DVD. Wyciągnął jedną, włożył do komputera i przeniósł wybrany dzień na nośnik. *Kasowanie.* Zastanowił się chwilę i przy wybranej opcji z impetem wcisnął klawisz enter. Niemal w tym samym czasie, gdy chował płytkę do kieszeni prochowca, do kantorka wszedł najedzony strażnik.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Nie do końca. Co prawda nic nie znalazłem, ale przypadkiem skasowałem cały materiał. Mam nadzieję, że nie narobię panu problemów z tego powodu.

Pan Daniel znieruchomiał i zastanowił się przez chwilę.

– Nieeee! Koledze powiem, że to moja wina – rzekł, odprowadzając detektywa wzrokiem do drzwi.

– W porządku. Aha, i jeszcze jedno. Ja nie widziałem, że pan wychodził

z kantorka, i pan mnie też tu nie widział. Możemy się tak umówić?

– Ależ oczywiście! Nikt mnie dzisiaj nie odwiedzał. Daję słowo! – Zasalutował na pożegnanie.

Richard znów zapalił. Zdecydowanie przekroczył limit papierosów tego dnia. Serce się uspokoiło, a na policzki powróciły kolory. W kieszeni zadzwonił telefon.

– Jakieś postępy? – spytał bez przywitania jego szef Danny Jones.

– Szukałem ewentualnych kamer przemysłowych w pobliżu wejścia do parku.

– I co?

– Kamery są. – Murray zawiesił się na moment. – Ale materiału już nie ma. – W gruncie rzeczy nie skłamał, bo materiału faktycznie już na dysku nie było.

Znów szedł wzdłuż drogi, w stronę parku, z telefonem przy uchu. W tym samym czasie na horyzoncie pojawił się niebieski nissan. Minął kantorek i zatrzymał się z piskiem opon. Samochód się wycofał i zatrzymał na linii wzroku strażnika. Otworzyły się drzwi. Wysoki rudzielec stał w wejściu budki, gdzie kilka minut wcześniej żegnał się detektyw Murray. Zmierzył opasłego Daniela wzrokiem i wyciągnął odznakę.

– Obawiam się, że muszę skonfiskować pana materiał do analizy.

– Bardzo mi przykro, ale… – Przerwał na dwie sekundy. – Dzisiaj kasowaliśmy dysk.

– Rozumiem. – Policjant kiwnął głową. – A czy był tu przede mną ktoś jeszcze? Może wczoraj lub przedwczoraj? – Cień postaci padał na twarz stróża Daniela.

– Nikogo tu nie było, panie władzo. Sam tutaj siedzę – odparł z powagą.

– Bardzo dobrze! – Policjant uśmiechnął się, skinął głową i wycofał się bez pożegnania. – Czas do domu! – ponaglił sam siebie, zakręcił o sto

osiemdziesiąt stopni i wnet zniknął tam, skąd przyjechał.

ROZDZIAŁ 7

Siódma rano. Tykanie zegarka nie pozwalało mu zasnąć. Każde pojedyncze tyknięcie brzmiało jak łomot kościelnego dzwonu. Od tego wszystkiego bolała go głowa. Tak naprawdę to nie budzik był przyczyną bezsenności, a uporczywe myśli wywołane nagraniem kamery przemysłowej. Richard za długo siedział zeszłej nocy. Odtworzenie DVD z konsoli na dużym ekranie nie przyniosło oczekiwanych rezultatów. Obrazu nie dało się już bardziej powiększyć. Poza tym jakość materiału zarejestrowanego w porze wieczorowej pozostawiała wiele do życzenia. Ktoś, prawdopodobnie Steve, po drugiej stronie cmentarnego ogrodzenia (Murray miał jednak nadzieję, że to nie jego kolega) najwyraźniej kierował się w stronę parku. Nie szedł bezpośrednio przy płocie i trudno było, nawet w przybliżeniu, określić jego wzrost. Uniemożliwiała to mgła przy gruncie. Najwyraźniej wiedział o kamerach i trzymał się od nich z daleka. Był sprytny. Na teren cmentarza wszedł poza kadrem, a nie przez bramę znajdującą się w zasięgu obiektywu. Jedno było pewne. Podejrzana postać skrywała głowę pod kapturem. Obraz z drogi powrotnej był niezwykle trudny do przestudiowania. Osobnik odwrócił się za siebie. Tyle jeszcze zdążył zobaczyć. Nie było wątpliwości, że upewniał się, czy nic nie nadjeżdża, czy nikt nie nadchodzi. W świetle latarni znalazł się przez dwie sekundy, a potem wyszedł z kadru. Richard mógł opisać każdą klatkę z pamięci. Powtarzał kawałek nagrania, dopóki

białka nie pokryły się krwistymi żyłkami. Podejrzana postać musiałaby znaleźć się tuż pod obiektywem kamery, oświetlona przez latarnię, aby można było pokusić się o jakąkolwiek identyfikację. Dlatego tak bardzo bił się z myślami; niby coś widział, ale nie był kompletnie przekonany. Ten kaptur nie dawał mu spokoju. Niebieskie światło bijące z ekranu telewizora i nadmierne skupienie długo nie pozwoliły mu zmrużyć oka. Był wyraźnie skonfundowany. W dodatku z obecnej perspektywy zabranie nagrania z kamery do domu i niepowiadomienie o tym przełożonych wydawało się nieodpowiedzialne. Wszak podpadało pod utrudnianie śledztwa, za co groziły poważne konsekwencje. Jednak zrobił to w dobrej wierze, niemal odruchowo. Innymi słowy, otworzył tymczasowy parasol ochronny do czasu, aż nie zweryfikuje swoich podejrzeń. Tak to sobie tłumaczył, ale zdawał sobie sprawę, że nie zagrał czysto. Życie dotychczas widział w czerni lub bieli – zło i dobro tasowały się każdego dnia, co było do zaakceptowania. Nie miał na to wpływu, co z kolei było wygodne. Szarość, której obecnie doświadczył, była trudna do zniesienia. Trzeba było wybrać stronę. Zawód policjanta, odznaka detektywa i służenie społeczeństwu zawsze zgodnie z prawem kontra człowieczeństwo, wątpliwości, odczucia, a może po prostu ludzka słabość.

Wstał ociężale z łóżka, wziął prysznic i przygotował sobie śniadanie. Głowa pękała mu od domniemań i hipotez. Był rozdarty. Wiedział, że nie mógł nikomu o tym powiedzieć. Musiał być pewien w stu procentach. Nieprawdziwe oskarżenia, a nawet głośne przypuszczenia, mogłyby się odbić rykoszetem i zburzyć to, co zdążył zbudować.

– Steve, niech cię szlag! – szepnął do siebie, wstając od stołu z niedokończonym posiłkiem.

Richard zachowywał względny spokój, gdy rzeczywistość chwiała się w posadach. Okoliczności, póki co, wskazywały na jedno i nic nie

przemawiało za inną, bardziej wiarygodną wersją wydarzeń. Steve Smith od początku niechętnie podchodził do idei przeszukania mieszkania Malcolma Murphy'ego. Głęboka niechęć – można by nawet rzec: nieskrywana wrogość – wobec instytucji Kościoła i najwyraźniej wszystkich księży jeszcze bardziej przechylała szalę na jego stronę. Aż wreszcie parokrotne forsowanie dość nieprawdopodobnej wersji wydarzeń, a mianowicie ucieczki księdza z kochanką. To wszystko narzucało coraz więcej pytań, których nikt wcześniej nie rozważał. Czy ofiary miały tego samego mordercę? Czy Malcolm mógł zabić Simona Alvareza, a Steve Smith w odwecie podciął gardło księdzu? Czy historia z dzieciństwa Steve'a faktycznie zatoczyła koło, a wściekłość i agresja wzięły górę nad zdrowym rozsądkiem? Ale jak to wszystko się ma do zaginięcia Tatiany Zharkovej? Czy Steve także jej wyrządził krzywdę?

Ostatnie pytanie wzburzyło Murraya. Ścisnął mocniej pokrytą skórą kierownicę i z krótkim piskiem opon ruszył z miejsca. Po drodze zwolnił na moment i spojrzał w stronę domu swojej zaginionej sąsiadki. Każda kolejna godzina jej nieobecności odbierała mu nadzieję, że jeszcze kiedykolwiek ją zobaczy. Do pracy jechał zamyślony. Tatiana Zharkova pozostała ostatnią zaginioną osobą po Simonie Alvarezie i ojcu Malcolmie Murphym. Ostatnią, która mogła jeszcze żyć.

Posterunek jak zwykle od pierwszego zaginięcia był pełen zabieganych i podenerwowanych ludzi. Wcześniej stanowił oazę spokoju, bardziej przypominał świetlicę niż komendę policji. Nikt nie mógł przypuszczać, że prawdziwe zbrodnie kiedykolwiek będą miały miejsce w spokojnym miasteczku Anterrey, a strach i niepokój wypełni serca jego mieszkańców. Również gabinet szefa, Danny'ego Jonesa, doskonale pamiętał czasy spokoju. Niestety, potężny kaliber ostatnich wydarzeń, a co za tym idzie, nawał pracy, ciągłe pukanie do drzwi, dziesiątki pytań, a nawet rzadko dotąd

organizowane odprawy, stanowiły spore wyzwanie. I tym razem Jones nie siedział w gabinecie sam.

– Panowie, drugie ciało, a my nie mamy kompletnie nic. Żadnych śladów, żadnych odcisków palców, żadnych nagrań z monitoringu. Nic, co pozwoliłoby nam podjąć jakiś trop. Widzieliście ulice wieczorami? Prawie kompletnie puste! Nie żeby wcześniej buzowało tu nocne życie, ale tak pusto jeszcze chyba nigdy nie było. Mieszkańcy czekają na jakieś efekty, a my nie mamy nic! – W słowach Danny'ego czuć było irytację.

– Możemy przypuszczać, że zabójca ojca Malcolma przyszedł od strony cmentarza – odezwał się Richard Murray, prostując się na krześle. – Jeśli tam zwabił i zabił księdza, było po prostu praktyczniej przeskoczyć przez siatkę cmentarza, niż wychodzić z parku głównym wejściem i narażać się na spotkanie przypadkowych świadków.

– Nie wydaje mi się – wtrącił Steve Smith z rękami w kieszeniach spodni, oparty o ścianę przy biurku szefa. – Cmentarz jest w nocy zamknięty. Zresztą, stosunkowo łatwo się tam zgubić przy tej mgle. Myślę, że sprawca wszedł i wyszedł głównym wejściem. Być może przyszedł na umówione spotkanie z księdzem kilka godzin wcześniej, a po morderstwie odczekał kolejnych kilka i wtedy się ulotnił.

– Dobra, poślę paru naszych, niech pochodzą po domach i popytają, czy ktoś coś widział. Jakieś inne sugestie?

– A może tak wypuścić niektórych chłopaków w teren i niech przeszukają porządnie park? A nuż coś się znajdzie. Przynajmniej ludzie będą widzieli, że coś robimy.

– Niegłupi pomysł. – Danny zapisał coś w notatniku.

Richard Murray skrzywił twarz w zamyśleniu, ale nie skomentował wypowiedzi kolegi. Pomysł Steve'a wcale nie był niedorzeczny. Wręcz przeciwnie, wydawał się naturalnym krokiem w postępowaniu, ale nie

w świetle materiału, jaki posiadał w domu. Problem w tym, że nie mógł się ujawnić. Jeszcze nie teraz. Skoro postanowił samotnie wyruszyć na krucjatę, musiał teraz siedzieć cicho jak mysz pod miotłą.

– A co ze zdjęciami kobiety, które znaleźliśmy przy zwłokach? Poszły już do gazety? – Richard sprowadził temat na inne tory.

– Nie zdążyliśmy. Nowy numer był już w druku. Musimy poczekać na następny.

– Wieść i tak się rozniesie, więc jak wyjdzie kolejny numer, to nie będzie większego zaskoczenia – odparł Steve.

– Zaskoczenia może nie będzie, ale grzebanie palcem w ranie dopiero się zacznie. Widzieliście ostatni „Przegląd”? Rodzice małego Alvareza jeszcze nie wyszli z początkowej fazy traumy, a już mogli przeczytać obszerny artykuł o jego śmierci! Naprawdę żadnemu rodzicowi nie życzyłbym takiego okropieństwa.

– À propos motywów, to jest jeszcze jeden, dosyć kontrowersyjny, któremu warto by się przyjrzeć. – Steve usiadł na drugim krześle. – Ksiądz molestuje, potem porywa i zabija dzieciaka. Potem ktoś z rodziny lub znajomych Alvarezów zabija księdza w akcie zemsty.

– Przecież sam byłeś u nich w domu i nie widziałeś żadnego aparatu. – Richard delikatnie torpedował hipotezę kolegi po fachu.

– To, że nie widziałem, nie znaczy, że go tam nie ma. Może mieli wspólnika.

– Sprawdzimy i to! – dodał Danny Jones. – Przyznam, że ta wersja jakoś nie przechodzi mi przez głowę, ale będziemy musieli zbadać wszystkie furtki. Zresztą, sam miałem córkę i potrafię wyobrazić siebie w sytuacji, kiedy ktoś ją krzywdzi. Prawdopodobnie sam wymierzyłbym prawo gołymi rękoma.

– Nie pamiętam, aby szef mówił, że ma córkę – zaciekawił się Richard.

– Miałem, ale… – Danny na moment zamilkł. – Nie chcę teraz o tym

mówić.

– Zakładamy, że Alvarez znał swojego mordercę – wtrącił się Steve. – W końcu to nie jest małe dziecko, aby tak łatwo dał się porwać.

– Możliwe, ale niekoniecznie – odpowiedział Jones. – W tym mieście ufa się każdemu, a właściwie ufało, każdy o tym wie. Tak więc ewentualna propozycja podwiezienia do domu wcale nie wydawałaby się jakoś wielce podejrzana w Anterrey. No, ale tak jak mówiłem, to już przeszłość.

– Na domiar złego mamy jeszcze jedną zaginioną, więc skoro już wiemy, co stało się z Murphym i Alvarezem, wrócę do szukania Zharkovej. Może czegoś się dowiem. – Richard bardzo chciał skupić się wyłącznie na odnalezieniu Tatiany.

– Coś mi mówi, że będziemy mieli kolejnego trupa. – Steve niechcący dźgnął Richarda prosto w serce.

– Lepiej, żebyś się mylił, Steve! – Richard podniósł głos bardziej, niż chciał. Po chwili spuścił z tonu. – Tatiana Zharkova mieszka na tej samej ulicy, co ja. Miałem przyjemność ją poznać i nie dopuszczam myśli, że coś mogłoby się jej stać.

– Przepraszam, stary! – Smith zareagował natychmiast. – Nie chciałem cię urazić. Dziewczyna musi odnaleźć się żywa i miejmy nadzieję, że właśnie tak będzie.

– Richard… – Szef chciał wtrącić swoje pięć groszy. – Odstawiając wszystkie uczucia na bok, musisz wziąć pod uwagę, że mamy dwa możliwe scenariusze co do Tatiany Zharkovej. Jest ten gorszy, w którym stała się kolejną ofiarą, i jest ten optymistyczny: Tatiana żyje i ma się dobrze. Jednak w tym drugim przypadku będzie musiała dobrze wytłumaczyć się ze swojej nieobecności i udowodnić, że nie miała nic wspólnego ze śmiercią księdza i dziecka.

– Tak, wiem o tym! – Richard wstał z krzesła. Burza sprzecznych myśli

szalała mu w głowie. – Cokolwiek się stało, czuję, że właśnie na tym muszę się teraz skupić. Dzieciakowi i księdzu już nie pomożemy. A tu jeszcze mogę coś zrobić. Pojadę poszperać w jej otoczeniu, może czegoś się dowiem.

– Informujcie mnie o wszystkim! – Tym zwrotem Danny Jones skończył rozmowę z podwładnymi i wyprosił ich z biura.

Richard znów siedział za kółkiem. Dłuższe przebywanie w biurze najwyraźniej nie służyło jego psychice. Tym bardziej teraz, gdy spoglądał na Steve'a z całkiem innej strony. Nie miał ochoty z nim rozmawiać ani pozostawać w jego towarzystwie, mimo że nie okazywał tego otwarcie, a kolega na pewno się nie domyślał. Nie miał czasu też go śledzić czy obserwować, przynajmniej jeszcze nie teraz. Chciał dokończyć sprawę Zharkovej. Twarz miał kamienną, skupioną, a z jego oczu i mowy ciała biła pewność siebie. Niestety, w rzeczywistości nie czuł się aż tak dobrze. Coraz częściej łapał się na tym, że traci nadzieję i chce zrezygnować z dalszych działań. To były tylko minuty zwątpienia, ale z czasem pojawiały się coraz częściej i męczyły coraz mocniej. Słowa szefa ciążyły Richardowi na sercu. Albo Tatiana żyje i jest podejrzana o zamordowanie dwóch osób, albo… Tej drugiej możliwości do siebie nie dopuszczał. Na pewno były jeszcze jakieś inne wyjaśnienia, równie prawdopodobne. Coś, czego w tej chwili ani on, ani jego koledzy nie potrafili odkryć. Musiał istnieć wspólny mianownik tych wszystkich zaginięć. Mężczyzna, kobieta i dziecko, zupełnie ze sobą niespokrewnieni, przepadają jak kamień w wodę. Żadnych powiązań rodzinnych, żadnych powinowactw. Co łączyło ich wszystkich? Tego i o wiele więcej za jakiś czas miał się dowiedzieć.

Wiedział, gdzie ma się udać. Pamiętał każde wypowiedziane przez nią słowo podczas pamiętnego spotkania w jej mieszkaniu. Ta sama ulica, pierwszy dom po prawej. Koleżanka, Sofia Weber, oraz Jim – jej dziecko z zespołem Downa. Nie oczekiwał zbyt wiele po tej rozmowie. Nie wiedział

nawet, czy do niej dojdzie. Nie miał jej numeru telefonu. Jechał z niezapowiedzianą, nie do końca służbową wizytą. Niespełna dziesięć minut później drzwi otworzyła niska szatynka w krótkich kręconych włosach, kraciastej koszuli i dżinsach.

– Dzień dobry pani. Nazywam się Richard Murray. – W jego wyciągniętej dłoni spoczywała legitymacja. – Jestem też znajomym Tatiany Zharkovej i sąsiadem z ulicy. Czy mam przyjemność z panią Sofią?

– Tak, tak, proszę wejść! – Kobieta miała bardzo przyjemny głos. Otworzyła szeroko drzwi i ruchem ręki zaprosiła gościa do środka. – Co prawda jeden znajomy policjant już u mnie był na rozmowie, ale dobrze, że pan przyszedł, bo nikt mnie nie informuje o postępach. – Nie skarżyła się ani nie oskarżała, po prostu stwierdzała fakty.

– Przykro mi to słyszeć. Niestety, ostatnio w Anterrey naprawdę dużo się dzieje. – Już miał powiedzieć, że policja nie wyrabia psychicznie i fizycznie, ale ugryzł się w język.

– Tak, słyszałam. To straszne, co się stało z Simonem Alvarezem. Taki młody chłopak. Z tego też powodu martwię się o Tatianę. Nie daje znaku życia. To do niej niepodobne. – Sofia wprowadziła Richarda do kuchni, gdzie usiedli przy stole. – Przepraszam, nie zaoferowałam nic do picia. Herbaty? A może wody? Kawy nie piję, więc nie mam.

– Nie, dziękuję. Mam nadzieję, że nie zajmę zbyt wiele czasu. Tak naprawdę przyszedłem tu bardziej jako sąsiad niż policjant, bo mieszkamy na tej samej ulicy. Może policji umknął jakiś ważny szczegół, sam nie wiem.

– Ach, to o panu mi mówiła, kiedy rozmawiałyśmy po raz ostatni.

– O mnie? – spytał wyraźnie zaskoczony.

– Tak. Teraz kojarzę. Włosy zaczesane do tyłu, kolczyk w uchu. To na pewno pan! Bardzo dobrze wspominała wasze spotkanie. Opowiadała o tym z taką radością w głosie. Widziałam po jej minie, że jest panem zauroczona.

– To bardzo miłe. – Serce Richarda na chwilę przyspieszyło. – Ja też bardzo ją polubiłem i zależy mi, aby znalazła się cała i zdrowa. Od jak dawna nie ma pani kontaktu z Tatianą?

– Nie jestem w stanie określić dokładnie, ale od co najmniej półtora tygodnia. – Sofia usiadła na krześle i oparła się o blat stołu. – Wie pan, Tatiana do mnie przychodziła raz w tygodniu, ale dzwoniłyśmy do siebie prawie codziennie. Ostatni raz mówiła, że będzie miała dwa tygodnie wolnego, ale miała się ze mną skontaktować w ciągu paru dni. Na początku nie podejrzewałam, że coś mogło się stać. Ale nie dawała znaku życia. Jak minęło półtora tygodnia, to próbowałam się do niej dodzwonić, ale włączała się automatyczna sekretarka. Sprawdzałam też, czy jest w domu, ale w oknach nie widziałam światła. Dopiero wtedy poszłam na policję.

– Często się widywałyście?

– Tak jak mówiłam, raz w tygodniu, przeważnie w piątki. Pomagała mojemu synkowi w lekcjach, a przy okazji zostawała na babskie rozmowy. Chciałam jej płacić, ale nigdy nie przyjęła ani grosza. Bardzo się zżyła z Jimem. On także bardzo ją polubił.

– Jak się poznałyście?

– A to jest ciekawa historia. Akurat wychodziłam z dzieckiem z domu. Zobaczyłam, że Jim w coś się wpatruje i uśmiecha. Odwróciłam się, a tam stała Tatiana. Też się uśmiechała, tak jakby wcześniej się znali. To było naprawdę dziwne. Tak właśnie się poznałyśmy. Na chodniku przed moim domem. Od razu wzbudziła moją sympatię. Było w niej coś… Sama już nie wiem.

– Co takiego? – dociekał detektyw.

– Trudno to opisać. Biła od niej jakaś energia, coś bardzo pozytywnego. Od razu wiedziałam, że mogę jej zaufać. Dostrzegłam jakąś nić porozumienia między Tatianą a Jimem, mimo że spotkali się po raz pierwszy. Nigdy

wcześniej nic takiego mi się nie przydarzyło.

– Dlatego pozwoliła pani Tatianie na spotkania z Jimem?

– Tak naprawdę… – Sofia spauzowała na sekundę. – Sama nie wiem, czemu to zaproponowałam. Mam przecież czas, by się nim zająć, ale gdy dostrzegłam te ich uśmiechy i to coś w jej oczach… Jakby tęsknotę czy może rozrzewnienie. Wie pan, jak wyglądają stęsknione oczy, jak się szklą po długim niewidzeniu z kimś?

– Potrafię sobie wyobrazić – odparł Richard, przypomniawszy sobie swoje oczy, zapłakane i przekrwione z tęsknoty, po śmierci swojej dziewczyny.

– No właśnie. Od razu przeszłyśmy na ty i tego samego wieczora piłyśmy herbatę przy tym stole. Rozmawiałyśmy jak stare przyjaciółki. Tatiana siedziała na pana miejscu, a Jim, tak jak teraz, oglądał bajki w dużym pokoju.

Richard w tej samej chwili wychwycił niewyraźne dźwięki bajki dobiegające z sąsiedniego pomieszczenia.

– Więc Tatiana przychodziła tu głównie dla Jima?

– Myślę, że tak, ale mnie też darzyła sympatią. Była bardzo rozmowna. Spędzała z synem trochę czasu przy lekcjach i na zabawie. Wie pan, on nie ma w szkole zbyt wielu kolegów. Bardziej znajomych, ale nikt go tu nigdy nie odwiedza. Jim jest trochę inny, rozumie pan… – Sofia ponownie zawiesiła głos. – On zawsze jest taki towarzyski i uśmiechnięty, więc nie mogłam zabierać mu tego małego skrawka radości.

W tej samej chwili do kuchni wszedł jasnowłosy dwunastoletni chłopiec z uśmiechniętą buzią i okularami na nosie; miał słodki wyraz twarzy. Za szkłami błyszczały radosne źrenice, a geny obciążone dodatkowym chromosomem rysowały na jego obliczu obraz charakterystyczny, nasuwający tylko jedno skojarzenie – zespół Downa. Na szczęście natura

potraktowała go w miarę łagodnie. Dla niewprawnego oka dzieciak wyglądał na całkowicie zdrowego.

– Myślałem, że pan przyprowadził ze sobą Tatianę – powiedział chłopak z radością w głosie, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy z zaginięcia młodej opiekunki.

– Nie przyprowadziłem, ale jestem pewien, że niedługo do ciebie wróci! – Richard nie wiedział za bardzo, jak pokierować rozmową; nie miał doświadczenia w obcowaniu z dziećmi.

– Tatiana wróci, jak będzie miała czas. Mówiłam ci już, że musiała pojechać do swojej rodziny. – Sofia najwyraźniej dostrzegła tymczasowe rozwiązanie w białych kłamstwach. – A teraz przywitaj się ładnie z panem, bo jeszcze nie powiedziałeś dzień dobry, i pobaw się w pokoju, dobrze? Niedługo do ciebie wrócę.

Murray pogłaskał go po krótkiej blond czuprynie, a Jim przywitał się grzecznie i wrócił do pokoju.

– Rzeczywiście ma pani bardzo ułożonego syna.

– To dobry chłopak. Bardzo skromny i uczynny! Ale zdaje pan sobie sprawę, że nie jest łatwo być matką dziecka innego niż reszta rówieśników w szkole. Na szczęście jest bardzo silny psychicznie, ale i to czasami nie wystarcza.

– Dokuczają mu?

– Zdarzało się, że przychodził do domu z płaczem. Ale stara się nie skarżyć. Pamiętam dobrze, gdy po raz pierwszy wrócił bardzo smutny. Powiedział mi, że jakiś chłopak podłożył mu nogę i napluł w twarz. Oczywiście interweniowałam u dyrekcji i na chwilę się uspokoiło. Zmieniło się na tyle, że nikt już go palcem nie ruszył, ale jestem pewna, że jeszcze leciały przezwiska pod jego adresem, a z tym ciężko już walczyć.

– Bardzo mi przykro, że syn musi przez to przechodzić.

– A mówię to panu nie bez powodu. Gdy pewnego razu w końcu wydusiłam od niego jakieś strzępy informacji, doszłam do wniosku, że głównym sprawcą był Simon Alvarez.

– Ten Alvarez? – Richard podniósł brwi ze zdziwienia.

– Dlatego ta śmierć budzi we mnie mieszane uczucia. – Sofia skinęła głową. – Z jednej strony to niewyobrażalna tragedia, a z drugiej… – Zamyślony wzrok kobiety uciekł na szafki kuchenne. – Może to jakaś… ulga. Dla Jima i trochę dla mnie. Mówię to jako matka, lecz wiem, jak źle to wszystko brzmi. Bardzo przepraszam!

– Proszę nie przepraszać. Staram się panią zrozumieć.

– Nie potrafię sobie nawet wyobrazić gehenny rodziców. To naprawdę straszne. Bardzo im współczuję. Nawet pomimo tego, jak mnie potraktowali.

– Potraktowali? Nie bardzo rozumiem.

– Po rozmowie z Jimem próbowałam z nimi porozmawiać w szkole, po jakimś zebraniu z rodzicami. – Powieki i usta Sofii zaczęły nagle drżeć. – Powiedzieli mi tylko, że nie będą rozmawiać z matką takiego dziecka, i odeszli. – Kiwnęła głową w wewnętrznej rozpaczy, a może z silnego gniewu, a wzrok skierowała w dal, powstrzymując łzy.

– Bardzo mi przykro. – Richard czuł, że rozmowa trochę się przedłuża i lepiej byłoby jak najszybciej doprowadzić ją do końca.

– To stowarzyszenie, ta grupa, wie pan. – Chwila słabości minęła, a kobieta wróciła do równowagi.

– Stowarzyszenie?

– Tak. Jakiś życzliwy rodzic widział tę sytuację i podszedł mnie uspokoić. Szepnął mi tylko, że rodzice Alvareza należą do tej grupy Zdrowe Dzieci, a przynajmniej mocno wspierają ich finansowo. W końcu to dość zamożni ludzie.

– A co to za grupa? – Richard odniósł wrażenie, że gdzieś już słyszał tę

nazwę.

– Wiem tylko tyle, co mówią ludzie, a to zawsze trzeba brać z przymrużeniem oka. Ale z tego, co słyszałam, to tajna grupa zamożnych ludzi wspierająca aborcję dzieci z wadami, niezależnie od wieku płodu. Są przekonani, że chore dzieci obciążają społeczeństwo, bo nie są w stanie żyć samodzielnie. Poza tym doprowadzają do degeneracji ludzkości, a same jednocześnie cierpią katusze z powodu niedorozwoju i wad organizmu. Dlatego lepiej ukrócić ich cierpienie jeszcze w fazie ciąży. Aż sama nie wierzę, że te słowa przechodzą mi przez gardło. To stowarzyszenie to jacyś szaleńcy, jacyś fanatycy, ale bogaci i często bardzo wpływowi.

– Jeśli to prawda, to syn Alvarezów brał zły przykład z rodziców, szykanując pani syna.

– To prawda. Jak to mówią, jaki ojciec, taki syn.

– Czy mają gdzieś swoją siedzibę?

– Nie mam pojęcia, ale nie sądzę, by tak było. Nikt by im na coś takiego tutaj nie pozwolił. To wąska grupa, raczej nieformalna i działająca w ukryciu. Ludzie mówią, że mają powiązania z niektórymi lekarzami w naszym szpitalu i ich korumpują. W ten sposób upewniają się, że nie dochodzi do urodzeń niedorozwiniętych dzieci. Czy widział pan kiedyś dziecko specjalnej troski w Anterrey?

To pytanie nieco zbiło Murraya z tropu.

– Nie wiem. Nie zwróciłem na to wcześniej uwagi.

– To ja panu powiem. Oprócz Jima nie ma ani jednego dziecka. Szukałam, sprawdzałam, ale nikogo takiego nie znalazłam. Oczywiście, jest kilku dorosłych, ale zbyt chorych lub niedołężnych, abym mogła zapoznać ich z Jimem. Przez pierwszych kilka lat próbowałam znaleźć mu jakiegoś rówieśnika, ale na próżno. Wie pan, co odkryłam?

– Co takiego?

– Że od ponad dziesięciu lat nie urodziło się tu żadne dziecko wymagające specjalnej opieki. Ani jedno. Jeszcze kilka miesięcy temu tak mi powiedział pewien znajomy lekarz na emeryturze. Niestety, nie ma go już wśród nas. Mówił, że kiedyś, może przed dekadą lub trochę wcześniej, kiedy pracował jeszcze w szpitalu, rodziły się takie dzieci, raz na kilka lat. Rzadko, bo rzadko, ale jednak. A teraz jakoś nie. Niektóre z tych dzieci z wadami wcześnie umierały, inne dożyły aż do dzisiaj, ale jak już mówiłam, to dorośli ludzie i zupełnie niesamodzielni.

– Rozumiem, że pani nikt do aborcji nie nakłaniał?

– Nie, bo Jim się tu nie urodził. Przyjechałam do Anterrey po śmierci męża, prawie dwanaście lat temu. Jim miał dopiero kilka miesięcy. Byłam zagubiona, ale dopiero tu poczułam, że muszę już osiąść. Tak jakby dusza tego miasta na siłę mnie zatrzymała. Na początku wszystko układało się poprawnie, ale trudności zaczęły się, kiedy mały trafił do przedszkola, a potem do szkoły. Nauczyciele zawsze byli bardzo pomocni i życzliwi, ale nigdy nie znalazł tu przyjaciela. Ma znajomych tylko w szkole. Poza lekcjami jest zawsze ze mną. Nawet ksiądz nie okazał zrozumienia, gdy chciałam zapisać Jima do chóru parę lat temu.

– Ojciec Malcolm? – zapytał Richard i zaraz pomyślał, że niepotrzebnie tak spontanicznie się wyrwał.

– Tak, Malcolm. On zawsze odprawia tu msze. A właściwie odprawiał, bo od jakiegoś czasu zastępuje go ktoś inny. – Sofia najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy z rozwoju wydarzeń. – Zawsze był dla mnie taki uprzejmy, ale odniosłam wrażenie, że potraktował mnie dość chłodno, gdy pytałam o miejsce w chórze dla Jima. Powiedział, że nie ma już miejsc, i od tamtej pory już nigdy się do mnie w tej sprawie nie zwrócił, a przecież niektóre dzieci w międzyczasie odchodziły, inne przychodziły. Postanowiłam już więcej się nie narzucać, choć ksiądz to przesympatyczny człowiek.

– To prawda – przytaknął Richard, a przed oczami stanął mu jeszcze świeży obraz zwłok w lesie. – Pozwoli pani, że wrócę do tematu Tatiany. Czy ona spotykała się z kimś jeszcze w Anterrey? Z jakimiś znajomymi? A może miała chłopaka?

– Chyba nie… – Sofia zastanowiła się przez chwilę. – A przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Nie mówiła, że się z kimś spotyka.

– Rozumiem. – Richard odetchnął z ulgą na wieść, że Tatiana była singielką. – Szkoda. Myślałem, że znajdę jeszcze jakiś punkt zaczepienia wśród jej znajomych. No cóż, będę szukał dalej! Bardzo pani dziękuję za spotkanie. – Wstał od stołu.

– Podejrzewam, że mamy punkt zaczepienia – odpowiedziała tajemniczo Sofia.

– Tak? – zapytał zdziwiony.

– Zdrowe Dzieci. Niech tam pan poszuka. Bardzo pana proszę, bo nieraz nachodzą mnie straszne myśli, że ci ludzie, rodzina Alvarez, albo ktoś z tej grupy ma związek z zaginięciem Tatiany. Być może komuś przeszkadzało to, że ona opiekuje się moim synkiem.

– Dziękuję za rozmowę i do zobaczenia!

Richard szedł do samochodu z mieszanymi uczuciami. Był chyba bardziej zasmucony i zniechęcony po tej rozmowie niż przed nią. Podjechał pod swój dom, ale nie wysiadł. Zapatrzył się w maskę przed sobą i myślał. Myślał o tej rozmowie, o Tatianie i o stowarzyszeniu Zdrowe Dzieci. Coś tu wyraźnie nie grało. Słowa Sofii jakoś nie układały się w spójną całość. Jeśli Tatiana miałaby zginąć, ponieważ opiekowała się dzieckiem z zespołem Downa, to dlaczego zginął też Simon Alvarez, syn domniemanych sponsorów tejże grupy? A może Tatiana była członkinią Zdrowych Dzieci, a ktoś zaczął ich powoli unieszkodliwiać? Jeśli ta hipoteza jest prawdziwa, to czy ksiądz Malcolm też maczał w tym palce? Im bardziej brnął w temat, tym

bardziej tracił z oczu logiczne wyjaśnienie. Poza tym dopiero teraz Richard uświadomił sobie, jak łatwo rozmowa zeszła na temat tej tajemniczej organizacji. Tak jakby Sofia chciała coś ukryć i próbowała zbić z tropu detektywa. Czy sama mogła mieć coś wspólnego z tym wszystkim? Wszak Simon Alvarez znęcał się nad jej synem, a więc mogła chcieć wymierzyć mu sprawiedliwość. Richard czuł się nieco zawiedziony. Rozmowa mogła przynieść przełom w jakimś szczególe, zupełnie niezauważonym wcześniej przez policję. Niestety, nie przyniosła nic oprócz opowieści o grupie zrzeszającej przeciwników narodzin dzieci z wadami genetycznymi.

Lecz było coś, o czym ani Richard Murray, ani reszta mieszkańców nie miała prawa wiedzieć. Choć nikt nie dostrzegał nadciągającego zła, nieco ponad dziesięć lat temu przeczucie i złowroga wizja potrząsnęły umysłem starego człowieka wybudzonego ze snu. Indianin Yakshit przywoływał w myślach jeszcze świeże obrazy. To nie był zwykły sen i on o tym wiedział. Doświadczył już tego niejednokrotnie, nawet zanim przybył do Anterrey. Przeczucie. Nie zdarzało się często, ale kiedykolwiek nadeszło, wnet obracało się w rzeczywistość. Szaman zawsze wiedział, ile zostało czasu. I choć nie każda antycypacja była jednakowo silna, to wszystkie naznaczone były jedną ponurą cechą – zwiastowały nadchodzący koszmar wybranych dusz, mający swoje źródło w dawno minionych egzystencjach. Tym razem nie było inaczej. W obrazach dostrzegł stare, ciemnozielone volvo. Wyłoniło się z otchłani i podążało osamotnioną drogą ku rogatkom miasta. Za kierownicą długowłosa postać rzucała ogniste spojrzenia. Zewnętrzna uroda skrywała czające się pod spodem zło. We śnie widział, jak postać hipnotyzowała bogatych mieszkańców, jak urodą i banknotami korumpowała lekarzy. Słyszał krzyki spaczonych genetycznie płodów. Rozumiał, że ta diabelsko piękna istota była tylko jedną częścią planu wszechświata, którego scenariusz miał prędzej czy później rozegrać się w osowiałym miasteczku

Anterrey.

Detektyw Murray nie miał ochoty wracać do domu. Siedział w swoim wysłużonym audi, dosłownie kilka metrów od swojej sofy, łóżka, lodówki i telewizora, lecz to nie był odpowiedni moment, by móc skorzystać z dobrodziejstw zacisza domowego. Spojrzał na zegarek. Dochodziła trzecia. Był jeszcze czas, by dokończyć dzień.

W poszukiwaniu Tatiany zabrnął w ślepą uliczkę. Jedyna iskierka nadziei w zeznaniach Sofii zgasła pod naciskiem bolesnych przytyków w szkole, na jakie wystawiał się mały Jim, oraz stowarzyszenia Zdrowe Dzieci, które pojawiło się dosłownie znikąd i wprowadziło informacyjny chaos. Nie miał innego wyjścia, jak przeczekać ten moment paraliżu w swoim półprywatnym śledztwie i szukać dalszych wskazówek w zabójstwach Simona Alvareza oraz Malcolma Murphy'ego. Redakcja „Przeglądu Anterrey" byłaby doskonałym miejscem do zasięgnięcia potrzebnych informacji. Niestety nie teraz. W obliczu śmierci ojca Malcolma nie mógł tak po prostu wkroczyć do gniazda dziennikarzy i reporterów. Nie był wystarczająco twardy ani przebiegły, by zachować wszelkie tajemnice śledztwa dla siebie. Informowanie dziennikarzy o postępach w śledztwie nie leżało w jego kompetencjach i nie zamierzał przyjmować roli rzecznika, ku niezadowoleniu samego szefa. Zawsze znalazł się ktoś, kto przez drobną manipulację wyłuskał strzępy informacji, by później rozdmuchać je w reportażu do wielkich rozmiarów. Stado wygłodniałych sępów, a może po prostu grupa przyzwoitych dziennikarzy, chcących dostać swoją wierszówkę, czekało na świeżą porcję wiadomości. Sam Richard w tej chwili potrzebował konkretów i zdawał sobie sprawę, że nic za darmo nie dostanie. A może jednak?

Budynek biblioteki w Anterrey mieścił się przy centrum, niedaleko parafii, w której do niedawna co niedzielę duchowny skupiał uwagę

wszystkich zebranych katolików, by po mszy wdawać się w prywatne pogawędki z wiernymi. Była to niewysoka, podłużna konstrukcja starej daty w kształcie prostokąta, z ładnie ozdobioną i niedawno odrestaurowaną fasadą podpartą dwoma filarami. W środku długie, obszerne pomieszczenie wyłożone drewnem. Gdzieś pod sufitem rozciągała się drewniana mezanina, na którą z obu stron prowadziły schody. Na szczycie schodów, jak i na parterze, ściany podpierały wysokie, miejscami spróchniałe regały z książkami, czasopismami, gazetami i wszelkiej maści makulaturą. Pod balkonem, w samym centrum biblioteki, przy wielkim dębowym biurku, siedział pomarszczony starzec o siwych włosach, z grubymi okularami na nosie i otwartą książką w ręku. Delikatny zapach książek i stęchlizny pożółkłego papieru wypełniał całe pomieszczenie.

– Dzień dobry – przywitał się Richard, trzymając ręce w kieszeni prochowca. – Gdzie mogę znaleźć stare numery „Przeglądu Anterrey”?

– Dzień dobry – rzekł ochrypłym głosem wiekowy bibliotekarz, podnosząc głowę znad książki. – Numery z ostatnich kilku lat znajdzie pan w głębi, po prawej stronie. – Mężczyzna wolno wyprostował rękę; wyciągnięty pomarszczony palec z długim paznokciem wskazywał kierunek.

– Bardzo dziękuję. – Richard ruszył z miejsca, ale głos bibliotekarza jeszcze na chwilę go zatrzymał.

– Ale mamy jeszcze egzemplarze cyfrowe na tablecie przy tamtym stole, tylko że nie wszystkie. Są tam książki, gazety, czasopisma, trochę poezji. To trochę trwa, więc jeśli interesuje pana jakiś artykuł z ostatnich osiemnastu miesięcy, to będzie łatwiej tam znaleźć.

Dopiero teraz Richard zauważył średniej wielkości biurko pod oknem, tuż przy schodach prowadzących na wewnętrzny balkon. Tablet za nic nie pasował do starodawnego wystroju biblioteki. Nawet i tu, w Anterrey, technologia zdawała się wchodzić w niektóre zakamarki życia publicznego.

Niemniej miasto, być może jedno z nielicznych, jeśli nie ostatnie na świecie, było daleko w tyle za rozwojem technologii i wcale się nie kwapiło, by dorównać mu kroku. Poza bankami, policją i kilku innymi instytucjami ze stałym dostępem do sieci Anterrey wciąż skutecznie opierało się ogólnodostępnemu łączu internetowemu. Jedynie w miejscach takich jak biblioteka, rzadko uczęszczana kafejka internetowa, czy w nielicznych, bardziej zamożnych domostwach mieszkańcy mogli spojrzeć w cyfrowy świat. Dla większości mieszkańców życie w mieście położonym daleko od wydarzeń i problemów świata zewnętrznego było wszystkim, czego potrzebowali, więc internet także leżał poza zakresem ich zainteresowań.

Richard otworzył wygaszony tablet. Porządek alfabetyczny pozwalał na szybkie odszukanie pozycji przyporządkowanej każdej literze. Wyszukiwarka pozwalała na znalezienie nie tylko tytułów czasopism i gazet, ale też terminów i nazw własnych, znajdujących się w tekstach. Fraza „Zdrowe Dzieci” dała jedynie dwa wyniki, oba w „Przeglądzie Anterrey” – numerach sprzed dwunastu i szesnastu miesięcy. Wszedł w starszą pozycję i ku jego zaskoczeniu oczom ukazał się niedługi tekst w formie reportażu śledczego, uderzający w nieformalne stowarzyszenie, zataczające coraz szersze kręgi wśród bardziej zamożnych mieszkańców. Artykuł opisywał mroczne zjawisko, siejące zagładę wśród niepełnosprawnych umysłowo i spaczonych genetycznie istnień w tym ponurym miasteczku.

Detektyw zgłębił treść reportażu i wnet wygrzebał z czeluści pamięci to, co zarysowało się w rozmowie z Sofią. Był to ponury obraz. Bliżej niezidentyfikowana postać skaziła grupkę zamożniejszych chorą ideologią, na skutek czego doszło do co najmniej paru zgonów noworodków i być może kilku wymuszonych poronień. Całość opleciona domysłami, anonimowymi świadectwami i okraszona miejską legendą miała bardziej charakter ostrzegawczy, niż opisywała faktyczny stan zdarzeń, a jej autorzy uczciwie

podkreślali, że oparli artykuł na przesłankach. Jednym słowem, tekst miał uczulić lokalną społeczność na niepokojące zjawisko, którego siła rażenia być może wcale nie była tak duża, jak można by wnioskować z treści artykułu. W międzyczasie dziennikarze obiecali trzymać rękę na pulsie i informować czytelników o ewentualnym rozwoju wydarzeń. Tygodnik „Przegląd Anterrey” był jedynym źródłem papierowej informacji w mieście, znanym z merytorycznych artykułów i rzetelnych dziennikarzy. Tu nie było miejsca na tanią sensację. I choć tekst był wyważony, niewątpliwie podparty realnymi działaniami autorów w terenie, to bardzo szybko rozszedł się po kościach. Również na posterunku policji odbił się znikomym echem. Nie było żadnych podstaw, by podjąć działania, i w tenże sposób szybko o sprawie zapomniano.

Murray otworzył drugą i ostatnią pozycję – sprzed dwunastu miesięcy. Szukane hasło znalazło się w krótkiej historii na temat kuriozalnie wysokich szans niejakiej Cinthii Green, aspirującej na członka zarządu szpitala, pomimo braku doświadczenia, jak i dyplomu z medycyny, a także natychmiastowej rezygnacji ze starań o stanowisko po wypłynięciu kompromitujących oskarżeń. Dyrekcja szpitala wyparła się informacji o pozytywnym rozpatrzeniu jej podania o pracę, a elegancka postać na zdigitalizowanym zdjęciu obok tekstu nie chciała skomentować rewelacji, jakoby przewodziła kontrowersyjnemu stowarzyszeniu „Zdrowe Dzieci”. Szpital początkowo zbywał milczeniem pytania gazety o możliwym miejscu w zarządzie dla zamożnej, acz skrytej i tajemniczej osoby spoza świata medycyny, aż wreszcie wydał oświadczenie, że wniosek wyżej wymienionej kobiety o posadę został odrzucony z powodu braku odpowiednich kwalifikacji. Tekst nie był w tonie oskarżycielskim, a jednak autorzy przemycali między wierszami domysły o faworyzowaniu Cinthii Green ze względu na nieformalną pomoc finansową, jaką świadczyła szpitalowi,

z której część, być może, trafiała do prywatnych kieszeni.

Murray skończył czytać, głośno westchnął i przetarł oczy. W artykułach nie doszukał się niczego, co mogłoby popchnąć śledztwo w którymkolwiek kierunku. Jeszcze raz rzucił okiem na zdjęcie, przesuwając palec ku przyciskowi wygaszającemu urządzenie. Nagle znieruchomiał, wstrzymał oddech i pobladł. Nie wierzył własnym oczom. Odsunął krzesło i szybkim krokiem udał się do wyjścia z budynku. Sięgnął po telefon w kieszeni prochowca i wybrał numer do szefa.

– Jakieś wieści, Richard, bo zaraz wybieram się do domu – rzucił na przywitanie Danny Jones.

– Ta kobieta ze zdjęcia z ojcem Malcolmem to Cinthia Green. Ustalcie jej adres! Chcę od razu tam pojechać! I przyślijcie mi kogoś do pomocy!

Murray był w szoku. Wiedział, że skądś kojarzył tę twarz. Być może na fotografii z gazety miała krótsze włosy, być może miała inną fryzurę, ale rozpoznał ten wzrok. W głowie widział jej zdjęcie z parku w towarzystwie ojca Malcolma Murphy’ego. Widział jej oczy. Pamiętał ogniste spojrzenie.

ROZDZIAŁ 8

Atmosfera na zewnątrz była depresyjna, podobnie zresztą jak wczoraj. Nie można się też było spodziewać, że jutro cokolwiek się zmieni. Tu nigdy nie zachodziły znaczące zmiany w pogodzie. Jedynie szarówka zmieniała swój odcień na ciemniejszy lub jaśniejszy, w zależności od dnia. Anthony, ubrany w lekką kurtkę, wychodził właśnie z domu, przyglądając się smutkowi drzew. Nawet ptaki zdawały się śpiewać inaczej. Zapach lasu i żywicy wdzierał się w płuca i pobudzał ciało – była to jedyna pozytywna i niezmienna rzecz w tym przytłaczającym otoczeniu. Obrazy i dźwięki wydawały się mu znajome. Tak jakby tkwiły gdzieś w najgłębszych zakamarkach pamięci, ale nie były w stanie wyjść na powierzchnię. Wspomnienia sprzed wypadku wynurzały się w bardzo powolnym tempie, hamowane przez koszmarne sny i poczucie zagubienia. Z wyjątkiem pojedynczych retrospekcji w nagłym ataku bólu głowy oraz znalezionej w domu garstki namacalnych dowodów jego życia sprzed incydentu, mężczyzna nie pamiętał niczego. Anthony O’Donnell, pisarz, mieszkający na przedmieściach zobojętniałej aglomeracji, był w tejże chwili człowiekiem bez przeszłości. Nie miał najmniejszego pojęcia, co się z nim działo, zanim znaleziono go nieprzytomnego na plaży. Nie znał też swojej codzienności i zachowań.

Raz jeszcze błądził myślami po anonimowej kartce papieru na strychu.

Biło z niej niewytłumaczalne ciepło, szczerość i oddanie. Ściskało za serce, uspokajało duszę. *Tony czy Donny?* To najpewniej nie było przejęzyczenie Barbary; to nie było też jej pióro. Nie mogło nim być. *Więc kto kryje się za sielankowym zdjęciem i wersami z listu?* Podejrzewał, że to prawdziwa miłość, i właśnie tego musiał się dowiedzieć.

Las znikał za plecami, a Anthony wychodził zza zakrętu. Przed oczami zaczynało się miasto z ulicami pokrytymi pokruszonym asfaltem, chodnikami wyłożonymi popękanymi płytami, budynkami z odpadającym tynkiem. Obraz Anterrey nie dodawał otuchy, nie podnosił na duchu. A jednak było w nim coś ożywiającego i pozytywnego, w przeciwieństwie do odizolowanego i obecnie surrealistycznego życia O'Donnella. Rozmowy przechodniów pojawiały się i gasły, a warkot samochodów wybudzał go z przemyśleń. Czuł się jak odludek rzucony w wir cywilizacji, ale już nie uciekał w samotność. Teraz poczuł się żywy, skoncentrowany i pełen energii. Miasto, choć tak bardzo obce, wydawało się w dziwny sposób znajome. Wiedział, po co tu przyszedł, i za moment miał to dostać.

Wszedł do najbliższego sklepu. Niewielki salonik papierniczy z papierosami i przyborami codziennego użytku dzielił powierzchnię z malutką piekarnią z kawą, herbatą i różnymi wypiekami do wyboru. Wciśnięte w narożnik dwa okrągłe stoliki z krzesłami czekały na swoich klientów. Nikt nie obsługiwał stoiska. Jedynie szczupła, piegowata kobieta z rudymi lokami, po czterdziestce chowała się za ladą z drobiazgami i obserwowała gościa już od wejścia. Mężczyzna wyczuł spojrzenie ekspedientki. Wpatrywała się w niego długo i przeciągle, jakby właśnie zobaczyła kryminalistę bądź co najmniej dziwaka.

– Dlaczego mi się tak pani przygląda? – rzekł na dzień dobry O'Donnell, dochodząc do lady.

– Przepraszam bardzo, ale zupełnie się tu pana nie spodziewałam –

odparła pokornie kobieta. Jej usta drżały w lekkim uśmiechu.

– Czy moja wizyta panią zaskakuje? – dociekał, najwyraźniej zaskoczony jej wyznaniem.

– Nie, to znaczy… pan już tu wcześniej przychodził, ale to było dawno i nigdy nie sam – powiedziała nieśmiało.

– Nie sam? To znaczy…?

– Przepraszam, czuję się trochę niezręcznie. Czy coś panu podać? – Kobieta obawiała się konfliktu.

O’Donnell zrozumiał swoje zachowanie i chwilowo wycofał się z pytania. Nie miał zamiaru urazić rozmówczyni. Ekspedientka, trochę jakby znajoma, miała przyjemną, lekko okrągłą twarz o małych oczach i wąskich ustach. Jej głos brzmiał łagodnie i nie mógł świadczyć o porywczym charakterze.

– Bardzo przepraszam, jeśli panią uraziłem – zaczął od początku. – Pozwoli pani, że się przedstawię. Jestem Anthony O’Donnell i mieszkam w leśniczówce za miastem. Niestety, w wyniku upadku zupełnie straciłem pamięć i byłbym wdzięczny, gdyby mogła mi pani pomóc. Każdy szczegół pomógłby mi przywrócić wspomnienia. A skoro pani powiedziała, że już tu przychodziłem… – Przerwał w oczekiwaniu na reakcję kobiety.

– To bardzo smutne, co pan mówi! – Wyraźnie się uspokoiła, ale i zasmuciła. – Przestraszyłam się, że pan jest zły, bo głupio patrzyłam. Jeszcze raz bardzo przepraszam.

– Nic nie szkodzi, droga pani. Patrzę na panią i odnoszę wrażenie, że kojarzę twarz, ale nie mogę sobie nic przypomnieć.

– Ja jestem Lora. Pan mnie zna z imienia, bo przedstawiałam się każdemu, gdy zaczynałam tu pracę z osiem tygodni temu. Nieraz nawet chciałam do pana zagadać, ale wolałam się nie narzucać. Pan nigdy nie bywał tu sam, panie Anthony – mówiła już swobodnie, zapatrzona w oczy

niespodziewanego klienta.

– No i właśnie tego chciałem się od pani dowiedzieć, pani Loro. – Anthony spostrzegł, że kobieta miękła w jego obecności. Była to cecha, jakiej w sobie nie znał, a przynajmniej nie pamiętał. – Będę pani dozgonnie wdzięczny za pomoc.

– Sama nie wiem, jak zacząć, bo nie chciałabym pana urazić.

– Nie urazi pani – naciskał delikatnie.

– No więc dobrze. – Lora postanowiła kontynuować z pewną dozą ostrożności, wyraźnie ważąc słowa. – Pracę w tym sklepie zaczęłam raptem dwa miesiące temu, a parę tygodni wcześniej przyjechałam do Anterrey. No i wtedy jak pan wszedł po raz pierwszy, to ja wiedziałam, że to pan jest tym znanym pisarzem. Mój zmarły dwa lata temu brat czytał wszystkie pana książki.

– Bardzo mi przykro! – Anthony zareagował natychmiast.

– Ja czytałam tylko jedną. Widziałam pana zdjęcie z tyłu okładki i pamiętałam twarz. Zresztą ludzie mówili, że pan mieszka w tym lesie. Pamiętam pierwszy raz, gdy pan tu wszedł z pewną kobietą. Pan tu zawsze odbiera u nas pocztę, bo szefowa mi mówiła, że listonosz nie jeździ poza miasto. Więc wszystkie przesyłki przychodzą do nas. Pamiętam też, że to był mój trzeci dzień w pracy. Miał pan taką pogodną twarz i taki błysk w oku. Tak bardzo chciałam się z panem przywitać i porozmawiać, ale pan był zajęty rozmową z tą szatynką. A ja jestem trochę nieśmiała i nie umiałam się przemóc. Mój brat bardzo by mi zazdrościł, gdyby wiedział, że pana poznałam.

– Na pewno o tym wie, droga pani – pocieszył ją ciepłym głosem. Kobieta już w pełni się otworzyła, a wyciągnięcie potrzebnych informacji było tylko kwestią minut.

– Też mam taką nadzieję! – Oczy ekspedientki wypełniły się żalem. –

No i jeszcze ten dzień tak mi utkwił w pamięci, bo miałam nieodparte wrażenie, że, że… – zawahała się.

– Że?

– Że skądś pana znam, że już kiedyś pana spotkałam.

– Jeśli jestem znanym pisarzem, to na pewno zna mnie pani z książek i właśnie z fotografii na okładce! – odparł przyjemnym głosem, dziwiąc się, jak łatwo mu sterować zachowaniem kobiety.

– Tak, ale to nie to. Ja odniosłam wrażenie, że już kiedyś pana poznałam. Wie pan, jakby w jakimś poprzednim wcieleniu. Tak jak pan pisał w „Wysypisku dusz”. To było naprawdę dziwne uczucie.

– To tylko książka, droga pani – zapewnił. – Wytwór mojej wyobraźni. Zasugerowała się pani treścią powieści, a fotografia na okładce wykreowała zjawisko déjà vu. Stąd to uczucie. – Logika nie opuszczała O’Donnella, nawet w stanie amnezji wstecznej.

– Pewnie ma pan rację. – Kobieta skinęła głową z poczuciem zawodu. – Ale mimo wszystko cieszę się, że w końcu pana poznałam.

– Ja również, pani Loro. Przepraszam, ale wspomniała pani, że byłem w towarzystwie pewnej szatynki – kierował rozmowę na odpowiednie tory. – Wydało mi się, że to jakaś delikatna kwestia.

– Ach tak. No więc… no… – Nie wiedziała, jak zacząć. – Przychodził pan tu nieraz z pewną panią. Miała ciemne włosy i pamiętam, że była bardzo ładna. Myślałam, że to pana dziewczyna albo żona, bo widziałam, jak pan na nią patrzył. Ona na pana też, ale może trochę mniej. Pan się wydawał szczególnie zakochany.

– To bardzo miłe, co pani mówi. Czy może ją pani opisać albo powiedzieć coś więcej? – Serce Anthony’ego zabiło mocniej. A więc musiał jeszcze niedawno kochać i być kochany; to było uczucie zupełnie mu obce od czasu pobytu w szpitalu.

– Nie pamiętam dobrze twarzy, bo nie chciałam się za bardzo przyglądać. Po jakimś czasie nastąpiło coś dziwnego, coś… Nie wiem, jak panu o tym powiedzieć.

– Bardzo proszę spróbować. Świetnie sobie pani radzi.

– Ona później się już tu nie pojawiała, pan też nie. Potem się okazało, że pan miał ten wypadek. Czytałam o tym w gazecie. Dochodziły też jakieś plotki, że ona też zaginęła, jak ten chłopiec, ale ja tam nie wierzyłam, co ludzie gadają. Jak w gazecie o czymś nie piszą, to ja w to nie wierzę.

– Zaginęła? Jak ten chłopiec? Nic z tego nie rozumiem! – zawołał. Bo faktycznie, opowieść Lory była w tym miejscu niezrozumiała.

– No tak! A do tego w ostatnim czasie przychodzi tu inna pani, też szatynka, i odbiera dla pana pocztę. Dlatego to wszystko tak bardzo mnie zdziwiło. Szatynka, ale taka inna, trochę starsza i…

– I? – powtórzył za nią. – Naprawdę proszę się nie przejmować. Na pewno mnie pani nie urazi.

– No, taka oschła i raczej nieufna. Taka jakby smutna albo zła, sama nie wiem. Inna od tamtej. Ja bardzo przepraszam, nie powinnam tak mówić o pana…

– Ale naprawdę nic nie szkodzi. – Nie potrafił ukryć zaaferowania i z trudem się kontrolował. – To, co pani mówi, jest dla mnie naprawdę ważne. Czy jest coś jeszcze, co pani pamięta? Proszę sobie dokładnie przypomnieć. Bardzo proszę.

– To wszystko, naprawdę! – zapewniła Lora. – Nic więcej nie przychodzi mi do głowy.

– Rozumiem i bardzo dziękuję za rozmowę. – Ukłonił się i zabrał się do wyjścia.

– Ale czy pan po coś tu nie przyszedł? Myślałam, że chciał pan odebrać pocztę, ale nic dzisiaj nie przyszło.

– Ach tak! Ma pani rację! – Anthony wnet sobie przypomniał cel swojej pieszej wędrówki. – Czy ma pani wcześniejsze numery „Przeglądu Anterrey”? Chciałem się dowiedzieć, co się działo w mieście, gdy byłem w szpitalu.

– Tak, mam resztki poprzedniego numeru w kantorku! No i ten najnowszy – odparła rozpromieniona, że będzie mogła pomóc. – Więc mogę panu przynieść, jeśli pan sobie życzy. To zajmie tylko dwie minutki!

– Bardzo proszę! – rzekł, delikatnie się uśmiechając i spoglądając na Lorę znikającą za drzwiami na tyłach sklepu.

Radość mieszała się w nim z przejęciem. Wypad do miasta okazał się nadzwyczaj dobrym pomysłem. Nie przypominał sobie, czy kiedykolwiek wcześniej to robił, ale ten ruch okazał się strzałem w dziesiątkę. Wizyta w sklepie przyniosła mu więcej, niż mógł się spodziewać. Prywatne śledztwo nabrało tempa, jednocześnie wprawiając go w coraz większą konfuzję. Słowa kobiety o dwóch szatynkach tylko potwierdziły jego podejrzenia, że Barbara faktycznie nie była jego partnerką. *Kim była poprzednia kobieta, w której podobno byłem tak zakochany? Kobieta z listu i autorka zdjęcia?* Był pewien, że to o niej mówiła ekspedientka. Nie wiedział tylko, co się z nią stało i dlaczego przepadła bez śladu. Nie wiedział, a może podświadomość nie chciała przyjąć do wiadomości prawdopodobnego scenariusza. Myśl ta była dla niego niezwykle przejmująca i burzyła dotychczasową radość, gdyż prowadziła do strasznej konkluzji. *Czy kobieta mojego życia mogła zginąć z rąk Barbary?* Dreszcz przeszył jego ciało. Hipoteza, że mógł mieszkać z morderczynią, napawała go strachem. Nie przyjmował jej do wiadomości, ale na wyjaśnienie musiał jeszcze poczekać.

– Proszę bardzo! To wszystko, co udało mi się znaleźć. – Uśmiechnięta Lora wyłoniła się z kantorka i położyła stary egzemplarz gazety na ladzie. – Czy ten najnowszy też pan sobie życzy?

– Jest pani nieoceniona! Tak, wezmę oba – powiedział, macając kieszenie spodni.

– Proszę się nie przejmować, panie Anthony! – Kobieta wykazała się spostrzegawczością. – Zapłaci pan następnym razem. To tylko grosze.

– Bardzo pani dziękuję! W pośpiechu chyba zostawiłem portfel w domu. Nawet pani nie wie, jak mi dzisiaj pomogła!

Anthony wyciągnął rękę na pożegnanie, a ich dłonie zetknęły się i wtedy Lora wydała głęboki jęk. Jej twarz wykrzywiła się w bólu. Chwyciła się za bok i wzięła kilka głębokich oddechów. Przeprosiła Anthony'ego i odwróciła się na chwilę do tyłu.

– Czy wszystko w porządku? – O'Donnell przestraszył się nie na żarty.

– Już dobrze! – wysapała, a grymas zniknął z jej oblicza. – Przepraszam – uśmiechnęła się nagle. – Zaszczypało mnie w boku. Myślałam, że coś mnie gryzie, ale nie. Na skórze mam takie znamię i nagle zaczęło mnie dziwnie parzyć. To chyba z ekscytacji, że w końcu pana poznałam.

Lekki ból przeszył również kark Anthony'ego. Potarł palcami podłużną plamę na skórze. Nieprzyjemne uczucie szybko zelżało. Jeszcze się uśmiechała, gdy wychodził ze sklepu. Nie wiadomo, kto bardziej zyskał na tym spotkaniu. Lora wydawała się szczerze uradowana niespodziewaną wizytą i rozmową ze znanym pisarzem. On również kończył rozmowę z burzą uczuć. Wychodził z bagażem cennych informacji, sprawiających niezmierną radość, ale i powodujących nerwowość. Przystanął jeszcze w drzwiach, gdy coś nagle kazało mu się zatrzymać.

– Przepraszam, czy w mieście jest biblioteka? – Głos Anthony'ego rozniósł się po sklepie.

– Jest przy centrum, nieopodal kościoła, ale niedługo będą zamykać – odpowiedział z głębi głos żeński.

Z tym musiał poczekać. Zresztą, rozmowa z miłą ekspedientką była

wszystkim, na co przemęczony organizm mógł sobie dziś pozwolić. Teraz jego mózg był już zmęczony i Anthony potrzebował czasu, by każde słowo Lory odpowiednio przetrawić w domowym zaciszu. Wracał szybkim krokiem w stronę lasu; gazety zwinięte w rulon tkwiły w jego zaciśniętej dłoni. Gdzieś między drzewami dostrzegł dwie postaci, które się w niego uporczywie wpatrywały. Chowały się w cieniu, jak dzika zwierzyna w ukryciu, obserwując każdy ruch mężczyzny. Zniecierpliwienie wzięło górę. Anthony biegł co sił nierówną drogą. Spowalniał i przyspieszał, na ile tylko pozwalała mu tusza i kolka. Niecałe tysiąc kroków dalej dotarł do swojej przystani. Szary, zdezelowany peugeot stał przed domem w wyżłobionych oponami bruzdach ziemi. Okolica była cicha, a wokół ani żywego ducha. Nie spodziewał się rozmowy z Barbarą ani też jej nie chciał. Słowa Lory pozbawiły go zaufania do kobiety, z którą dzielił dom, ale nie zamierzał dopuścić do konfrontacji. Jeszcze nie teraz. Rzeczywistość osuwała się w absurd i on zdawał sobie z tego sprawę. Nie mógł jej do końca zaufać, a sam wydawał się być daleki od normalności. Po wejściu do domu przystanął i zamknął za sobą drzwi. Cisza spowijała salon. W powietrzu wyczuł słabą woń kwiatów. *Perfumy Barbary!* Była gdzieś w środku. Czy wiedziała, że przyszedł? Powolnym krokiem udał się do przedpokoju. Hol bez okien tonął w półmroku. Po lewej stronie ciemność wylewała się z uchylonych drzwi do sypialni Barbary. Musiała opuścić rolety. Ktoś na pewno był w środku. Anthony czuł na sobie ciężar czyjegoś wzroku. Czy ktoś zaraz wyskoczy i go zabije? Czy może zaczeka w ukryciu? Nie miał odwagi sprawdzać, czy ona rzeczywiście tam była. Nie chciał spojrzeć jej w oczy. Cichym krokiem udał się do swojego pokoju i zamknął za sobą drzwi. Otworzył stary numer „Przeglądu” i rozłożył go na łóżku. Nie mylił się. Strony piąta i szósta jednak istniały i miały mu bardzo dużo do powiedzenia. Spośród trzech artykułów tylko jeden tak naprawdę uzupełniał

luki w jego ograniczonym widzeniu rzeczywistości. **Wypadek pod skarpą.** Wytłuszczony nagłówek bił po oczach. Poniżej zdjęcie radiowozów i służb ratowniczych nad pobliskim urwiskiem.

1 września, około godziny 14.30 spacerowicz natknął się na nieprzytomnego mężczyznę, leżącego na dzikiej plaży, powszechnie nazywaną „pod skarpą". **Do zdarzenia doszło w poniedziałek, w pobliżu lasu na wschodzie Anterrey. 26-latek zadzwonił na policję z informacją o rannym mężczyźnie. Poszkodowany to Anthony O'Donnell, znany w mieście powieściopisarz, który według świadka „leżał na plecach bez wyraźnych oznak życia**". **Dzięki szybkiej akcji ratowniczej ciężko ranny 47-latek został przetransportowany do szpitala, gdzie wprowadzono go w stan śpiączki farmakologicznej. Według informacji przekazanych przez lekarza prowadzącego ofiara miała dużo szczęścia. Z powodu podejrzenia uszkodzenia mózgu mężczyzna przebywa obecnie na oddziale intensywnej terapii, jednak, jak podkreśla doktor Sokolov, nie ma bezpośredniego zagrożenia życia. Ustalenia policji wykazały, że O'Donnell często przesiadywał nad urwiskiem, gdzie pracował nad kolejną powieścią, i najprawdopodobniej uległ wypadkowi na skutek silnego podmuchu wiatru. Nie dopatrzono się działania osób trzecich ani próby samobójczej. Danny Jones, komendant policji w Anterrey, ujawnił, że policja nie podejmie dalszych działań w sprawie incydentu.**

O'Donnell długo wpatrywał się w załączone zdjęcie. Wiedział od Barbary o wypadku, a jednak fotografia mocno chwytała za serce. Była namiastką wydarzenia, początkiem, który doprowadził do amnezji. Artykuł nie wniósł nic zaskakującego; nic, co mogłoby zmienić obecne położenie Anthony'ego. Fakt, nie dopatrzono się próby samobójstwa. Ale skąd mógł mieć absolutną pewność, co naprawdę zaszło nad klifem, stojąc teraz przed wysokim murem zapomnienia, którego za nic nie mógł przeskoczyć? Na

stronie szóstej dostrzegł zdjęcie księdza i krótki, niepokojący tekst.

Dnia 29 sierpnia wyszedł z domu i do tej chwili nie powrócił ojciec Malcolm Murphy z parafii św. Marka. W dniu zniknięcia ubrany był w niebieskie dżinsy, granatową kurtkę i czapeczkę z daszkiem. Osoby mające jakiekolwiek informacje na temat aktualnego pobytu bądź okoliczności zaginięcia ojca Murphy'ego proszone są o kontakt z posterunkiem policji lub redakcją „Przeglądu Anterrey".

Otworzył numer z tego tygodnia. Ta sama strona, nowe wiadomości. Nic, co mógłby przypisać własnemu życiorysowi, a jednak obszerny tekst na piątej stronie brzmiał co najmniej ponuro.

„Szokujące morderstwo w Anterrey"

11 września, w późnych godzinach popołudniowych bezdomna kobieta dokonała makabrycznego odkrycia na terenie opuszczonego budynku szwalni. W starej wannie na parterze znajdowały się zwłoki poszukiwanego Simona Alvareza (14 lat). Jak ustalili dziennikarze „Przeglądu Anterrey", nieznany sprawca ze szczególnym okrucieństwem dokonał zbrodni, która odbiła się szerokim echem w społeczności miasta. Według anonimowego źródła w policji Alvarez został uprowadzony, a następnie zamordowany w gmachu szwalni. W momencie znalezienia zwłok ciało znajdowało się w daleko posuniętym rozkładzie. Świadek zeznał, że wanna była wypełniona wodą, w której ugotowano ciało. Dotychczas nie udało się ustalić, czy w chwili zanurzenia w wodzie chłopak jeszcze żył. Pomimo znalezionych elementów garderoby, pasujących do opisu ubioru zaginionego Alvareza, oraz braku innych zgłoszonych zaginięć nastolatków dopiero wyniki DNA będą mogły jednoznacznie potwierdzić tożsamość ofiary. Policja rozpoczęła intensywne śledztwo, jednak wykrycie sprawcy będzie niezwykle trudne. Na miejscu morderstwa nie znaleziono żadnych śladów, a bezdomni,

zresztą rzadko okupujący budynek, posiadali niezbite alibi wykluczające ich z kręgu podejrzanych. Nie wiadomo również, czy sprawca bądź sprawcy mają związek z zaginięciem poważanego księdza Malcolma Murphy'ego, którego działalność szerzej opisaliśmy w osobnym artykule (patrz str. 6).

Przypomnijmy, że morderstwo Simona Alvareza jest sprawą bez precedensu, nie tylko w historii naszej gazety, ale też w ostatnim stuleciu miasta. W ciągu ostatniego wieku nie odnotowano ani jednego morderstwa czy też przypadku ciężkiego przestępstwa, takiego jak gwałt lub porwanie. Niestety, potworna zbrodnia rzuca się cieniem na spokojne życie w Anterrey i zamyka beztroski rozdział w dziejach naszej społeczności.

O'Donnell nie znał zaginionego chłopaka, a przynajmniej tak mu się wydawało. Jednak artykuł zwrócił jego uwagę. Przyciągał nie tylko dramatycznym nagłówkiem, ale też fotografią przystojnego chłopca i złowrogim zdjęciem ceglanej szwalni z radiowozami w tle. Okoliczności śmierci młodego człowieka były wręcz szokujące i nie pozwalały szybko przejść nad sobą do porządku dziennego. Anthony zaczynał rozumieć, że mieszkał w stosunkowo bezpiecznym mieście. Czy mógł mieć coś wspólnego z wydarzeniami w szwalni? Dlaczego Barbara mogła chcieć ukryć przed nim tę straszną zbrodnię? Nie potrafił znaleźć logicznego wyjaśnienia, a jednak usunięcie jedynej kartki z gazety było co najmniej zastanawiające.

Anthony raz jeszcze prześledził treść artykułu. Tym razem uchwycił zdanie, które umknęło mu za pierwszym razem, w napływie drastycznych informacji. **Nie wiadomo również, czy sprawca bądź sprawcy mają związek z zaginięciem poważanego księdza Malcolma Murphy'ego, którego działalność szerzej opisaliśmy w osobnym artykule (patrz str. 6).** Przewrócił stronę i wydał cichy jęk przerażenia. Odsunął się od gazety

i przykleił plecami do nagłówka łóżka, tak jakby papier nagle zajął się ogniem. Tkwił tak bez ruchu przez kilkanaście sekund i nie mógł uwierzyć w to, co przed chwilą zobaczył. Nie przywidziało mu się. Wciśnięte w artykuł dwa zdjęcia księdza nie mogły wywrzeć większego wrażenia na kimkolwiek; być może nie wywarłyby nawet na Anthonym, gdyby był w pełni sił umysłowych. Ale nie w tej sytuacji. Nie teraz. Fotografia uśmiechniętego duchownego przed kościołem przypominała o jego popularności. Poniżej ujęcie tego samego człowieka w przyjacielskim uścisku z mężczyzną, którego twarz znał nadzwyczaj dobrze. Podpis pod zdjęciem nie pozostawiał żadnych wątpliwości: **Ojciec Murphy i Anthony O'Donnell, najlepsi przyjaciele.**

Katolicka społeczność Anterrey nie zaprzestaje modlitw w oczekiwaniu na szczęśliwy powrót ojca Malcolma Murphy'ego, oficjalnie zaginionego dnia 29 sierpnia br. Jak poinformowała gospodyni księdza, Maria Angelini, 45-letni Murphy wyszedł z domu wieczorem z zamiarem dłuższego spaceru i do tej pory nie powrócił. Istotną informacją może być fakt, że duchowny jest znany ze swojej ostrożności i nie zwykł wychodzić na przechadzki, szczególnie wieczorową porą.

Urodzony i wyświęcony w irlandzkim Galway, Murphy uzyskał tytuł doktora nauk teologicznych na miejscowym uniwersytecie. Ksiądz jest osobą znaną i poważaną, nie tylko w środowisku katolickim. Oprócz działań na rzecz parafii udziela się również charytatywnie oraz zapewnia pomoc duchową i finansową osobom ubogim i bezdomnym. Jak zeznają liczni parafianie, Murphy'ego cechuje empatia, ufność i ogromna życzliwość. Irlandczyk zaskarbił sobie licznych znajomych, jednak szczególną sympatią obdarzył Australijczyka, również o irlandzkich korzeniach, Anthony'ego O'Donnella (obaj na zdjęciu), znanego autora powieści grozy. Dziwnym zbiegiem okoliczności 47-letni O'Donnell

doznał ciężkiego uszczerbku na zdrowiu po upadku ze skarpy zaledwie trzy dni po tajemniczym zaginięciu ojca Murphy'ego.

Malcolm Murphy dotąd nie powrócił oraz nie nawiązał kontaktu z parafią. Osoby mające jakiekolwiek informacje dotyczące zaginionego proszone są o pilny kontakt z posterunkiem policji lub redakcją „Przeglądu Anterrey".

Anthony siedział na łóżku w bezruchu. Serce biło powoli pod ogromnym ciężarem emocji. Dopiero teraz zaczynał odnosić wrażenie, że twarz i nazwisko zaginionego księdza prześwitywały w zakamarkach opustoszałej świadomości. Artykuł przekonywał, że bardzo dobrze się znali; on sam nie potrafił niczego sobie przypomnieć. Rozpacz i beznadzieja ponownie roztoczyły cień nad nadzieją i optymizmem. Znów dotarł do granic cierpliwości. Bezlitosny los wciąż trzymał go w sidłach amnezji, a on nie mógł się wyzwolić. Płakał. Nawet nie zauważył, kiedy łzy poczęły płynąć mu po policzkach. Zakrył twarz rękoma i pojękiwał przez łzy. W nagłym przypływie złości chwycił ze stolika plastikową butelkę z wodą i cisnął nią o ścianę. Głuche uderzenie o drewniane belki rozeszło się po sypialni.

Leżąca w ciemnym pokoju kobieta odruchowo nakryła głowę kołdrą. Była spięta. Dłonie lekko drżały jej z nerwów. Jasny blask ekranu telefonu rozbijał się na twarzy. Palce szybko wystukiwały kolejne litery wiadomości.

Ten człowiek powoli traci zmysły i staje się agresywny. Boję się o siebie. Nie mogę dłużej czekać. Muszę działać, zanim wszystko sobie przypomni. Co myślisz?

Kilkadziesiąt sekund później bezgłośny SMS zwrotny podjął ostateczną decyzję:

Masz rację. Tylko poczekaj na odpowiedni moment! Może włóż mu najpierw do jedzenia środki na sen, tak dla pewności. Potem zabierz wszystko i znikaj!

ROZDZIAŁ 9

Audi detektywa Murraya stanęło pod wskazanym adresem. Pomoc jeszcze nie nadeszła. Piętrowy dom, zupełnie nierzucający się w oczy, mieścił się poza centrum Anterrey. W porównaniu z innymi domkami ten wydawał się zamknięty na świat – ogrodzony wysokim, zaniedbanym żywopłotem, nieco oddalony od reszty zabudowań, choć w tym samym szeregu, a do tego zabezpieczony ciężką jednolitą bramą w odcieniu szarości i furtką z domofonem w tym samym kolorze. Budynek, podobnie jak lokatorka – obecnie świadek, a może i przestępca w prowadzonym śledztwie – odpychał dystansem i nie wzbudzał zaufania. Za nim ciągnął się już tylko rząd firm budowlanych, magazynów i pomieszczeń gospodarczych. Policjanci znali tę okolicę. Jadąc dalej tą drogą, jakieś półtora kilometra na południe, docierało się do starej szwalni, niedawnego miejsca okrutnej zbrodni. Ta część miasta zawsze wydawała się dość wyludniona, ale od czasu odkrycia ugotowanych zwłok Simona Alvareza nawet bezdomni już nie zapuszczali się w te strony.

Richard nacisnął przycisk domofonu i odczekał minutę. Nikt nie odpowiedział. Ponowny dzwonek również nie przyniósł rezultatu. Detektyw rozejrzał się dookoła. Ani żywej duszy. Podskoczył i chwycił się górnej części furtki. Trzy ruchy później zwisał na metalowych drzwiach, by po chwili zeskoczyć na drugą stronę. Nacisnął klamkę od wewnątrz i uchylił drzwi.

Dom i ogrodzenie dzieliło jakieś kilkanaście kroków. Połać trawnika pod ścianą, wyblakła i podeptana, raziła brzydotą. Wszystko w obrębie posesji zdawało się mieć swój kolor, a jednak trudno było nie zauważyć wszechobecnej szarzyzny. Było zupełnie cicho. Stare volvo w ciemnej zieleni blokowało wejście na tyły budynku. Z zewnątrz dom wydawał się pusty. Nikt nie wyjrzał przez okno, nikt nie odchylił firanki, nikt też nie zapalił światła. Richard podszedł do drewnianych drzwi i zapukał kilka razy. Przystawił ucho. Cisza. Zrobił kilka kroków w tył i ogarnął wzrokiem front domu. Przez chwilę stał bez ruchu. Trop, jaki udało mu się podjąć w bibliotece, urywał się przed samymi drzwiami i wydawało się, że nic więcej nie może się już dzisiaj wydarzyć. Minął volvo i przedostał się na tył domu. Tamta część posesji nie różniła się za bardzo od przedniej. Miejsce na ogródek czy trawnik było zalane betonem. W oczy rzucał się jedynie drewniany stolik z trzema krzesłami i zamkniętą parasolką. Industrialny wygląd podwórka w połączeniu z szarością dnia niejednego mógł przyprawić o depresję. W miejscu drzwi wejściowych znajdowało się oszklone wyjście na taras. Richard Murray nie dostrzegał nic, co wychodziłoby poza ramy normalności, oprócz przygnębiającej atmosfery. Stanął w odległości i przyjrzał się oknom. Lewa szyba na piętrze wyglądała inaczej, a przynajmniej tak mu się zdawało. Mieniła się nienaturalnie, jakby promienie słoneczne przedostawały się przez szkło do wnętrza. Ale słońce nie świeciło mocno tego dnia. Poszedł na taras i złapał za uchwyt drzwi balkonowych. Te przesunęły się do środka, powodując mocniejsze bicie jego serca. W wejściu nie było zamka. Solidna metalowa zasuwa na samym środku zazwyczaj dawała poczucie bezpieczeństwa, ale nie tym razem. Schowana przy samej ścianie jakby zapraszała do wnętrza.

Murray znalazł się w salonie. Spore pomieszczenie z regałem, sofą, ławą i telewizorem najpewniej było miejscem do wypoczynku, choć wyraźnie

niesprzątanym od dłuższego czasu. Dziwna, czarna plamka w rogu sufitu wyglądała na świeżą. Smolista maź gromadziła się pod powłoką farby i już w tej chwili przesiąkała na zewnątrz. Richard przyjrzał jej się z daleka i ruszył przed siebie. Kroczył powoli i rozglądał się dookoła. Ciężkie buty prawie bezszelestnie przesuwały się po parkiecie. Przeszedł przez pokój i po chwili stanął w czymś, co wyglądało na połączenie kuchni i holu. Niewielka kuchenka, lodówka i stolik z krzesłami stały pod ścianą po prawej. Sam środek był pusty i niezagospodarowany. Na wprost drzwi wejściowe i stojący wieszak z kilkoma kurtkami. U jego podstawy dwie pary czarnych butów leżących niedbale na podłodze; leżących, nie stojących. Tak jakby ktoś je kopnął lub rzucił z odległości. Po lewej stronie drewniane schody, które prowadziły na piętro. Detektyw zrobił kilka kroków i stanął w miejscu. Coś się nie zgadzało. Klucz wciąż tkwił w zamku drzwi. Wejście od zewnątrz było niemożliwe. Jeśli dom stał pusty, nie wiadomo, dlaczego Cinthia Green, jeśli faktycznie tu mieszkała, postanowiła wyjść przez taras. Coś jeszcze nie dawało mu spokoju. Od chwili przekroczenia progu do jego uszu dobiegał cichy jednostajny dźwięk. Nie potrafił skojarzyć go z żadnym elektronicznym urządzeniem. Dźwięk na tyle słaby i nieinwazyjny, by po chwili o nim zapomniał. Ale z tego miejsca wydawał mu się głośniejszy. Ciężki, buzujący niczym pomruk włączonej lodówki, a jednak trochę inny. Skierował się na schody. Stanął na drugim stopniu i skrzywił twarz. Zapach był przejmujący. W ostatnich dniach poznał go już nazbyt dobrze. Wanna w gmachu szwalni, potem park cmentarny. Wiedział już wszystko. Postawił krok wyżej, potem następny.

Na górze było więcej pomieszczeń. Po lewej mała sypialnia z podwójnym łóżkiem i wielką starą szafą. Pod oknem wytarty fotel ze stolikiem i lampką. Surowość ścian przysłaniały półki z rzędami książek z dziedziny psychiatrii, psychologii, na temat hipnozy i innych obszarów

wiedzy, o których Richard nie miał pojęcia. Po drugiej stronie piętra uchylone drzwi zapraszały do łazienki, ale nie miał zamiaru tam zaglądać. Interesował go tylko jeden pokój. Znajdował się obok sypialni – najbardziej tajemniczy, najbardziej niedostępny ze wszystkich. Zamknięte drzwi pozwalały tylko się domyślać, co mogło być po drugiej stronie. Richard sięgnął do wewnętrznej kieszeni po chusteczkę i przyłożył do nosa. Wahał się. Niepewność, a zaraz potem dziwny strach ogarnęły jego umysł. Ciężki smród przesiąkał przez ubranie i osiadał na włosach. Denerwujący dźwięk stał się głośny, uporczywy i nieznośny dla uszu. Oparł dłoń o klamkę. Popchnął drzwi i otworzył. Hałas! Przeraźliwe bzyczenie rozdarło bębenki uszne. Czarna chmura zerwała się i z impetem uderzyła go w twarz. Rój much szalał w czterech ścianach, obijał się o okno, meble i ulatywał do przedpokoju. Makabryczny obraz stanął mu przed oczami. Mdlący, odurzający smród wywoływał nudności. Pospieszył schodami w dół, próbując uciec przed natrętnymi muchami. Pamięć przywołała obraz sprzed kilku sekund. Napuchnięte ciało w kolorze zgniłej zieleni opierało się o ścianę. Wybałuszone oczy, wystające spod długich włosów, wpatrywały się w Richarda. Smugi poczerniałej krwi zastygły,s wypłynąwszy z nosa. Dolna część twarzy i biały kołnierzyk jakby ubrudzone czarnymi grudkami. Plama czarnej mazi przesiąkała przez ubranie i spływała po parkiecie do lewego narożnika. Stado larw żerowało na zwłokach. Rozbita doniczka z paprotką zalegała pod samym parapetem. Murray był już w salonie. Podmuch świeżego powietrza z otwartego balkonu pozwolił na złapanie oddechu.

– Co jest, do cholery? – rzucił jeden z dwóch młodych funkcjonariuszy. Obaj stali na tarasie zdziwieni wyglądem detektywa. – Właśnie mieliśmy cię szukać w środku.

– Nie wchodźcie tam! Oszczędźcie sobie koszmarów po nocach!

– Dzwonić po koronera? – spytał młodziak z lekkim strachem w oczach.

– Tak! – Richard skierował się na przód domu. Potrzebował kilku minut, aby dojść do siebie.

Sam widok gnijących zwłok, choć koszmarny, nie był główną rzeczą, jaka w tej chwili zaprzątała mu głowę. Osoba, która ostatecznie miała rozwiązać sprawę, stała się tylko kolejnym etapem śledztwa. Nikt nie zgłaszał jej nieobecności. Nie figurowała w rejestrze zaginionych. Im mocniej parł do przodu, tym bardziej oddalał się od odpowiedzi. *Tatiana!* Poczuł strach. Ten specyficzny rodzaj zmartwienia, którego nie czuł już od dawna. Myśli, jakie towarzyszą mężczyźnie w obawie o zdrowie bliskiej osoby. Zrozumiał, jak długo żył odarty z silniejszych emocji, jak bardzo tęsknił za głębią i kompleksowością uczuć, a jednocześnie przypomniał sobie ich ciemną i bolesną stronę w obliczu straty. Bał się. Już raz los odebrał mu partnerkę w wypadku samochodowym. Nie chciał przeżywać tego na nowo. Nie chciał znaleźć Tatiany martwej, choć stała się ostatnim poszukiwanym nazwiskiem. Tu liczyły się fakty, a te nie stały po jego stronie. Zharkova była następna w kolejce. Jej śmierć byłaby końcem zauroczenia, być może i wielkiej miłości. A w tym wszystkim gdzieś w tle przewijała się znajoma twarz. *Steve.* Był elementem układanki, której nie potrafił dopasować. Jeszcze nie teraz, ale to tylko kwestia czasu. Trudno było zapomnieć to, co zobaczył. Przywołał obrazy materiału z kamery przemysłowej. Kontury postaci ubranej na sportowo sunęły przez mgłę, spowijającą grunt przy cmentarnym ogrodzeniu. *Co robiłeś na tym cmentarzu, Steve? Dowiem się za wszelką cenę!*

– Słyszałem od szefa, że znalazłeś naszą kobietę ze zdjęcia! – Znajomy głos dobiegł do uszu Richarda.

– Cześć, Steve. – Murray zupełnie nie zauważył pojawienia się kolegi. – Możesz się z nią zobaczyć, jeśli chcesz, ale nie jest w najlepszej formie.

– Nie, dziękuję! Kolejne zabójstwo to za dużo jak na moje nerwy.

– Jesteś pewien, że to zabójstwo? – Richard nie zdążył ugryźć się w język. Podświadomość dawała upust podejrzeniom.

– Ekipa już w drodze. Nawet Danny ruszył tyłek i będzie na miejscu. – Smith zdawał się nie zarejestrować przytyku Richarda lub celowo go zignorował. – Otworzę bramę, żeby nie było tłoku przed domem.

Kilkanaście minut później było już tłoczno. Na podwórku stał karawan i kilka radiowozów. Żaden nie zaparkował na ulicy. I tym razem uznano, że tak będzie lepiej. Choć w sąsiedztwie nie było żywej duszy, choć nikt nie wyglądał przez pobliskie okna, nie warto było prowokować niepokoju i niepotrzebnych domysłów wśród sąsiadów. Richard również wjechał na podwórze, tak jak pozostali, ale nie chciał brać udziału w oględzinach. Zresztą i tak nie mógłby pomóc. Dzień dobiegał końca w tragicznych okolicznościach. Kolejny w czarnej serii i jak sądził, raczej nie ostatni. Nie miał ochoty z nikim rozmawiać, a już szczególnie ze Steve’em. Przeczucie podpowiadało, by mu nie ufał. Ciężar wewnętrznego śledztwa na własną rękę przygniatał go coraz mocniej z każdym dniem. Nie zamierzał się wycofać ani też zwierzać nikomu. Dowód był znaczący, ale niewystarczający. Musiał drążyć dalej. Danny Jones wyłonił się zza rogu szarego budynku. Twarz miał poważną i zdenerwowaną. Zapewne i jemu potworny stan zwłok odciśnie się w pamięci na kolejne dni lub tygodnie. Już sięgał po papierosa do kieszeni beżowej kurtki, gdy dostrzegł sylwetkę Murraya. Bez namysłu podszedł do samochodu od strony pasażera i otworzył drzwi.

– Nie przeszkadzam? Chłodno się robi – wpraszał się do środka.

– Zapraszam do mojego biura! – Richard przez chwilę mógł oderwać się od natłoku myśli.

– To mamy trzecie ciało! – westchnął Jones. – Trochę już przeleżało. Nie idziesz do góry?

– Już byłem i żałuję – odparł Murray. – Nie wiem, co się dzieje w tym

mieście. Trzy trupy w tak krótkim czasie to dla mnie zdecydowanie za dużo. Przez dziesięć lat mojej kariery tutaj nie miałem tyle roboty i stresu.

– Nie tylko ty. Siedzę tu o wiele dłużej i nigdy nie miałem do czynienia z żadnym zabójstwem. Jakaś mroczna siła ukarała nas wszystkich za cały ten spokój. Czasami odnoszę wrażenie, że to coś nie z tego świata. – Jones patrzył przed siebie. Głos miał stanowczy, acz zirytowany.

– To musi się skończyć. Jak najszybciej. Ludzie się coraz bardziej niepokoją.

– Skończy się, kiedy znajdziemy ciało Zharkovej.

– Albo tego gnoja, zanim skrzywdzi Zharkovą. – Serce Murraya na chwilę zamarło po komentarzu szefa. Nie myślał teraz o Stevie jako o sprawcy tych wszystkich zabójstw, ale miał nieodparte wrażenie, że był elementem jakiegoś większego planu.

– Przepraszam, pospieszyłem się! – wycofał się Danny. – Wiem, że była twoją znajomą, i zdaję sobie sprawę, że trzyma cię nadzieja, ale szczerze mówiąc, uważam, że szanse na znalezienie jej żywej są bliskie zeru. Nie mamy ku temu żadnych przesłanek.

– Wiem i rozumiem, ale w całym tym gównie chciałbym liczyć na coś pozytywnego.

– Jasne! – Jones nie chciał dalej brnąć w temat Tatiany. – Jak udało ci się wpaść na trop Cinthii Green?

– Łut szczęścia. Sofia Weber i Tatiana Zharkova są koleżankami. Zharkova opiekowała się chorym synem Sofii. Przepytałem ją dzisiaj raz jeszcze, bo wcześniej podobno już z kimś rozmawiała.

– Nie jestem pewien, czy nie przypadkiem ze Steve’em. W każdym razie niczego znaczącego z niej nie wyciągnęliśmy. Właścicielka apteki, gdzie pracowała Tatiana, też nas nie oświeciła.

Ze Steve’em? Richard wnet przypomniał sobie słowa Sofii

o wcześniejszej wizycie jakiegoś policjanta, ale zdołał ukryć zaskoczenie.

– Sofia Weber niczego nowego nie wniosła odnośnie do Zharkovej, ale wspomniała o pewnym tajemniczym stowarzyszeniu pod nazwą Zdrowe Dzieci.

– Tak jakbym kiedyś już o nim słyszał – wtrącił Danny.

– Tajna grupa zrzeszająca zamożnych ludzi, którzy próbują powstrzymać narodziny niepełnosprawnych dzieci.

– Jasne! W zeszłym roku „Przegląd Anterrey” coś o tym pisał.

– I właśnie tam to znalazłem! W bibliotece mają zdigitalizowane numery, aż osiemnaście miesięcy wstecz. Było też zdjęcie założycielki stowarzyszenia. To kobieta ze zdjęcia z ojcem Malcolmem. Dlatego teraz siedzimy przed jej domem.

– Niech to szlag! Cinthia Green! Teraz już pamiętam tę sprawę. Niektórzy potem gadali, że szpital na siłę usuwał niektóre płody.

– Sofia Weber też o tym wspomniała. Podobno sama zrobiła rozeznanie i doszła do wniosku, że przez ostatnie dziesięć lat nie urodziło się u nas żadne niepełnosprawne dziecko. Szef myśli, że to prawda? – zapytał Richard.

– Nie wiem – westchnął Jones. – Aż strach o tym pomyśleć. Z drugiej strony to mało prawdopodobne. Szczególnie w Anterrey. Chyba dowiedzielibyśmy się wcześniej, gdyby coś było na rzeczy. Trudno powiedzieć.

– Teraz to już chyba przestało mieć znaczenie. Można przypuszczać, że po śmierci Green stowarzyszenie przestanie istnieć – skonkludował Richard.

– Najprawdopodobniej tak będzie, ale jeszcze dokładnie to sprawdzimy.

– Szef pozwoli, że porozmawiam z Barrym. – Murray dostrzegł znajomego koronera asystującego policjantom targającym nosze z czarnym workiem w stronę karawanu. – Zapytam, co dokładnie się stało.

– Jasne. Ja wracam na miejsce zobaczyć, czy chłopaki znaleźli coś

interesującego. – Danny otworzył drzwi, a jego barczyste ciało wygramoliło się z samochodu.

Wysuszona twarz Barry’ego Janssena rozpromieniła się na widok Richarda. Lubili się, choć nie byli bliskimi znajomymi. Znali się od dawna, mimo że od zawsze utrzymywali tylko formalne stosunki, co zupełnie nie przeszkadzało żadnej ze stron. Koroner przystanął przy karawanie z uśmiechem na twarzy. Zadziwiające, jak człowiek o tak mrocznej profesji potrafił się uśmiechać, gdy zaledwie kilka minut wcześniej majstrował przy gnijących zwłokach. Starszy facet w białym kitlu jeszcze parował smrodem, który wcześniej o mało nie powalił detektywa na ziemię. Na szczęście szybko tracił na intensywności w chłodnych powiewach wiatru.

– Obiecuję, że nie zajmę panu dużo czasu – zapewnił na wstępie Richard.

– Ależ proszę się nie martwić. Ja już tutaj skończyłem! – odparł ochrypłym głosem Janssen. – Teraz pojadę do prosektorium i zobaczę z kolegą, co dokładnie dolega zwłokom.

– Na co wskazują wstępne oględziny?

– Że to nie była śmierć naturalna. Jak na razie nie mogę wykluczyć samobójstwa, ale nigdy nie widziałem, aby ktoś próbował się zabić ziemią doniczkową.

– Ziemią doniczkową? – powtórzył zaciekawiony Murray. Dopiero teraz dostrzegł martwą muchę w przerzedzonych włosach koronera, co na moment go rozbawiło.

– Nie przesłyszał się pan. W ustach denatki było pełno ziemi doniczkowej, aż po samo gardło. Mam swoje przypuszczenia co do ostatnich minut pani Green, ale poczekajmy na wyniki toksykologiczne.

– Może pan powiedzieć. Potraktuję to jako nieformalną rozmowę.

– To powiem panu, tak między nami, że Cinthia Green mogła podzielić

los Simona Alvareza i Malcolma Murphy’ego.

– Co pan ma na myśli?

– Esmeron. We krwi ojca Murphy’ego również znaleźliśmy stężoną dawkę środka zwiotczającego mięśnie. Jeśli moja hipoteza się potwierdzi, to będzie można mówić o konkretnym modus operandi zabójcy. Ale tak jak mówiłem, nie wyciągajmy pochopnych wniosków.

– To interesujące, co pan mówi.

– Żeby była jasność, Malcolm Murphy nie zmarł z przedawkowania esmeronu, ale w wyniku przecięcia aorty ostrym narzędziem. Miał poderżnięte gardło. Zmarł w ciągu kilku minut, ale to musiały być straszne męki. Nie mógł nawet ruszyć ręką, aby próbować zatamować krew. To i tak na nic by się nie zdało, ale proszę sobie wyobrazić całkowity paraliż ciała i świadomość rychłej śmierci. Ten morderca doskonale wie, co robi. I robi to z premedytacją. Takie jest moje zdanie. To na razie tyle. Jak tylko zrobimy raport sekcji i badania krwi, szef na pewno wszystko panu przekaże.

– Będę czekał z niecierpliwością. No nic, nie zatrzymuję już pana, dziękuję za informacje – odrzekł Murray i zwrócił się na tyły domu.

– Nie uściśnie mi pan ręki na pożegnanie? – Barry stał z wyciągniętą dłonią w zabrudzonej rękawiczce i szerokim uśmiechem na twarzy.

– Obiecuję, że przy kolejnym spotkaniu uścisnę dwa razy, jak będzie pan już po pracy! – odpowiedział z uśmiechem Richard i odszedł.

Nie chciał już tu dłużej być. Czuł, że zrobił wszystko, co mógł. Wystarczyło pożegnać się z szefem i pojechać do domu. Danny Jones siedział przy stole na tarasie z czymś, co wyglądało na książkę rozłożoną na blacie. W jego ustach gasła końcówka papierosa.

– Szefie, nic tu po mnie. Wracam do domu. – Murray zbliżył się do Jonesa, aby się pożegnać.

– Zanim pojedziesz, usiądź na chwilę i czytaj. – Dłoń Danny’ego

przesunęła zeszyt A4 w skórzanej bordowej okładce.

– Co to jest?

– Najwyraźniej rejestr klientów naszej Cinthii Green. Daty, nazwiska i kwoty. Nasi znaleźli to na stoliku, w pokoju, w którym leżała. Kobieta najwyraźniej była psychologiem i prowadziła usługi terapeutyczne.

– Zdążyłem zauważyć po książkach w sypialni. – Słowa Danny'ego wcale nie zaskoczyły Murraya.

– Jak widzisz, nazwisk jest dość sporo, a lista długa. Ale nie to jest w tym wszystkim najciekawsze.

– A co takiego? – Murray przeglądał treść bez większej uwagi.

– Za zakładką od wewnętrznej strony tkwi kilkanaście wizytówek. Przesłuchamy ich wszystkich w najbliższym czasie. Jest tam między innymi jakiś lekarz ginekolog, położna, także informatyk, prawnik i coś, co na pewno cię zainteresuje.

– Co takiego? – Richard spojrzał na szefa. Ten trzymał w ręku białą wizytówkę. Wnet kartonik wylądował na otwartym rejestrze, tuż przed nosem detektywa.

– O ja pier… – Przełknął resztę wyrazu w niedowierzaniu.

Nieduży bilecik miał bardzo prosty wygląd, bez żadnych ozdób czy zbędnych dodatków. Na samym środku czarny tusz układał się w imię i nazwisko oraz numer telefonu. Ojciec Malcolm Murphy. Na odwrocie odręczna dedykacja nakreślona niebieskim długopisem: **Twój Malcolm. XXX.** Symbol trzech krzyżyków miał oznaczać trzy pocałunki.

– Pozwolisz, że tę wizytówkę zachowam dla siebie i zastanowię się, co z tym dalej zrobić. Nie wiem, czy opinia publiczna powinna o tym wiedzieć. Nasza parafia jednak jakąś tam grupę ludzi jednoczy i chyba nie warto burzyć ich zaufania, sugerując, że ksiądz miał romans z kobietą podejrzewaną o prowadzenie grupy zabijającej płody z wadami. – Danny Jones dostrzegł

skonfundowaną minę zaufanego podwładnego, która momentalnie stygła w osłupieniu. – Dobrze się czujesz?

– Jasne! – odpowiedział wolno Murray i oddał karteczkę przełożonemu. – Słuchałem, co szef właśnie powiedział, i przypomniałem sobie opowieść Sofii Weber, tej kobiety z niepełnosprawnym dzieckiem, z którą dzisiaj rozmawiałem.

– Aha – odparł Jones z zainteresowaniem.

– Jej chłopak z zespołem Downa chciał dostać się do kościelnego chóru, ale ojciec Murphy odmówił, tłumacząc się brakiem miejsc. W międzyczasie inne dzieciaki dołączały do grupy. Rozumie szef, co chcę przez to powiedzieć?

– Nie za bardzo… – Jones zmrużył oczy, nie mogąc skojarzyć faktów.

– Że nasz świątobliwy i dobroduszny duchowny również należał do stowarzyszenia Zdrowe Dzieci pod przewodnictwem pani Green, a przy okazji był jej kochankiem!

Tym razem Richardowi udało się wprowadzić Jonesa w chwilowy szok. Ten wyglądał, jakby na kilka sekund zatrzymały się wszystkie jego funkcje życiowe, łącznie z oddychaniem, i skinął z wolna głową.

– To ma sens!

– Być może znaleźliśmy wspólny mianownik wszystkich zbrodni. Jeśli gdzieś w rejestrze widnieje nazwisko Alvarezów, to będziemy mieli wiarygodny motyw. Zagorzały wróg ugrupowania wykańcza jego członków! – Richard był bardzo podekscytowany nagłymi wnioskami. Coś, co jeszcze kilkadziesiąt minut temu było kolejnym wielkim znakiem zapytania, następnym ślepym zaułkiem, być może właśnie przybliżyło ich do ustalenia tożsamości psychopatycznego mordercy. W tejże chwili Murray skupił się na twarzy Danny’ego Jonesa i widział, że coś jest nie tak.

Szef odwrócił wzrok, wpatrując się gdzieś w żywopłot.

– Richard, wszystko się zgadza, ale obawiam się, że z twojej perspektywy byłoby lepiej, gdyby ta hipoteza okazała się błędna.

– Nie rozumiem. – Detektyw zmarszczył czoło.

– Otwórz rejestr na końcu i spójrz na nazwiska. – Jones nie odrywał wzroku od ogrodzenia.

Murray odnalazł koniec listy w połowie zeszytu. Kilkanaście nazwisk nie mogło sprawić większego kłopotu. Po chwili wstrzymał oddech i wydał słaby jęk. Ostatnia pozycja ścisnęła mu serce. **Tatiana Zharkova**.

Kilkanaście minut później był już w drodze. Gdy odchodził, jego szef sięgał po kolejnego papierosa i przebąkiwał coś o bardzo długiej nocy w domu Cinthii Green. Zanosiło się na urozmaicony wieczór, nie tylko dla Danny'ego i jego podwładnych przewracających dom do góry nogami w poszukiwaniu jakichkolwiek wskazówek. Richard wiedział, gdzie się udaje. Okoliczne budynki przesuwały się po obu stronach drogi. Pojedynczy ludzie, pogrążeni we własnych sprawach, pojawiali się w gasnącym świetle dnia, by po chwili zniknąć gdzieś w tyle, w lusterkach. Ciemniejące okna zabudowań rozbłyskiwały od czasu do czasu domowym światłem, a uliczne latarnie żarzyły się niewyraźnym blaskiem. Murray był pogrążony w rozmyślaniach. Jeszcze przed chwilą wsiadał do samochodu z zamiarem zaszycia się w domowym zaciszu, ale teraz nie był już pewien celu podróży. Po chwili skierował się w miejsce, przed którym od zawsze się wzbraniał, które w głębi duszy wyśmiewał, a jego lokatora nazywał dziwakiem. Nie miał pojęcia, dlaczego podjął taką właśnie decyzję. Nie był nawet pewien, czy sam się na to zdecydował, czy może pomogła mu w tym jakaś dziwna, tajemnicza moc. Czuł się nieswojo, ale wiedział, że musi tam pojechać. Od zawsze był sceptykiem, lecz gdy racjonalizm wymyka się z rąk, wiara staje się ostatnią deską ratunku. Zbliżał się do punktu, w którym logika ustępowała niewytłumaczalnemu, w którym zdrowy rozsądek kłaniał się iluzji i siłom

nadprzyrodzonym.

Zmrok prawie zupełnie spowił otoczenie, kiedy dotarł do celu. Wiedział, gdzie się zatrzymać, choć był tu po raz pierwszy. Wszyscy wiedzieli, lecz przychodzili nieliczni. Nikt jednak nie ośmielił się ośmieszyć, podważyć czy zakwestionować znaczenia tego miejsca. Poza miastem widoczność drastycznie zmalała, pozbawiona światła latarni ulicznych czy blasku żarówek za firanami w oknach. Samochód na poboczu nie stanowił zagrożenia dla zmotoryzowanych. Mało kto zapuszczał się w te rejony o tej porze. Mało kto w ogóle wychodził gdziekolwiek o zmroku. Jedynie miejscowe służby wchodziły w stan czuwania, reagując sporadycznie na mało znaczące incydenty. Naturalna cisza nocna udzielała się wszystkim.

Richard wyciągnął latarkę halogenową ze schowka. Wiązka światła rozjaśniała wydeptaną ścieżkę biegnącą w głąb pola. Stąpał ostrożnie, zważając na nierówności i wertepy. Kilka minut później z mroku wyłoniły się zarysowania lepianki. Płot, najwyraźniej zbity przed dekadami, resztkami sił opierał się działaniu czasu i ziemskim żywiołom. Studnia z kamienia i niski kurnik w rogu zagrody pokryły się nocą. W domu przy palenisku siedział stary mężczyzna z bambusową fajką w ustach. Skrzyżowane nogi na wytartym dywaniku znikały pod pośladkami. Oczy wpatrywały się w żywy ogień. Czarne włosy lekko podskakiwały na ramionach, łaskotane wiatrem z zewnątrz. Ognisko tańczyło w ułożonym chruście, utrzymując przyjemne ciepło w glinianych ścianach. W niskim wejściu stał detektyw Murray. Przygarbiony, z ręką opartą o ścianę zaglądał do środka. Snop światła z opuszczonej latarki jeszcze przez moment padał na ubrudzone buty, aby po chwili zgasnąć.

– Oczekiwałem cię – rzekł słaby, chrapliwy głos. Stara ręka wyprostowała się, wskazując na dywanik po drugiej stronie paleniska.

Murray wpatrywał się w Yakshita jak zahipnotyzowany. Nie wiedział,

jak starzec mógł na niego czekać, skoro przybył niezapowiedziany. Ku własnemu zdziwieniu odczuwał dziwną aurę, panującą wewnątrz lepianki. Nie umiał tego nazwać, ale bez słowa protestu postanowił się jej podporządkować. Usiadł powoli i oparł się o ścianę. Sięgnął ręką za pazuchę, wyciągnął kilka banknotów i położył obok siebie. Słyszał od innych, że żywność i odzież stanowią bardziej wartościową walutę w tym domu. Niestety, pieniądze to wszystko, co miał.

– Przyszedłeś, bo w mieście znikają ludzie.

– Tak. Ale dlaczego właśnie w Anterrey? – spytał spokojnym głosem Richard i wpatrzył się w głębię oczu starca.

– Bo Anterrey nie jest zwykłym miasteczkiem i nigdy nim nie było. To przystań między życiem i śmiercią. Tu przenikają dusze, by zamknąć niedokończone sprawy z poprzedniego istnienia.

– Skąd te wszystkie zbrodnie i dlaczego tak brutalne? – Murray nie rozumiał metafizycznego przekazu Yakshita.

– Pewna dusza mści się za swoją śmierć w poprzednim wcieleniu. Mordercy z zeszłego istnienia teraz są ofiarami, a ofiara stała się katem. Zabija tak, jak sama kiedyś została zgładzona – odpowiadał cierpliwie Indianin. Po chwili zamknął oczy i kontynuował: – Wrzątek, gleba i ostrze. Tak ją kiedyś zabito. Widzę to w swoich wizjach.

Richard nie wierzył w to, co przed chwilą usłyszał. Wrzątek, ostrze i gleba były głównym elementem trzech ostatnich zbrodni. Jedynie artykuł dotyczący śmierci Simona Alvareza ukazał się dotychczas w gazecie. Indianin nie mógł znać szczegółów zgonu księdza Malcolma i Cinthii Green.

– Ale co jest motywem? – Detektyw nie potrafił pojąć, czego w tej chwili doświadcza.

Yakshit wziął głęboki oddech. Pod jego powiekami roztaczały się wizje przeszłych wydarzeń i tych, które dopiero miały nastąpić. – Tą duszą kieruje

podwójna chęć zemsty: odnaleźć i zabić swoich dawnych oprawców.

– A ta druga? – zapytał detektyw.

– Wkroczyć w czyjeś życie, zburzyć miłosny związek i osamotnić, bo ta istota również kiedyś została osamotniona.

– Ale jak to wszystko jest możliwe?

– Ludzki umysł pamięta jedynie doczesność. Ale pamięć duszy jest wiecznie żywa i nie zapomina o swoich poprzednich bytach. Dusze migrują z życia do życia i spotykają się w innych wcieleniach. Występują w innej roli i powinowactwie, ale i tak na siebie natrafią, choćby na chwilę. Tak właśnie przeznaczenie splata ich ścieżki.

– Jak rozpoznać taką duszę? – Richard był wyraźnie przejęty.

– Czerwone znamię. – Ochrypły głos Indianina roznosił się po lepiance. – Plama na skórze bywa wskazówką, jak ciało kiedyś umarło. Katorgi, traumy i cierpienia zostają w pamięci duszy i mogą się odzwierciedlać na ciele poprzez czerwone znamię.

Murray powolnym ruchem sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Po chwili wstał, podszedł do nieruchomego Yakshita, przykucnął u jego boku i położył przed dywanikiem dwie fotografie. Twarze Zharkovej i dziecka spoglądały ze zdjęcia nieruchomym spojrzeniem. Tuż obok skupiony wzrok Cinthii Green wpatrywał się w kadr, w bezpośredniej bliskości z ojcem Murphym na parkowej ławce. Indianin wysunął dłoń i zawiesił nad fotografią. Ku zdziwieniu detektywa powietrze pod pomarszczonymi palcami zaczęło gwałtownie wirować. Słaba, pomarańczowa poświata w kształcie małej kulki wyłoniła się znikąd i pulsowała światłem. Richard nie miał pojęcia, czy to jawa, czy sen. Nie wiedział, czy doświadcza niewytłumaczalnego, czy też jego zmęczony umysł kreuje urojenia. Usta szamana rozwarły się lekko. Gardło wydusiło słaby, zachrypnięty dźwięk:

– Morderca stąpał po ziemi cmentarnej.

Nagle Yakshit wysunął drugą rękę. Bez chwili zawahania chwycił dłoń Richarda i zacisnął na niej palce. Murray poczuł się słabo. Zamknął oczy. Jego umysł zaczął szaleć. Ciało zrobiło się lekkie. Świadomość pogrążała się w halucynacji.

Chłód ogarniał twarz i przenikał przez płaszcz. Stał na wydeptanej ścieżce. Mgła wisiała w powietrzu. Mrok spowijał okolicę. Dookoła same nagrobki. Krzyże, te metalowe, jak i drewniane, przechylały się na wszystkie strony. Cztery wrony siedziały niewzruszone przy jakimś kopcu, wydłubując z ziemi białe robaki. Z oddali dobiegało ujadanie psów. Richard ruszył przed siebie. Doskonale wiedział, gdzie jest. Cmentarz przy parku znów zionął grozą. Rzadkie powietrze wdzierało się w nozdrza. Miał wrażenie, że wdychał dusze zgasłych istnień. Zrobił nie więcej niż dziesięć kroków, gdy nagle dostrzegł przed sobą jakieś rysy. Kilka metrów przed nim stał człowiek. Odwrócony do niego plecami, ubrany w dres z kapturem zarzuconym na włosy. Na plecach miał podłużny czarny plecak. Stał bez ruchu. Wnet postać odwróciła głowę i spojrzała w jego stronę. W kapturze Murray widział ciemność zmieszaną z mgłą. Oczy postaci skutecznie chowały się za czarną powłoką, jedynie słabe kontury twarzy przebijały się przez mrok. Osobnik stał tak przez chwilę i wpatrywał się w detektywa. Nagle zerwał się z miejsca i ruszył przed siebie. „Stój!" Murray wyrwał do przodu za znikającą sylwetką. Krzyczał, być może na jawie, a może tylko w swoich myślach. Pędził wzdłuż ścieżki. Smutne nagrobki przesuwały się po obu stronach. „Stój!" Chłód wdzierał mu się w płuca i kłuł niemiłosiernie. Sylwetka w kapturze przemierzała ciemność wzdłuż płotu cmentarza, przecięła snop światła z pobliskiej latarni i zniknęła w mroku. Murray pamiętał ten moment i znał to miejsce. Był po drugiej stronie kamery przemysłowej, rzucony w samo centrum wydarzeń. Musiał go dorwać! „Steve!" Imię kolegi wydarło się z jego ust. Dystans z każdym krokiem wydawał się krótszy, a kontury

tułowia coraz bardziej wyraźne. Nagle intruz gwałtownie skręcił w lewo i wskoczył między nagrobki. Richard podążył za nim. Tajemniczy człowiek zwinnie przemieszczał się między grobami, raz po raz odpychając się dłonią od wystających krzyży. Detektyw tracił siły, lecz nie zmniejszał tempa. Nagle intruz stanął bez ruchu i w mgnieniu oka zapadł się pod ziemię. Dosłownie. Pionowo w dół. Przez grunt, w sam głąb. Murray natychmiast wyhamował, nie wierząc własnym oczom. Jak to możliwe!? Sapał przed nagrobkiem przewróconym na ziemię. Musiało mu się przywidzieć. Stał w miejscu, gdzie zniknął człowiek. Spojrzał na starą płytę sprzed co najmniej wieku. Brudna, wytarta, miejscami pokryta mchem, ukazywała wyryte na niej litery. Richard zmrużył oczy, a usta po cichu odczytywały te znaki, których nie zdołał jeszcze zatrzeć czas.

FAT…A LA…U

W tejże chwili dłoń spowił palący ból. Przeraźliwy krzyk rozdarł mu uszy. Murray otworzył oczy, a jego świadomość wróciła do rzeczywistości. Yakshit ściskał jego dłoń. Detektyw w panice szarpnął ręką i wyzwolił się z uścisku. Indianin opadł na ziemię. Jego zachrypnięte gardło wydawało z siebie wrzaski. Starzec miotał się na ziemi, a dłonie uderzały o twarz, korpus i nogi, jakby próbował ugasić gorące płomienie na skórze. Detektyw szybko zabrał zdjęcia i wstał z posadzki. Stary człowiek nagle się uspokoił. Leżał nieruchomo z zaciśniętymi zębami. Z oczu płynęły mu łzy. Szaman odwrócił głowę w stronę zszokowanego Murraya. Na koniec z jego ust popłynęły cicho ostatnie słowa z zaświatów, tym razem ułożone w zgrabny rym:

Jeszcze jedna śmierć wkrótce się dokona,
dusza przeciwko ciału własnemu się obróci.
W poprzedniej egzystencji z Fatimą połączona,

tu zyskał ją i stracił i to się nie odwróci.

Murray jeszcze długo słyszał w uszach te słowa. Pospiesznym krokiem wracał do samochodu, tym razem nie patrząc na dziury i nierówności. Usiadł za kierownicą i czym prędzej się oddalił, ani razu nie oglądając się za siebie.

ROZDZIAŁ 10

Anthony otworzył oczy. Leżał na łóżku w tych samych ciuchach, w nienaturalnej pozycji. W plecach bił ostry ból ścięgna nadwerężonego przez noc. Światło wpadało przez szyby w oknie. Nie był pewien godziny ani pory dnia. Przez kilka sekund wpatrywał się w sufit. Po chwili zerwał się i sięgnął po kartkę z ołówkiem. Znów pisał. Opisywał obrazy sennych majaków, z każdą nocą innych, tak samo dziwnych i równie koszmarnych. W zanikających w umyśle ujęciach widział dom, ale zupełnie inny niż ten obecny. Staroświeckie, acz kunsztowne meble, drewniana posadzka, elegancki stół i krzesła. Przed nim stała kobieta w wytwornej sukni; jej blond włosy pod kapeluszem były starannie spięte w kok. Zwrócona do niego plecami pozwalała się dotykać. Ufała mu bezgranicznie. Nie oponowała, gdy muskał palcami jej szyję, gdy jego dłoń sunęła wzdłuż jej pleców, gdy ściskała talię i przesuwała się ku przodowi. Była wysoka, dość barczysta, nie pierwszej młodości. Stała rozluźniona, w poczuciu bezpieczeństwa, nieświadoma swojej zguby. Nie spoglądała na jego dłoń, a jedynie czuła jej dotyk. Być może miała zamknięte oczy. Nie widziała zamachu drugiej ręki dzierżącej błyszczący szpikulec o długim, wąskim ostrzu. Napięła się, gdy gładko wchodził w jej bok, wsuwał się między żebra i przebijał płuco. Spowita przeszywającym bólem, opadła do tyłu, prosto w jego ramiona. Ożywione ręce rzucały się na wszystkie strony, w bezowocnej próbie

chwycenia się czegokolwiek, jego głowy, szyi, ramion. Tors wyrywał się z jego uścisku. On podważał rękojeść ku górze, wysuwał szpic do połowy i wciskał ponownie. Napięcie ustępowało, ręce się rozluźniały, oddech ustawał. Znów wysunął ostrze na kilka centymetrów. Szpikulec spływał krwią, a bok sukni nasiąkał soczystą czerwienią. Po raz ostatni z impetem wsunął narzędzie pod żebro, lecz ciało już się nie wzbraniało. Głowa spoczywała na jego ramieniu, ręce luźno zwisały, a skóra podskakiwała w ostatnich podrygach nerwów. Była piękna w objęciach zgonu. Jej przezroczysta łza, ostatnia za życia, spływała wolno, jako pierwsza po śmierci. Był bardzo ostrożny, jak przystało na dżentelmena. Założył drugą rękę pod nogi i poderwał ją do góry. Spoczywała teraz w jego objęciach, gotowa na wszystko, z głową odchyloną do tyłu. Twarz trwała w bezruchu, nie niepokoiły jej jego niezgrabne kroki, które stawiał, idąc ku wannie w łazience.

Anthony już nic nie pamiętał, ale też nie musiał. Wszystkie sny, utrwalone w słowach, wypełniały kartkę papieru. Przeczytał treść raz jeszcze, znów nie do końca wierząc w okrucieństwo swoich wizji. *Czy każdy pisarz horrorów doświadcza takich koszmarów? Czy są odzwierciedleniem zwyrodniałej duszy, ukrytych pragnień, czy może tylko barbarzyńskim płodem chorej wyobraźni?* Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziewiąta. Przypominał sobie słowa artykułu, widział siebie w uścisku księdza i rzekomego przyjaciela – bratniej duszy, której podobno tu nie miał, zadowalając się jedynie powierzchownymi znajomościami.

Musiał zobaczyć Barbarę i wszystkiego się dowiedzieć. Nie mógł już dłużej dźwigać balastu niepamięci, jawnych kłamstw i przeinaczeń rzeczywistości. Czuł względny spokój i opanowanie, mimo że zdrowy rozsądek był w tej chwili na wygnaniu. Gdzieś w głębi mieszkania usłyszał trzask. Zerwał się i wybiegł na korytarz, ale nikogo nie zastał. Półotwarte

drzwi do jej sypialni odkrywały pusty pokój. O’Donnell przyspieszył kroku i wpadł do salonu. Silnik samochodu powoli cichł w leśnej przestrzeni. Wybiegł na zewnątrz, lecz szary peugeot wjechał na leśną drogę i znikał za drzewami.

– Barbara! – krzyknął w las, ale bezskutecznie.

Widziała go, musiała go dostrzec w lusterku. Zamierzała go uniknąć tego ranka i udało się. Może nawet słyszała, że się obudził, i uciekła w obawie przed konfrontacją. Trzasnęła drzwiami zbyt mocno i odjechała zbyt szybko. Czy mogła wiedzieć o gazetach? To ani nic innego nie miało już znaczenia. W tej chwili ją skreślił. Czuł narastającą złość, ale nie mógł dać się ponieść furii. Stopniowo popadał w paranoję. Im bardziej chciał się wszystkiego dowiedzieć, tym częściej napotykał na nowe przeszkody. Wrócił do domu i usiadł na kanapie. Czuł się brudny i nieświeży, ale nie miał zamiaru wytrącać się z rytmu nawet szybkim prysznicem. Otworzył laptopa i znalazł plik *Désiré*. W cyfrowym stosie materiału, opisów i roboczych dialogów szukał czegoś, co odzwierciedli jego nocne wizje. Być może znalazłby elegancką kobietę ze snu ze szpikulcem, wbitym głęboko pod żebro, ale dziwnym trafem zupełnie inny fragment przyciągnął jego uwagę.

Brodaty Désiré czytał ogłoszenia. Do stołu podeszła kobieta w średnim wieku, ubrana w brązową suknię z pionowym rzędem jasnych guzików. Włosy z przedziałkiem pośrodku ześlizgiwały się po obu stronach małej głowy i znikały gdzieś z tyłu. W dłoniach ściskała krawędzie talerza.

– Odłóż już tę gazetę. Stawiam zupę na stole.

– Ależ, droga Fatimo, jeszcze nie skończyłem czytać. Poza tym zupa jest bardzo gorąca. Nie pamiętasz, że mam wrażliwe podniebienie? – Zerknął na nią ze zniecierpliwieniem.

– Pamiętam o tym, mężu, ale już dawno po obiedzie. – Spojrzała na

niego ciepłym wzrokiem. – Myślałam, że wrócisz wcześniej.

Anthony z żywym zainteresowaniem czytał, jak kobieciarz Désiré przekomarza się ze swoją żoną. Kojarzył tę scenę z któregoś snu. Z kobiety biła prostota, ale tylko pozorna. W głębi serca wyczuwał w niej mądrość i uczciwość – cechy, których na próżno szukał w osobie Barbary. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo przez to cierpi. Miłość i opieka, jaką mógł dostać od Barbary, byłyby najlepszym lekarstwem na jego amnezję i zagubienie. Zamiast tego otrzymywał chłód, zdawkowe rozmowy i ciągłą nieobecność. Nie wspominając o miłości, bo ta w jego czterech ścianach była tylko pustym słowem.

Nie mógł już więcej czytać. Zresztą to nie była pora na czytanie. Od samego rana przyświecała mu zupełnie inna myśl, niepozwalająca skupić się na czymkolwiek innym. Zamknął laptopa. W kuchni zjadł kawałek chleba i przeczytał wiadomość od Barbary, pozostawioną na stole: *Tony, wezwali mnie do pracy, wrócę bardzo późno. Zrób sobie coś do jedzenia i odpoczywaj*. Notka chłodna i zdystansowana, tak jak jej słowa. A do tego jeszcze ten „Tony” – zdrobnienie zgrabne, ale zupełnie nietrafione. Tyle już zdążył wywnioskować. W pośpiechu wziął portfel, ściągnął kurtkę z wieszaka i wybiegł w las.

Szedł krokiem tak szybkim, na jaki pozwalał mu ból w plecach. Dwadzieścia minut później znalazł się w mieście i pytał przypadkowych przechodniów o drogę do kościoła. Był spostrzegawczy. Widział ich zaskoczone miny, jakby właśnie ujrzeli nowego przybysza w Anterrey. To wcale nie była przesada – widok O’Donnella przemierzającego miasto samotnie i na własnych nogach był zapewne czymś bez precedensu. Jeśli kiedykolwiek zapuszczał się między ludzi, to tylko we własnym samochodzie, kursując między kościołem, spotkaniami autorskimi w bibliotece i sklepami na skraju miasta, ale tego nie mógł przecież pamiętać.

Oni znali jego twarz. Musieli czytać o wypadku nad skarpą, musieli widzieć jego zdjęcie z ojcem Malcolmem.

Stanął przed drewnianym kościołem z kapliczką i próbował odnaleźć go w otchłani pamięci. Budynek wydawał się znajomy, tym bardziej teraz, kiedy mózg O'Donnella powoli regenerował pamięć; wciąż jednak okrywał się wielką niewiadomą. Żłobiony płot z otwartą furtką i brukową ścieżką zapraszał w progi domu bożego. Parafia Świętego Marka była teraz pusta, ale nie zamykała drzwi przed chcącymi skorzystać ze świętej przystani i zanurzyć się w modlitwie lub kontemplacji.

– Pan Anthony? Dobry Jezu, co pan tu robi? – Tęga kobieta o krótkich blond włosach i wzroście mniej więcej metr sześćdziesiąt wołała zza płotu. Stała przed białym domkiem przylegającym do parafialnych gruntów. Miała dobry wzrok i bez trudu rozpoznała Anthony'ego, ale bez wzajemności. Wyszła w pośpiechu na chodnik, na stopach miała kapcie, po czym podeszła do wyraźnie zagubionego mężczyzny. Nie potrafiła ukryć zaniepokojenia, co ten skrzętnie odnotował. Najwyraźniej dobrze go znała, ale coś zdziwiło ją w jego sylwetce. I rzeczywiście, kiedyś rozmowny, acz trochę skryty, zawsze zadbany i uprzejmy, teraz był cieniem samego siebie. Niezdarnie włożona kurtka, wymięty sweter i równie pogniecione spodnie opatulały zmęczone ciało. Przetłuszczone i nieuczesane włosy, smutne spojrzenie i nieogolona twarz automatycznie przywoływały myśli o jego złym stanie zdrowia.

Maria Angelini wzięła go pod rękę i poprowadziła w stronę domu. Już po pierwszych kilku zdaniach wiedziała, że stan psychiczny O'Donnella pozostawiał wiele do życzenia i najwyraźniej potrzebował pomocy. Weszli razem do pokaźnej kuchni, połączonej z dużym pokojem, gdzie gospodyni posadziła gościa przy stole. Wszystko wyglądało wytwornie i niezwykle czysto. Kobieta sama nie usiadła nawet na chwilę, wystawiając na blat ciastka, czajniczek z herbatą i filiżanki.

– To pan naprawdę nic nie pamięta, panie Anthony. Jakże ja panu współczuję! – Maria była nadzwyczaj rozmowna, wszak przesiedziała ostatnie tygodnie w milczeniu. – A tak pana wymieniałam w modlitwach na przemian z imieniem ojca Murphy'ego. Pan Bóg chyba wysłuchał moich próśb i przyprowadził pana do mnie.

– Przyszedłem, bo chciałem się dowiedzieć czegokolwiek o sobie i Malcolmie – odparł wolno O'Donnell. – Widziałem w gazecie nasze wspólne zdjęcie, więc miałem nadzieję, że ktoś mi tu pomoże.

– Trafił pan najlepiej, jak mógł. Naleję panu herbaty i wszystko opowiem. – Gospodyni ledwie usiadła na krześle, a znów zerwała się na równe nogi. – Aha, zaraz panu przyniosę zdjęcia z pokoju. Może coś sobie pan z nich przypomni. – Zgarnęła parę ramek z regału i wróciła do stołu.

Na fotografiach obaj mężczyźni uśmiechali się do aparatu. Anthony nie przypominał sobie tych miejsc, ale bez trudu zauważył półki w bibliotece i taras, zapewne ten za domem, z masywnym grillem w tle.

– Tutaj jesteście razem, jak pan miał spotkanie z czytelnikami w bibliotece, chyba ze cztery miesiące temu. A to zdjęcie ja wam robiłam. U nas w ogródku, za domem, jak przyszedł pan do nas na pieczone kiełbaski. – Gruby palec Marii wskazywał na fotografię w ramce. – To są jego ulubione zdjęcia, więc kazał je oprawić w ramki – skończyła z dumą w głosie.

– Jak dawno to było? – spytał spokojnie O'Donnell.

– Nie pamiętam dokładnie, ale może jakieś dwa miesiące temu. Albo trochę dłużej. Pamiętam, że miał pan przyjść ze swoją dziewczyną, bo ojciec Malcolm jej jeszcze nie poznał, ale w końcu przyszedł pan sam.

– Z dziewczyną? – Anthony nagle się ożywił. – Czy może mi pani coś o niej opowiedzieć?

– Panie Anthony – uśmiechnęła się ciepło kobieta. – Nigdy jej nawet na oczy nie widziałam. Pamiętam, że miał pan wtedy skwaszoną minę przez

większość spotkania. Chyba nie mogła przyjść, bo zamykała późno lokal, a to był środek tygodnia. Nie pamiętam dokładnie. W każdym razie ojciec Malcolm też był niepocieszony, bo bardzo chciał ją zobaczyć. Ale jakiś czas potem wspominał mi, że w końcu ją poznał, bo przyjechaliście razem pod kościół. Mówił, że ładna i przesympatyczna.

– Czy coś jeszcze pani pamięta? To naprawdę bardzo ważne. – Anthony słuchał uważnie każdego jej słowa.

– Nic więcej chyba nie mówił… – Maria zatopiła się w myślach. – Aha, powiedział chyba, że taka niesłychanie ciepła była. Taka urocza. I bardzo ładna. I że poznaliście się w bibliotece, na spotkaniu autorskim. To mi jakoś tak utkwiło w głowie. Poza tym to nic. A zresztą, wie pan, ja nigdy z wami nie przesiadywałam, więc nie wiem, o czym sobie opowiadaliście. Widzi pan, że w domu to zawsze jest coś do zrobienia, a porządek musi być, bo co by sobie goście pomyśleli.

– Rozumiem. – Skinął głową i odwzajemnił uśmiech. – A może mi pani powiedzieć, jak długo się znamy?

– No, już jakieś cztery miesiące będzie, panie Anthony. Może trochę dłużej. Po tym spotkaniu w bibliotece tak się jakoś zaprzyjaźniliście. Ojciec Malcolm czytał kiedyś pana książkę, więc z ciekawości poszedł na spotkanie, bo tu rzadko się coś dzieje. Zwykle to jakieś kółka poezji czy coś. I jakoś od tego czasu zaczęliście się spotykać i dużo rozmawiać.

– Czy Malcolm mnie odwiedzał?

– On pana nie, ale pan tutaj bywał. Poza tym dzwoniliście do siebie dość często. Pan podobno daleko mieszka, a ojciec Malcolm nie ma nawet prawa jazdy. Taka skromna dusza. Korzysta nieraz z dobroci wiernych i czasami go gdzieś podwiozą, ale nieczęsto wychodzi poza parafię. Zresztą, on przecież ma tu tyle zajęć. Wie pan, msze, spowiedzi, spotkania z wiernymi. Nieraz nawet pomaga w sprzątaniu terenu wokół kościoła. To taki uczynny człowiek

jest – mówiła z wyraźną tęsknotą w głosie. – Ale pan tu przyjeżdżał na herbatę czasami i siedzieliście razem w dużym pokoju albo na tarasie.

– Bardzo panią proszę, gdyby mogła sobie pani przypomnieć, o czym rozmawialiśmy, choć słowo – prosił Anthony, popijając herbatę.

– Oj, panie Anthony, ja z wami nigdy nie siedziałam. – Maria splotła dłonie na blacie. – Ja tylko herbatę i poczęstunek donosiłam. A wie pan… – Podniosła brwi i szerzej otworzyła oczy. – Ostatnim razem, jak pan u nas był, rozmawialiście, to znaczy pan słuchał z zaciekawieniem, a ojciec opowiadał, o jakiejś kobiecie i jakimś stowarzyszeniu. O jakichś dzieciach czy coś takiego, ale nie wiem, o co chodziło. Wiem tylko, że to coś dobrego było, bo on bardzo lubił wszystkie dzieci. Wtedy tak jakoś to zapamiętałam, bo ojciec Malcolm mówił z przejęciem, tak jakoś, nie wiem, tajemniczo czy w sekrecie. Wie pan, jak przyjaciel przyjacielowi. Wtedy sobie tak pomyślałam, że pan to musi być prawdziwy przyjaciel dla niego.

– Tak, tak, rozumiem. To na pewno był dobry człowiek – odpowiedział w zamyśleniu Anthony, ale nic a nic nie mógł sobie przypomnieć.

– „Jest”, panie Anthony. Nie „był”, a „jest”! On na pewno żyje, jestem o tym przekonana, tylko, biedaczek, gdzieś się zagubił. To taki dobrotliwy człowiek! Pan Bóg nie pozwoliłby, aby coś mu się stało. My tu się wszyscy za niego modlimy – mówiła spokojnie. – Powiem panu, że ja nawet myślałam iść do tego mistyka, tego Indianina, żeby mi pomógł go odszukać swoimi czarami.

– Indianina? – O’Donnell zmarszczył brwi.

– No tego szamana, Yakshita, co mieszka na polach za miastem. – Maria jakby ściszyła głos i na moment przerwała. – Jego też pan nie pamięta?

– Obawiam się, że nie – odpowiedział bez emocji.

– Yakshit! – powtórzyła prawie szeptem, jakby obawiała się, że ktoś ją skarci za to słowo. – To taki Indianin, co mieszka samotnie na polach. Ludzie

tam nieraz do niego chodzą, jedzenie przynoszą, a on w zamian im coś czaruje, przepowiada różne rzeczy i leczy dolegliwości. To taki znachor, ale na mieście gadają, że on podobno posiada jakieś magiczne moce. Powiem panu w sekrecie, że nieraz mam ochotę tam pójść ze zdjęciem ojca Malcolma, żeby mi powiedział, gdzie ksiądz się znajduje. Ale jak on wróci do domu i się dowie, że byłam u Yakshita, to na pewno będzie bardzo niezadowolony – zaśmiała się cicho. – Więc niech mu pan o tym nie mówi, bo będzie się na mnie boczył.

– Na pewno mu nie powiem. – Anthony odruchowo położył dłoń na splecionych palcach Marii, tym samym przypieczętowując porozumienie. – Obiecuję!

– Panie Anthony! – Gospodyni troskliwie chwyciła jego dłoń. – Tak mi pana żal. Źle jest nic nie pamiętać, a mieć takie ciekawe życie! Pan musi dużo odpoczywać, bo naprawdę źle pan wygląda. Czy ta kobieta dobrze się panem opiekuje? – Oczy Marii wypełniło zmartwienie.

– Tak, tak, opiekuje się mną – skłamał. Wiedział, że Maria nie zrozumiałaby jego podejrzeń wobec Barbary. Nie pojęłaby też jej dziwnego zachowania. – Proszę się nie martwić. To wszystko niedługo się skończy. Jeszcze trochę!

– No, ja mam taką nadzieję, panie Anthony. Pomodlę się dzisiaj wieczorem o pana zdrowie.

Kilka minut później O’Donnell był już w drodze powrotnej, jednak nie zdecydował się iść pieszo. Taksówka podjechała na skraj miasta. Kierowca grzecznie oświadczył, że nie będzie forsował starego samochodu na dziurawej, nieasfaltowej drodze, co Anthony przyjął z pełnym zrozumieniem. Od leśniczówki dzieliło go zaledwie kilkaset metrów, a ostatni spacer tego dnia mógł tylko przewietrzyć umysł i pomóc w analizie rozmowy z gospodynią księdza. Pół godziny później leżał już na sofie w dużym

pokoju. Gapił się na belki sufitu i rozpamiętywał rozmowę z Marią. Nie mógł uwierzyć, jak wielu rzeczy nie pamiętał. Mógłby przysiąc, że widział ją po raz pierwszy w życiu. Jednak wspólne fotografie i słowa gosposi łączyły się w logiczną całość. Nie miała powodów mijać go z prawdą. Zresztą wyglądała na prostą kobietę, która nie potrafi sprawnie władać kłamstwem. *Malcolm Murphy.* Anthony miał przed oczami jego twarz, uśmiech i bijące z całej postaci ciepło. Prawdziwy przyjaciel, we własnej osobie. Człowiek, którego Barbara celowo pominęła bądź po prostu go nie znała. A tymczasem istniał ktoś, z kim on kontaktował się telefonicznie, a nawet się spotykał. O'Donnell miał wrażenie, że Maria opowiadała mu o zupełnie innym pisarzu – uśmiechniętym i całkiem towarzyskim – a przecież wcale się taki nie czuł. Wyobraźnia powtórzyła fragment niedawnej rozmowy słowami gospodyni.

Panie Anthony, nigdy jej nawet na oczy nie widziałam… Ale jakiś czas potem wspominał mi, że w końcu ją poznał, bo przyjechaliście razem pod kościół. Mówił, że ładna i przesympatyczna… Taka niesłychanie ciepła była. Taka urocza. I bardzo ładna. I że poznaliście się w bibliotece, na spotkaniu autorskim.

To nie opis Barbary. Był tego pewien. Kolejny dowód, że Orszanski była oszustką, a jego prawdziwa partnerka zupełnie inną osobą. Owszem, Barbara była piękną, pociągającą fizycznie kobietą, ale zupełnie pozbawioną ciepła i empatii. Biło z niej dużo negatywnych emocji, sztuczność i dystans, których przyczyn nie potrafił wyjaśnić. Oczy zaczęły go boleć z wysiłku. Gdy zdał sobie sprawę, co go czeka, powstał z kanapy i pospieszył do sypialni. Nadchodził kolejny atak bólu głowy. Środki przeciwbólowe znajdowały się już w zasięgu jego ręki. Nagle ostre ukłucie w skroniach niemal powaliło go na kolana. Anthony położył się na łóżku. Jego przejmujący jęk rozszedł się po pokoju. Nastała ciemność, potem krótkie wizje. Dostrzegł zapłakaną twarz krzyczącej kobiety. Dwie dłonie w uścisku

na leśnej ścieżce. Potem moment nad skarpą. On siedział pod drzewem, a długowłosa szatynka chowała twarz za obiektywem. Spod aparatu wyłaniał się jej uśmiech. Była też scena miłosna. Łóżko w sypialni. Nagie ciało kobiety. Jego palce muskające piersi. Ostatnia wizja była co najmniej dziwna. Na podłodze leżała folia ochronna.

W tej samej chwili Anthony otworzył oczy. Napierające ciśnienie w oczach powoli ustępowało. Następowała długa, błoga ulga. Lekki sen ogarniał jego ciało. Nagle coś wytrąciło go z wyciszenia. Pojedyncze tupnięcie nad sufitem. *To niemożliwe! Już trzeci raz!* Uszy napięły się w czuwaniu. Czekały na kolejny dźwięk. Dusza Anthony’ego napełniła się strachem.

ROZDZIAŁ 11

W wąskim korytarzu rozległo się głośne tupanie. Schody skrzypiały pod uderzeniami ciężkich stóp. Anthony wybiegł ze strychu i zatrzasnął za sobą drzwi. Oparł się o ścianę i próbował uspokoić oddech. W głowie widział tę samą scenę, tę samą dziwną mroczność, tę samą kasetkę na podłodze przy meblościance. Znów przejrzał zawartość i odłożył pudełko na półkę. Ale nie to go przestraszyło. Nie to przegoniło z poddasza. Blady cień w narożniku, pod opadającym sufitem, jakby się poruszył. Ciężkie, elektryzujące powietrze nie pozwalało spokojnie oddychać. I jeszcze ten szept. Cichy, aksamitny kobiecy głos musnął jego ucho; tak jakby ktoś stał tuż przy nim i w namiętnym pomruku wywołał u niego ciarki aż po same stopy jednym słyszalnym słowem. Zrozumiał je bardzo dokładnie. *Rivoli.* Widział już gdzieś tę nazwę, ale nie potrafił skojarzyć miejsca. Nie miał pojęcia, czego przed chwilą doświadczył. Dla jednych mógł to być dotyk metafizyki, dla innych objaw pogłębiającej się paranoi. O'Donnell rozejrzał się po przedpokoju. Cisza zalegała w całym domu. Stanął przed lustrem i prawie nie rozpoznał mężczyzny w szklanym odbiciu. Osobnik o nieco krępej sylwetce w rozciągniętym swetrze i pogniecionych dżinsach wpatrywał się prosto w niego. Posklejane włosy odstawały na wszystkie strony, spod oczu wisiały dwa wypukłe worki, a kąciki ust zaginały się do dołu. Wyglądał bardzo źle; gorzej niż wczoraj, okropniej niż przedwczoraj. Spał, ale zupełnie nie

wypoczywał. Nagle nastąpiło olśnienie. Pospieszył do sypialni i otworzył szufladę szafki nocnej. Wziął do ręki obie zapisane kartki i wstrzymał oddech. A jednak się nie mylił. Kawałek papieru z niezdarnym pismem powtarzał to, co usłyszał na strychu. *Rivoli.* Ulica Rivoli. Mózg przypomniał mu w formie szeptu to, co niedawno widział we śnie. Noc, mokry bruk pod stopami, uciekający mężczyzna, tabliczka na ścianie.

Było popołudnie. Jasny odcień szarości wpadał przez okno dużego pokoju i rozpływał się w powietrzu. O'Donnell siedział przed laptopem i otwierał ten sam dokument: *Désiré*. Nazwa ulicy musiała być elementem większego planu nowej powieści grozy. Anthony zmarszczył czoło w zdziwieniu. Wyszukiwarka edytora tekstu nie dała żadnych wyników. Wpisał nazwę raz jeszcze, uważając na pisownię, lecz i to nie przyniosło oczekiwanego efektu. Otworzył przeglądarkę internetową. Zaledwie kilka pozycji obejmowało wyszukiwane wyrażenie. Wszystkie informowały o ulicy w zaledwie paru zdaniach, lecz słowo klucz spajało pojedyncze odłamki informacji w sensowną całość.

Rue de Rivoli to ulica w Paryżu. Wybudowano ją w latach 1802–1835 na polecenie Napoleona Bonapartego.

Ulica w Paryżu. To miało sens. Czarno-białe fotografie z bryczkami, wytwornymi damami i dżentelmenami we frakach, zebrane w materiale na książkę, musiały być jej tłem.

Anthony powrócił do wyników wyszukiwania. Wczytał się w opis kolejnej pozycji:

Biblioteka miejska w Anterrey: „Sławne ulice na przestrzeni wieków" Monique Hebrard – dostępna.

Nazwa nieznanej mu książki pojawiła się nie bez powodu. Musiała ona zawierać szerszy opis ulicy ze snów, a być może nawet fotografie. Anthony zerknął na zegarek i podniósł się z kanapy. Biblioteka musiała być jeszcze

otwarta, a on nie mógł już dłużej czekać. Biegł leśną drogą w stronę miasta, nie oglądając się za siebie. Powiewy powietrza pobudzały oszołomiony mózg, bieg zużywał resztki energii. Miał już dzisiaj nigdzie nie wychodzić, ale ciekawość i żądza poznania przeszłości nie pozwalały zwlekać ani minuty dłużej. Zaniedbany, przypominający bezdomnego dyszał głośno i zaczepiał przypadkowe osoby. Przechodnie wyciągali ręce, machali nimi na lewo i prawo, a wyprostowany palec wskazywał drogę w żądanym kierunku. Trzy przecznice dalej O'Donnell minął parafię i biały domek, który odwiedził jeszcze tego ranka, a po kilku minutach stanął przed biblioteką. Podłużny budynek przyciągał oko za sprawą dwóch filarów podpierających niedawno odrestaurowany front. Całość prezentowała się świeżo i estetycznie.

Znalazł się w środku. Drewniane wnętrze wypełnione zapachem książek momentalnie uspokoiło burzę myśli, tak jakby mikstura z tuszu i starego papieru była naturalnym lekarstwem na jego starganą pisarską duszę. W głębi, pod drewnianym balkonem, za pokaźnym biurkiem siedział stary mężczyzna. Przerzedzona siwizna odsłaniała miejscami skórę głowy, a oczy za okularami na garbatym nosie wpatrywały się w kartki rozłożonej na blacie księgi.

– Dzień dobry panu – przywitał się Anthony, sapiąc. – Szukam pewnej książki.

– A dzień dobry, dzień dobry. – Bibliotekarz spojrzał na gościa i rozpromienił twarz w uśmiechu z kompletem sztucznych zębów. – Pan O'Donnell. Bardzo dawno tu pana nie było.

– Tak, tak, dość dawno.

– Czy dobrze się pan czuje po wypadku? Wygląda pan na wyczerpanego. Może pan usiądzie? – rzekł bibliotekarz nieco drżącym głosem.

– Dziękuję za troskę, ale nic mi nie jest – odparł Anthony z nutką

zniecierpliwienia. – Szukam książki pod tytułem „Sławne ulice na przestrzeni wieków”. Widziałem w sieci, że jest dostępna w bibliotece.

– Jak sieć mówi, że jest, to pewnie jest – uśmiechnął się raz jeszcze bibliotekarz. – Już panu mówię! – Przesunął rejestr wypożyczanych książek, spod którego wyłonił się niewielki tablet z wyszukiwarką. – Może pan powtórzyć tytuł?

– „Sławne ulice na przestrzeni wieków”. Niestety nie pamiętam autora.

Starszy pan stukał w ekran pomarszczonymi palcami.

– „Sławne ulice na przestrzeni wieków”. Napisana przez Monique Hebrard – mówił wolno, jakby sam do siebie. – Rzeczywiście jest. Proszę sobie usiąść tam pod oknem, a ja zaraz panu przyniosę.

Mężczyzna podniósł się z krzesła, chwycił sprawnym ruchem drabinkę opartą o biurko i podszedł do regału przy schodach na piętro. Po minucie wrócił do Anthony’ego z niedużą książką w niebieskiej okładce.

– Tego pan szukał. Gdyby pan czegoś potrzebował, to tutaj jest tablet. Po wpisaniu hasła znajdzie pan wybraną pozycję. A zresztą, po co ja to panu mówię! Już przecież kiedyś pan z niego korzystał przy okazji spotkania autorskiego.

– Tak, rzeczywiście – uśmiechnął się niepewnie Anthony i odebrał książkę z rąk bibliotekarza. – Dziękuję bardzo.

Książka nie wyróżniała się niczym szczególnym. Miękka okładka o jednolitej barwie nie wyglądała na nową. Na samym środku, srebrną czcionką wydrukowano tytuł oraz imię i nazwisko autorki. Zerknął na spis treści na pożółkłej kartce. Lista liczyła około pięćdziesięciu pozycji i była o wiele krótsza, niż przypuszczał. Publikacja stanowiła zbiór fotografii najbardziej znanych ulic świata, opatrzonych zwięzłymi opisami i ciekawostkami. Bez trudu odnalazł ulicę Rivoli i przystąpił do lektury.

Rue de Rivoli należy do jednej z najchętniej odwiedzanych przez

turystów ulic w Paryżu za sprawą luksusowych restauracji oraz sklepów z towarami najwyższej klasy. Cechą charakterystyczną tego miejsca są liczne antykwariaty – prawdziwa gratka dla kolekcjonerów i koneserów sztuki – oraz nietuzinkowe antyki. Ze względu na bardzo wysokie ceny klienci lokali i antykwariatów należą zazwyczaj do najzamożniejszej części społeczeństwa o niezwykle wysublimowanym guście.

Ulica, jedna z najdroższych i najmodniejszych w Europie, jest również miejscem, które często odwiedzał Henri Landru – znany też jako Błękitnobrody – jeden z najokrutniejszych seryjnych zabójców w historii Francji.

Ostatnia informacja wprawiła O'Donnella w osłupienie. Ani nazwisko, ani przydomek nic mu nie mówiły, a jednak był przekonany, że szept przywiódł go tutaj dla tego właśnie skrawka informacji. Im dłużej wpatrywał się w nazwisko, tym głośniej słyszał okrzyk z powtarzających się koszmarów. „Ru! Ru!" Trwał tak w milczeniu przez dłuższą chwilę, aż wreszcie odłożył książkę i włączył uśpiony tablet. Miał teraz przed sobą dostęp do zbiorów biblioteki i jeśli mógł coś odnaleźć, to właśnie tu i teraz. Wpisał imię i nazwisko tajemniczego osobnika: Henri Landru.

– „The Great Pictorial History of World Crime", Jay Robert Nash – wyszeptał do siebie w jeszcze głębszym wstrząsie. „Wielka historia światowej zbrodni w obrazach", przetłumaczył tytuł książki w myślach. Nie mógł pojąć, dlaczego posłuchał paranoicznego głosu i do czego miał prowadzić ten absurdalny trop, który dziwnym trafem odzwierciedlał elementy z jego snów. Ten dziwny szept oraz ataki bólu głowy z migawkami z przeszłości musiały być objawem zdrowiejącego umysłu, walką wspomnień o odzyskanie swojego miejsca w świadomości i wyparcie amnezji.

Anthony wstał od stołu i poprosił staruszka o kolejną pozycję z półki. Ta książka, o wiele grubsza od swojej poprzedniczki, wypełniona była czarno-

białymi fotografiami oraz szczegółowymi opisami największych zbrodniarzy w dziejach piśmiennej ludzkości. Życiorys Landru rozciągał się na kilka stron, a z każdym kolejnym akapitem fragment duszy O'Donnella zapadał się pod ciężarem przerażających, nieprawdopodobnych i jakże znajomych słów.

Na stronach książki rysował się straszny obraz Henriego Landru, znanego również jako Błękitnobrody*. W oczy rzucały się podobieństwa ze snów pisarza oraz fragmentów jego powieści – te same miejsca, sposób działania, a także nazwiska ofiar. Opis nie pozostawiał wątpliwości, że morderca z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku jest kalką jego nowego bohatera. Poprzez „Rubrykę samotnych serc" w lokalnej gazecie Landru miał poznawać samotne kobiety, często wdowy, i obiecywać im małżeństwo. Przedstawiając się jako bogaty właściciel sklepu z meblami, szybko zaskarbiał sobie zaufanie. Po przejęciu ich oszczędności, mordował swoje wybranki w wynajętych willach, a poćwiartowane ciała spopielał w piecu, który zakupił wyłącznie do tego celu. Cechowały go spryt i przebiegłość. W wyniku pierwszej wojny światowej, utrudniającej czynności śledcze, Błękitnobrody pozostawał przez długi czas nieuchwytny. Mijały lata, kolejne kobiety znikały bez śladu, a policja była bezradna. W końcu, rozpoznany na Rue de Rivoli, został wkrótce aresztowany. Historycy podkreślają arogancję i znajomość prawa karnego jako jego formę obrony podczas procesu. Ostatecznie ława przysięgłych skazała go na śmierć.

Anthony zdał sobie sprawę, że to właśnie z tej książki musiał korzystać, tworząc swoje nowe dzieło, zatytułowane „Désiré", wszak nie znalazł innych materiałów opisujących życiorys Henriego Landru.

– Przepraszam, ale zaraz będę zamykać. – Znajomy głos przeszkodził Anthony'emu w lekturze. Starszy pan stał nad nim z nieodłącznym uśmiechem na twarzy.

– Ach, przepraszam, zaczytałem się. – Anthony wrócił do

rzeczywistości, która teraz wydawała mu się jeszcze bardziej skomplikowana.

– Zaraz przyjdzie Victor, ten od pana, i zabierze się do sprzątania.

– Victor? Ode mnie? – Anthony najwyraźniej nie rozumiał.

– No ten, co mi go pan polecił. Chłopak bystry i pracowity. Odciąża moje stare kości. – Staruszek wyszczerzył zęby.

– Ach tak, to bardzo się cieszę. – Wciąż nie pamiętał i nie chciał pytać dalej.

– Czy zechciałby pan wrócić jutro?

– Naprawdę nie wiem, czy jutro będę mógł. Czy mogę wypożyczyć tę książkę? – spytał, wstając od stolika.

– Ależ oczywiście! – Staruszek wolnym krokiem wracał za swoje biurko. – Znajdę tylko pana kartę, bo nie zdążyłem jeszcze wprowadzić nazwisk czytelników do systemu. Tak więc proszę o chwilę cierpliwości.

Włożył palce pomiędzy karty ułożone w podłużnej szufladce i zwinnymi ruchami dłoni sunął po grzbietach, aż wreszcie się zatrzymał. – O, jest!

– Czy może mi pan powiedzieć, kiedy i jaki tytuł ostatnio wypożyczałem? – Anthony oparł się o blat dębowego biurka, naprzeciw siedzącego bibliotekarza. Ten podniósł głowę i dopiero teraz zauważył, że coś jest nie tak.

– Czy podać panu szklankę wody? Bardzo słabo pan wygląda – rzekł spokojnie, tym razem poważnie.

– Nie, dziękuję. Proszę mi tylko powiedzieć, co i kiedy ostatnio wypożyczałem. – Anthony był zniecierpliwiony, ale nie miał siły, aby podnieść głos.

– Ostatni raz, prawie trzy miesiące temu. To była „Zbrodnia i kara” Fiodora Dostojewskiego. A przedtem… już panu mówię… – Mrużył oczy za okrągłymi okularami. – „Worek kości”, niedługo przed pana spotkaniem

autorskim.

– Ach tak, przed spotkaniem… – Anthony zamyślił się na moment. – Co pan sądzi o tym spotkaniu? – spytał zmęczonym głosem, chcąc ukryć amnezję.

– Wyborne – zaśmiał się ochrypłym głosem bibliotekarz. – Ależ pan z przejęciem opowiadał o tym „Wysypisku dusz”! Tak mi się podobało. Przecież chyba ze czterdzieści osób było! A jak pan czarował te czytelniczki swoim głosem! Musiałby się pan z boku zobaczyć! No, ale pewnie zadziałało, skoro jedna piękna pani przyniosła wypożyczoną przez pana książkę!

– Słucham? Skąd pan to wie? – W głowie zabrzmiały nagle słowa gospodyni księdza: *I że poznaliście się w bibliotece, na spotkaniu autorskim.*

– A widzi pan, panie Anthony, to akurat pamiętam, z dwóch powodów. Po pierwsze, to była naprawdę bardzo piękna kobieta. Na spotkanie też przyszła i zadawała pytania. A po drugie, oprócz pana nikt od lat nie wypożyczał „Zbrodni i kary”. Aż żal, bo przecież cóż to jest za klasyka.

– Czy mógłby pan coś więcej powiedzieć na temat tej kobiety? – W oczach O’Donnella błysnęła nadzieja.

Staruszek zaśmiał się szczerze.

– Zabawny z pana człowiek, panie Anthony. To, że charyzmatyczny, widziałem już na spotkaniu, ale nie spodziewałem się takich żartów z pana strony. No, ale też czemu się dziwić! Tyle ma pan fanów i fanek, że faktycznie może pan nie kojarzyć! Taka szczupła, chyba szatynka, o ile pamięć mnie nie zwodzi. Długie włosy miała, no i ta twarz to prawdziwe dzieło natury. Coś niezwykłego!

– Czy ma tutaj kartę? Na pewno musi tu być! – zapytał Anthony z lekka natarczywie, ale nie zrobił tego celowo.

– Na pewno nie! – Bibliotekarz zdusił nadzieję w zalążku. – Pierwszy

raz ją tu widziałem na spotkaniu, a potem zwróciła za pana książkę.

– Może się przedstawiała? – Anthony nie ustępował.

– Niestety, nie przypominam sobie, proszę pana. Powiedziała tylko, że oddaje za pana książkę, i sobie poszła.

– Trudno. Ale mimo wszystko dziękuję za rozmowę. – O’Donnell nie miał siły na dalsze pytania. Głowa opadła mu w rezygnacji. Wyprostował się i odwrócił w stronę wyjścia. – Wszystkiego dobrego!

– Wzajemnie, proszę pana, wzajemnie. – Głos staruszka rozpłynął się za plecami.

Niebo już ciemniało, gdy Anthony otworzył drzwi leśniczówki. Emocje opadały, a wyczerpanie psychiczne i fizyczne dawało o sobie znać. Przeforsował się tego dnia. Usiadł na sofie, otworzył książkę z biblioteki i ponownie zagłębił się w życiorys Henriego Landru. Pomysł na swojego bohatera musiał zaczerpnąć właśnie stąd. Zbieg okoliczności był nie do zaakceptowania. Karta biblioteczna mówiła co innego, ale bibliotekarz po prostu mógł jej nie uzupełnić lub wymienił ją na nową. Niedawna konwersacja nie dawała mu spokoju. Wszyscy dookoła najwyraźniej zetknęli się z jego partnerką, a on nie potrafił sobie przypomnieć najmniejszego szczegółu. Poznali się na spotkaniu autorskim, gdzie czarował słowami wszystkich zebranych. Kolejny raz słyszał, że była to kobieta o nieprzeciętnej urodzie, a co najważniejsze, niezwykle urzekająca i ciepła. Czy Barbara faktycznie była taką osobą, tylko on jeden nie potrafił tego dostrzec? Ta hipoteza za nic mu nie pasowała.

Pogasił światła, poszedł do sypialni i walnął się na łóżko. Nie miał sił się wykąpać albo choćby umyć, pomimo nieznośnej woni trzydniowego potu przesiąkającego przez sweter. Czuł się brudny i zaniedbany, ale nie to było w tej chwili najważniejsze. Prawda znajdowała się na wyciągnięcie ręki, jeszcze tylko kilka kroków i miał wszystkiego się dowiedzieć. Oddychał

równomiernie, a spokój, tak bardzo w tej chwili pożądany, powoli wypełniał jego duszę.

Nagle sapnął w strachu. Pojedynczy dźwięk dobiegł z dużego pokoju. Potem drugi. Jakby kliknięcie lub drobny trzask. To nie było to samo tąpnięcie dobiegające z sufitu. Nie mogło być. Ktoś wszedł do dużego pokoju. To musiała być Barbara, ale dlaczego nie słyszał silnika samochodu przed domem? Wstał powoli z łóżka, gotowy na konfrontację. Powoli otworzył niedomknięte drzwi i spojrzał w ciemność przedpokoju. Widoczność była niemal zerowa, jedynie kontury drewnianych ścian rysowały się w blasku jasnego księżyca, wpadającego przez kuchenne okno. Stąpał ostrożnie, krok po kroku, w samych skarpetkach. Był zaledwie cztery metry od dużego pokoju; to tam spodziewał się znaleźć źródło podejrzanego dźwięku. Wpatrywał się w mrok jak zahipnotyzowany, ale w zalewającej przestrzeń czerni nie widział żadnej bestii, żadnego skrytobójcy. Zbliżał się do kuchni. Wstrzymał oddech. Coś wciąż oddychało. Odwrócił głowę na prawo, lecz nie dostrzegł w oddali kuchennego okna. Coś go zasłaniało. Nagle to zauważył. Na pierwszym planie, w samym wejściu stał ktoś i gapił się prosto na niego. Kątem oka dostrzegł błysk. Metalowe ostrze wystawało z dłoni bezpłciowego intruza. Instynkt obronny zadziałał u Anthony'ego natychmiast. Szybkim ruchem chwycił za gardło obcego w czerni. Drugą dłonią ścisnął nadgarstek z nożem. Bolesne parsknięcie rozbrzmiało w powietrzu. Anthony ruszył do przodu całym ciężarem ciała i powalił napastnika na ziemię. Rękojeść uderzyła o podłogę; broń odskoczyła na bok. Dopiero teraz, w bladym świetle księżyca, dostrzegł twarz złoczyńcy. Długie włosy, znajome rysy twarzy, przerażony wzrok. Te same oczy, zimne, nieczułe, bez miłości. Barbara!

– Kim jesteś, suko? Kim ty naprawdę jesteś i dlaczego chciałaś mnie zabić? – wrzeszczał Anthony w przypływie przerażenia i wściekłości.

– Puść! Puść! – sapała, próbując wyrwać się z uścisku.

– Mów, kim naprawdę jesteś i co tutaj robisz?! Gdzie jest moja żona?! – Napięte palce mężczyzny wbite w szyję rozluźniły się, ale nie puszczały.

– Jestem Barbara, twoja dziewczyna! – wydusiła z siebie, łapiąc hausty powietrza.

– Kłamiesz, zdziro! Kłamiesz! Mów, gdzie się poznaliśmy! Gadaj!

– Nie… nie wiem! Nie pamiętam! – Gasnący głos kobiety łamał się w paraliżującym stresie. – W parku. W parku na ławce! – wykrztusiła z bólem.

– Kłamiesz, szmato! Kłamiesz! Mów prawdę albo cię uduszę! Dalej! – syczał jej prosto w twarz.

– Przepraszam! Naprawdę przepraszam! Ja byłam tu tylko dla pieniędzy. Kazano mi.

– Kto ci kazał?! Co zrobiłaś z moją żoną?! Gdzie ona jest?!

– Ona… ona nie żyje. – Czuł drżenie ciała Barbary.

– Gdzie ona jest?! Gadaj, gdzie ona jest!!! – krzyczał jej w oczy. Palce znów wbijały się w szyję; druga ręka dociskała nadgarstek do ziemi. Wolna dłoń kobiety wpijała się w cierpieniu w biceps Anthony'ego.

– T-tam! – Siłą próbowała obrócić głowę na lewą stronę. Ręka puściła mięsień O'Donnella i opadła na drewnianą posadzkę.

– Kłamiesz!!! Łżesz, ty szmato!!! – Ścisnął ją pod podbródkiem. Żyły pulsowały mu w skroniach. Podniósł jej głowę i uderzył nią o podłogę. Potem jeszcze raz i jeszcze. Coraz szybciej, coraz mocniej. Widział przerażenie w jej oczach. Głuche uderzenia roznosiły się po kuchni. Tąpnięcia zmieszały się z chrzęstem pękającej czaszki.

Anthony otworzył oczy i z głośnym westchnieniem nabrał powietrza w płuca. Leżał na łóżku w tej samej pozycji, w której zasnął. Pokój spowijał mrok. Nagle mężczyzna coś usłyszał. Ten sam dźwięk co przed chwilą. Stukot zamykanych drzwi, gdzieś w głębi domu. Nie mógł wciąż śnić. To

niemożliwe. Zerwał się z łóżka i otworzył drzwi sypialni. Ciemność i ta sama scena jak w obrazach pod zamkniętymi powiekami.

– Barbara? – zawołał w głuchą przestrzeń.

– Wróciłam. – Cicha odpowiedź dobiegła od strony wejścia do domu.

W pokoju gościnnym rozbłysło światło. Anthony ruszył zdecydowanym krokiem i stanął w futrynie, prawie zderzając się z kobietą.

– Gdzie i kiedy się poznaliśmy? – spytał bez zastanowienia; jego nieświeży oddech rozbił się na nosie Barbary.

– Słucham? O co ci chodzi? – Zdziwienie rozbłysło w jej oczach.

– Gdzie i kiedy się poznaliśmy! – powtórzył ponaglająco, przeszywając ją wzrokiem.

– Nie wiem. Nie pamiętam. W parku! W parku na ławce! – odparła przestraszona.

– Kłamiesz! Poznaliśmy się w bibliotece! – Podniósł głos.

– Co? Co ty wygadujesz? W jakiej bibliotece? – W tejże chwili wyciągnęła dłoń z kieszeni palta. Coś metalowego błysnęło w jej lewej dłoni.

*D*éjà vu! Odruch Anthony'ego był natychmiastowy. Z impetem chwycił za szyję Barbary; druga dłoń wylądowała na jej przedramieniu. Napierał do przodu. Jej słabe nogi ustępowały pod siłą O'Donnella. Paniczny strach ukazał się w jej szerokich oczach. Łapała powietrze szybkimi, nerwowymi haustami.

– Co robisz? – wyjąkała. Źrenice jej oczu zaszkliły się od łez.

Anthony spojrzał na jej dłoń i zamarł. Drżące palce dzierżyły kluczyk od samochodu z okrągłym breloczkiem. Sztuczne światło lampy odbijało się od jego powierzchni. Nie wierzył własnym oczom.

– Przepraszam! – Momentalnie puścił jej ciało i podniósł ręce.

Barbara była nieugięta. Obraz jej przerażonej twarzy i załzawionych oczu jeszcze na długo miał wryć mu się w pamięć.

– Ty zwariowałeś! Chciałeś mnie zabić! – Jej cienki głos drżał ze strachu. Cofała się, nie spuszczając go z oczu. – Nie wierzę! Ty chciałeś mnie zabić!

– Barbaro! Ja przepraszam! To przez ten sen! – Szedł ku niej, chcąc chwycić ją za ramię.

– Nie dotykaj mnie! – krzyknęła i odsunęła go z całej siły. – Zostaw mnie! – Odwróciła się i pobiegła w stronę drzwi.

– Barbaro, zostań, proszę! Nie wiem, co się ze mną stało!

Ale Barbara Orszanski była głucha na jego błagalne wołania. Otworzyła drzwi i wybiegła do samochodu. O'Donnell podążył za nią, prosząc o przebaczenie. Przestraszył się sytuacji, przeraził się samym sobą. Przez brudną szybę auta widział profil roztrzęsionej kobiety. Jej twarz krzywiła się w panicznym łkaniu, lecz drzwi zagłuszały piskliwe jęki. Silnik pod maską zawył niespodziewanie, a światła reflektorów przeszyły mrok na dworze. Cofnęła z piskiem opon, nie zważając na Anthony'ego.

– Stój, proszę! Nie odjeżdżaj! – Biegł jeszcze przez chwilę z dłońmi na masce, lecz ta szybko wysunęła mu się spod palców. – Błagam cię, Barbaro! – Błagalny krzyk ginął w wyciu silnika. Nie wierzył w to, czego doświadczał na własnych oczach. Auto wyjechało na piaszczystą drogę, a czerwień tylnych świateł niknęła w ciemności.

Stał tak jeszcze jakiś czas i rozpłakał się jak dziecko. Przerastał go surrealizm sytuacji. Stąpał po cienkiej linii między rozdwojoną jaźnią i bał się jak nigdy dotąd. Był jak doktor Jekyll i pan Hyde. Nie rozumiał nowego życia w amnezji, nie rozumiał siebie. Zaniedbany człowiek stał przy drodze, w ciemności, gdzieś na skraju lasu. Głośny płacz cichł w przytłaczającym mroku; przesiąknięty głębokim cierpieniem lament rozbijał się echem w przestworzach wymiarów, wzbudzając tylko politowanie wędrujących dusz.

[*] J.R. Nash, *The Great Pictorial History of World Crime*, Rowman & Littlefield, 2014, s.1073.

ROZDZIAŁ 12

Mijała czternasta piętnaście. Niedospany Murray przechodził przez drzwi posterunku. Spóźnił się, ale polegał na wyrozumiałości Danny'ego Jonesa. Szef darzył go zaufaniem, a on o tym wiedział. To była ciężka noc. Nie pamiętał, jak wrócił do domu. Droga powrotna zatarła się w jego pamięci pod wpływem silnych emocji. Wstrząsające doświadczenie w domostwie starego Indianina wyzuło go z całej energii. Obudził się pełen wątpliwości. Nie rozumiał zachowania i słów Yakshita. Nie pojmował wszystkich dziwnych wydarzeń. Pomarańczowa kula nad zdjęciem, pościg na cmentarzu i wrzask starca, jakby cały płonął. Czysty surrealizm! Z drugiej strony słowa o wrzątku, ostrzu i glebie wydawały się mieć sens z perspektywy zgonów Alvareza, Murphy'ego i Green. Ale mogły być też jego własną nadinterpretacją mamrotań szamana, i Murray tą konkluzją zakończył burzę myśli w swojej głowie.

– To musiała być ciężka noc – skomentował na przywitanie Steve, siedząc w gabinecie szefa.

– Wybaczcie. Za dużo emocji jak na jeden dzień – odparł zmęczonym głosem Murray.

– Rozgość się – rzekł Danny Jones. Siedział przy biurku z rękoma opartymi o blat. – Właśnie chcieliśmy zaczynać. Mam trochę nowych wieści, panowie, więc słuchajcie teraz uważnie. Od rana bardzo dużo się dzieje.

– W ostatnim czasie to już chyba reguła – dodał Smith z lekkim uśmiechem.

– Chyba nie muszę wam mówić, że wczorajsza denatka padła ofiarą morderstwa, co jest zaskakujące, bo nikt wcześniej nie zgłaszał jej zaginięcia. Ale zacznijmy od listy! Dałem dwóm młodszym kolegom rejestr znaleziony w domu Cinthii Green – kontynuował Jones. – Spędzili nad nim jakieś pół nocy, więc w podzięce dałem im dziś wolne. Ale przynajmniej mamy pewność, że nic nie pominęli. Udało im się rozszyfrować wszystkie skróty i właściwie całą zawodową rutynę ofiary. Na pierwszy rzut oka nie było w nim nic podejrzanego. Zwykłe terapie psychologiczne. W domu był też dyplom ukończenia studiów psychologicznych i pełno książek na ten temat. Po głębszej analizie szanowni koledzy doszli do wniosku, że pani Green zajmowała się również hipnozą, której poddawała niektórych pacjentów. Przy nazwiskach wybranych osób był skrót ZD, a także litera H.

– Zdrowe Dzieci – dodał Richard bez zastanowienia.

– Właśnie tak! Mamy poważne przypuszczenia, że pani Green hipnotyzowała bardziej bogatych i wpływowych pacjentów. Czemu? Tego do końca nie wiadomo, ale teoria, że hipnozą zaszczepiała swoje ponure przekonania dotyczące niepełnosprawnych dzieci, wcale nie jest taka niewiarygodna. Stąd też litera H w jej zeszycie.

– Jeśli miała silny dar przekonywania, a pacjent nieugruntowaną opinię na dany temat, to wszystko jest możliwe – stwierdził Steve, wpatrując się w szefa.

– Niewykluczone, ale tego już się od niej nie dowiemy – skwitował Murray.

– Od niej nie – kontynuował Danny – ale posłałem kilku naszych w teren i zdążyli już przepytać te wyszczególnione osoby z rejestru. Jak sami wiecie, część z nich już nie żyje, ale rozmawialiśmy z informatykiem,

ginekologiem i prawnikiem – panem Alvarezem. Wykształceni i zamożni. Rozmowa z Alvarezem podobno wciąż była niełatwa. W końcu niedawno stracił jedyne dziecko. Ale wszyscy potwierdzili, że terapie u pani Green były dziwne i bardziej przypominały hipnozę. Cała trójka stanowczo zaprzeczyła, jakoby działała w jakimś stowarzyszeniu. Co prawda, przyznali, że przelewali jej co miesiąc małe kwoty pieniędzy, ale na poczet dalszych terapii. Co ciekawe, ze wszystkimi rozmawialiśmy oddzielnie, a jednak udzielili prawie identycznych odpowiedzi.

– Tak jakby byli z góry zaprogramowani – wtrącił się Murray. Jego organizm szybko wracał do pełni sił, a myśli skupiły się na teraźniejszości.

– W rzeczy samej! Nie ciągnęliśmy ich dalej za język, bo o nic ich jeszcze nie podejrzewamy. Ale ze względu na skrót od Zdrowych Dzieci poszli na pierwszy ogień. Dotarcie do wszystkich pacjentów z listy jednak trochę potrwa, choć nie jest ich aż tak wielu. – Danny Jones był dzisiaj skoncentrowany i rzetelny.

– A co wiemy o powiązaniach naszych ofiar z panią Green? – zapytał Murray.

– Rodrigo Alvarez, ojciec Simona, raczej na pewno wchodził w skład tej grupy. Teraz będzie się wypierał, bo nie chce sobie zepsuć reputacji. Jednak na liście pojawił się kilkanaście razy. Jest wysoce prawdopodobne, że ojciec Malcolm również należał do stowarzyszenia. Nie wiadomo, czy został zmanipulowany, czy nie, ale sami widzieliście zdjęcia z parku. Mieli romans, więc sądzę, że łączyły ich również poglądy.

– A Tatiana Zharkova? – spytał Richard.

– No cóż… – Danny Jones zawahał się na sekundę. – Pani Zharkova pojawia się w rejestrze dwa razy, i to na samym końcu. Może Cinthia Green dopiero wprowadzała ją w temat. Tego dokładnie nie wiemy. Jeśli kobieta żyje, to mam nadzieję, że dużo wniesie do sprawy. A jeśli nie – na moment

spauzował – prędzej czy później ją znajdziemy. Druga sprawa to…

– To? – wtrącił szybko Murray.

– Za paznokciami zmarłej znaleziono kawałki naskórka i ślady krwi. Na DNA przyjdzie nam poczekać, ale możemy domniemywać, że przed śmiercią Green próbowała się bronić i mocno podrapała sprawcę.

– To już coś! – stwierdził Steve. – Jak wyodrębnią DNA, może uda się namierzyć podejrzanego.

– Być może! Póki co musimy polegać na wynikach sekcji. Dzielny Barry z dwójką asystentów całą noc spędzili w prosektorium. W jamie ustnej i gardle denatki znaleźli dużą ilość ziemi doniczkowej. Cinthia Green się udusiła.

– Morderca musi być dużym i postawnym facetem – stwierdził po namyśle Steve Smith. – Musiał ją chyba najpierw obezwładnić, aby wepchnąć w gardło tę ziemię.

– Niekoniecznie! – Jones był jak w transie. Torpedował ich przypuszczenia świeżo nabytą wiedzą. – Doktor Barry wziął pod uwagę dwa poprzednie morderstwa i zrobił test krwi pod kątem obecności esmeronu.

– No i? – Zainteresowani Murphy i Smith spytali prawie jednocześnie.

– Chyba nie będziecie zaskoczeni, jak powiem, że wynik był pozytywny. – Jones skinął kilkakrotnie głową.

– A więc mamy do czynienia z seryjnym zabójcą! – westchnął Steve. – Tylko nie znamy jeszcze motywu, a wygląda na to, że atakuje konkretne osoby.

– Właśnie mnie oświeciło! – Murray wytrzeszczył oczy i wpatrywał się pustym wzrokiem w przestrzeń. Dał sobie jeszcze kilka sekund na przeanalizowanie wniosków.

Jones i Smith patrzyli na niego w oczekiwaniu.

– Słuchamy – powiedział spokojnie szef.

– Stowarzyszenie Zdrowe Dzieci było przeciwne rodzeniu niepełnosprawnych dzieci. Dotychczas nie mogliśmy znaleźć powiązania pomiędzy zabiciem pani Green, ojca Murphy'ego i młodego Alvareza. Ale przecież jest! Jak mogłem o tym zapomnieć w tym wszystkim! Sofia Weber, ta kobieta z dzieckiem z zespołem Downa, wspomniała o tym, jak Simon Alvarez szkalował jej syna w szkole. Była z tym nawet u dyrekcji. Z kolei ksiądz nie przyjął go do chóru, teraz wiemy dlaczego. A więc wszystkie ofiary były w jakiś sposób przeciwne niepełnosprawnym. Możliwe, że właśnie przez to zginęły. – Richard ożywił się na dobre.

– Cholera! – rzekł Danny Jones. – Wygląda na to, że mamy seryjnego mordercę, który zabija wrogów chorych dzieci! Tę Weber też musimy dokładnie prześwietlić. Każda matka może posunąć się do ostateczności, by chronić własne pociechy!

– W Anterrey mamy zaledwie kilka niepełnosprawnych osób – wtrącił Steve, spojrzawszy na kolegę. – Parę na wózku, po wypadku, reszta to osoby z zespołem Downa, w tym chłopak tej kobiety, o której wspomniał Richard.

– Skąd masz takie dokładne informacje, Steve? Jestem pod wrażeniem – zdziwił się Murray.

Steve zaniemówił przez kilka sekund, co nie umknęło obu panom. W końcu spojrzał na szefa, odchrząknął i odpowiedział:

– Przecież też prowadzę to śledztwo, więc warto takie rzeczy wiedzieć!

Odpowiedź nie przekonała Murraya. Steve Smith był bardzo skromnym człowiekiem i zazwyczaj niewiele mówił o swoim życiu prywatnym, ale w tym przejawie skromności, a może jednak kłamstwie, musiało być drugie dno, ukryta prawda. To, co powiedział, a właściwie czego nie powiedział, tylko wzmogło czujność Richarda. Podczas gdy śledztwo posuwało się do przodu, a wytężona praca policji odkrywała kolejne karty, Steve Smith pozostawał nieodgadniony. W głowie Richarda wciąż tkwił jedyny obraz

kolegi z życia poza policją – zakapturzony osobnik z plecakiem podążający wzdłuż cmentarnego płotu, utrwalony przez kamerę przemysłową.

– Posłuchajcie mnie uważnie. – Danny przysunął się do biurka, a jego czarnoskóre oblicze nabrało wyrazu głębokiej powagi. – Przyznam, że robi się małe trzęsienie ziemi. Musimy jak najprędzej schwytać tego psychola, a przynajmniej go namierzyć. Daję wam wolną rękę. Nawet naginajcie prawo, jeśli będzie trzeba, byleby tylko go dorwać. Ale proszę, zróbcie to jak najszybciej. Anterrey nie zasługuje na te katorgi. Tu zawsze było tak spokojnie… – zakończył wypowiedź w niemal błagalnym tonie.

– Jasne, szefie! Robimy, co w naszej mocy! – odparł Steve i wstał z krzesła. – Pojadę pogadać z sąsiadami pani Green. Może ktoś coś zauważył!

Murray wrócił na swoje miejsce. Nie miał zamiaru jechać ze Steve'em. Jego niedawne zachowanie w biurze szefa znów dało mu do myślenia. Kim jest człowiek, który tak niedawno zasilił szeregi policji? *Wprowadził się do Anterrey krótko przed zaginięciami. Jaką rolę odgrywa w tym wszystkim?* Murray siedział na krześle wpatrzony w blat i bił się z myślami. Ciąg ostatnich wydarzeń bardzo go przygnębił. Nic nie wskazywało, by Tatiana mogła jeszcze żyć. Do tego jeszcze ten stary Indianin. Zrozumiał już, dlaczego mieszka on samotnie na skraju miasta, dlaczego większość ludzi omija go z daleka. Pojął też, dlaczego każdy woli przemilczeć jego imię z należnym mu szacunkiem. *Jeszcze jedna śmierć wkrótce się dokona. Dusza przeciwko ciału własnemu się obróci.* Ostatnie słowa Yakshita wciąż brzmiały w jego uszach. Nie mógł nikomu powiedzieć o wczorajszej wizycie u szamana. Nie chciał wyglądać na desperata. Wszak poważnemu policjantowi nie przystoi prosić o pomoc miejscowego dziwaka.

Telefon zawibrował mu w kieszeni. Richard wyrwał się z otępienia, wyciągnął komórkę i odebrał połączenie. Leniwie słuchał głosu po drugiej

stronie. Nagle znieruchomiał. Jego serce zabiło mocniej. Energicznie podniósł się z krzesła z telefonem przy uchu i wybiegł z budynku.

Dwadzieścia minut później był już na miejscu. Dochodziła piętnasta pięćdziesiąt. Kilka domostw i parę małych sklepów wychodziło na wschodnią krawędź miasta. Za kilkadziesiąt metrów droga skręcała w lewo i ciągnęła się wzdłuż zalesienia. Jakieś pół kilometra dalej mijała samotną leśniczówkę z drewna i biegła aż do rozwidlenia, tuż przy samej skarpie, z kojącym szumem oceanu, wilgotną bryzą i rześkim zapachem. Minął ostatnie zabudowania i skierował się w stronę lasu. W głowie jeszcze słyszał rozmowę telefoniczną z jakimś policjantem. Nie zrozumiał wszystkiego; słaby zasięg pod lasem ucinał zdania, ale elektryzujące słowa klucze zerwały go na równe nogi: znaleziony plecak, dokumenty, Tatiana Zharkova. Znajoma twarz z drogówki stała bezradnie między drzewami, niedaleko zaparkowanego radiowozu. Richard zatrzymał się koło funkcjonariusza i opuścił szybę.

– Dzień dobry – przywitał się młody funkcjonariusz w mundurze. – Wezwali mnie tu, bo byłem najbliżej, ale to nie moje kompetencje. Więc zadzwoniłem do was i przekierowali mnie do pana.

– Dobra, dobra… – Murrayowi w pośpiechu i zniecierpliwieniu zabrakło grzeczności. – Gdzie jest ten plecak?

– Znalazły go bezdomne kobiety, ale nie chciały mi go dać. Pójdzie pan tędy, w głąb lasu. – Funkcjonariusz wyciągnął rękę z wyprostowanym palcem. – Nawet stąd widać kawałek ich szałasu.

– W porządku! – odparł Richard, wysiadając z auta. Uścisnął rękę młodemu koledze, jednocześnie na przywitanie i na pożegnanie. – Jak będę czegoś potrzebował, zadzwonię na dochodzeniówkę. Dzięki za pomoc!

– Nie ma sprawy. – Policjant uśmiechnął się do Murraya i poszedł do radiowozu.

Detektyw był wyraźnie zaaferowany. Nie znał okoliczności zdarzenia. Nie miał pojęcia, co jest w plecaku. Wiedział tylko tyle, ile usłyszał w rozmowie telefonicznej. Dwie minuty później zbliżał się do szałasu sporych rozmiarów, postawionego z desek, tektury i większych gałęzi. Środek wyścielony był wytartymi kocami i gazetami, z miejscem dla dwóch osób, a na nim trochę rzeczy przyniesionych z lasu i miasta. Faktycznie, prowizoryczny domek znajdował się na tyle głęboko w lesie, że trudno było go dostrzec z zewnątrz, ale też wystarczająco blisko, by spomiędzy drzew mieć widok na drogę biegnącą między miastem a skarpą. Zmęczona życiem kobieta w ubrudzonych dżinsach, koszuli męskiej i chuście na głowie siedziała pod dachem z gałęzi i piła wodę z butelki. Druga wyszła zza pobliskiego drzewa, najwyraźniej służącego za toaletę, i podciągając spódnicę w ruchu, wracała na legowisko. Przetłuszczone strąki czarnych włosów opadały na rozciągnięty sweter.

– Ana, wracaj! Znowu mamy gościa! – krzyknęła kobieta w chuście, nie widząc, że koleżanka już wracała na miejsce.

– No już, już! – odparła ta druga. Podeszła do szałasu i oparła się o drzewo. – Przyniósł pan coś? Bo ten pierwszy nic nie chciał dać.

– Nic nie przyniosłem – odrzekł odruchowo Murray, ale w tejże chwili zrozumiał, że nie ma nic za darmo. – Ale mam nadzieję, że to paniom trochę pomoże – odrzekł z niepewnym uśmiechem i wyjął zza pazuchy portfel. Chwycił za pierwszy lepszy banknot i wyciągnął rękę. W tym momencie zorientował się, że papierek między palcami miał zbyt dużą wartość, ale nim skończył myśl, ten przeszedł już w posiadanie kobiety w swetrze.

– Zobacz, Viki, jaki pan policjant hojny! – Ta, uradowana, wymachiwała banknotem przed nosem koleżanki. – Ten młody to chyba biedniejszy od nas albo chciwy, bo chciał plecak za darmo, a tu proszę, przystojny pan w cywilu i jaki uczciwy!

– Za kolegę przepraszam – rzucił nieszczere usprawiedliwienie. – A teraz poproszę ten plecak, bo bardzo nam się przyda. – Wyciągnął rękę w stronę siedzącej kobiety i po chwili ściskał w dłoni to, po co tu jechał na złamanie karku.

– W środku nic nie było oprócz dowodu – poinformowała kobieta w szałasie.

– Wierzę paniom na słowo. A powiedzą mi panie, jak znalazły ten plecak? – Wzrok detektywa wciąż penetrował wnętrze.

– A rzuci pan jeszcze jednym banknotem? – Bezdomna w spódnicy korzystała z okazji, nie mając nic do stracenia.

Murray pokiwał głową i głośno westchnął. Nie chciał protestować. Teraz każda wskazówka była na wagę złota.

– Ostatni! Za resztę muszę coś zjeść! – Znów otworzył portfel.

Kobiety na widok nowej gotówki stały się nadzwyczaj pomocne.

– Chodziłyśmy po lesie i zbierałyśmy owoce leśne. – Z dwójki pań Ana była tą bardziej gadatliwą. – I nagle patrzę, a przy ścieżce leży coś dziwnego. Podeszłyśmy, a tam ten plecak. Viki chciała zatrzymać, bo zawsze by się przydał. Ale jak znalazłyśmy ten dokument, to stwierdziłyśmy, że lepiej chyba oddać. Więc poszłam do sklepu, tego z piekarnią, i poprosiłam naszą kochaną znajomą, Lorę, żeby zadzwoniła na policję. Biedulka pewnie nie może odżałować utraty dowodu.

– Jak przyślę kolegów z komendy, pokażą im panie miejsce, gdzie leżał plecak? Obiecuję, że przyjadą z dwoma nowymi plecakami i jakimś jedzeniem! – Richard wyczuł, jak skorumpować poczciwe kobiety.

Ana spojrzała na Viki i po chwili namysłu odparła:

– Możemy spróbować, ale to będzie trudne. Las i dróżka wyglądają wszędzie tak samo. Stąd aż po urwisko są tylko drzewa. No i ten drewniany domek, gdzie mieszka ten pisarz, ten dziwak, co spadł ze skarpy.

– W gazecie o tym pisali – dodała Viki.

– No pisali, pisali. Kiedyś tam w piekarni bułki kupował i pocztę odbierał. A nieraz taka szatynka młodziutka też była. Na pewno jego dziewczyna. Wiem, bo mówiła nam Lora, co tam pracuje. Ale od czasu tego wypadku prawie w ogóle go nie widać.

– Starsza ta kobieta, wcale nie taka młodziutka – sprecyzowała Viki.

– Jaka tam starsza. Koło trzydziestki miała, nie więcej! – poprawiała Ana. – Chyba nie mówimy o tej samej kobiecie.

– Ja tam wiem swoje! Niedawno widziałam starszą!

– Dziękuję bardzo! – wtrącił się Richard. – Bardzo nam panie pomogą z tym plecakiem! – Obawiał się, że kobiety nie pamiętają dokładnie miejsca znalezienia plecaka. Bez psa tropiącego, którego policja w Anterrey nie miała, być może niewiele da się zrobić.

Pożegnawszy się, Richard usłyszał ostatnie słowa Any; odbiły się od jego pleców i zmroziły mu krew.

– Niech pan znajdzie takiego rudego sportowca, może on coś będzie wiedział. Nieraz tu sobie jogging uprawia!

Steve! Imię Smitha wracało do niego jak bumerang. Przecież sam kiedyś wspominał, że biega w okolicznym lesie. Informacje wyciągnięte od bezdomnej kobiety mogły okazać się przełomowe. Nie mógł już dłużej zwlekać. Należało działać. Nie pojutrze, nie jutro, ale dzisiaj. Zaraz. Teraz!

ROZDZIAŁ 13

Leżał w łóżku do popołudnia. Wydarzenia ostatniego wieczoru oraz natrętne myśli zupełnie odebrały mu chęć do jedzenia, umycia się i zdjęcia śmierdzących ubrań, a nawet do jakiejkolwiek zmiany garderoby na czas odpoczynku. Sen, jakiego wczoraj doświadczył, okazał się jedynie odbiciem jego wewnętrznych obaw. Wkładał w usta Barbary słowa, które spodziewał się od niej usłyszeć. Prawda mieszała się z fikcją, rzeczywistość z iluzją, a zdrowy rozsądek z obłąkaniem. W tej chwili zapragnął umrzeć. Żałował, że skarpa nie była wyższa, że jakiś przechodzień zechciał powiadomić służby, że lekarze zdołali go uratować. Bo tkwił na rozdrożu normalności i szaleństwa, czerni i bieli, snu i jawy. Utknął w egzystencjalnym zawieszeniu – nie do końca żywy, ale też nie w pełni martwy.

Anthony był mentalnie wyczerpany i wewnętrznie zdezorientowany. Wczorajsza konfrontacja wydawała się wybrykiem bujnej wyobraźni. Nie tak planował przebieg decydującego starcia mającego zdekonspirować jej osobę i odsłonić wszystkie kłamstwa. Liczył na kolejne spotkanie, tym razem spokojniejsze, najprawdopodobniej dzisiaj, jak tylko kobieta przywróci do porządku skołatane nerwy. Nie było jej całą noc. Nie mogła wrócić, skoro niczego nie słyszał pomimo płytkiego snu. *Gdzie mogła się podziać? Czy miała w Anterrey rodzinę bądź kochanka, u których mogła znaleźć schronienie? A może przespała noc w samochodzie, gdzieś na parkingu*

miejskim bądź na odludziu?

Wyszedł na korytarz i nagle się zatrzymał. Ciało naprężyło się w strachu. Stukot na strychu. Łoskot ciężkiego przedmiotu upadającego na podłogę poddasza – ten sam odgłos i zapewne ta sama rzecz. Anthony zrobił krok do przodu, nie spuszczając oczu z drzwi prowadzących na górę. Cisza. Nagle potężny szok wstrząsnął jego ciałem. Przerażenie trzymało go w bezruchu. Kolejny dźwięk, nowy i zupełnie inny. Tupot! Anthony podniósł wzrok. Powolne, ciężkie kroki przesuwały się po drugiej stronie sufitu. Najpierw z prawej strony, a potem wolno do lewej, w stronę miejsca, gdzie zaczynały się schody. I znowu cisza. Nagle deska zaskrzypiała przeciągle, jakby uginała się pod coraz większym ciężarem. Ktoś lub coś stało w górnej części schodów. Chrzęst starego drewna powtórzył się raz jeszcze. Nieokreślony, jakby schodził coraz niżej. Powietrze w przedpokoju przepełniła dziwna, metaliczna woń. Atmosfera stawała się coraz cięższa. Czuł tajemnicze istnienie tuż za zamkniętymi drzwiami. Skrzypienie desek ustało. Przejmującą ciszę wypełniła groza. Coś musiało stać na ostatnim stopniu i wpatrywać się przed siebie. Anthony'ego przerażała myśl o otwartych drzwiach. Paraliżował go obraz demonicznej istoty lub ducha z martwymi oczami pokrytymi śmiertelnym bielmem. Czas jakby stanął w miejscu.

O'Donnell z wysiłkiem oderwał nogę od podłogi. Napięte mięśnie odmawiały posłuszeństwa. Nie wiedział, czego się spodziewać. Podniósł rękę. Roztrzęsiona dłoń delikatnie opadła na klamkę. Drzwi, na co dzień zwyczajne, teraz pulsowały przytłaczającą tajemnicą. Napięcie sięgnęło zenitu. Elektryzujące powietrze gęstniało. Anthony zamknął oczy i z całej siły pociągnął do siebie drzwi. Głośne tąpnięcia pobiegły ku górze. Podmuch popchnął go na ścianę i powalił na ziemię. Wrzasnął! Jego serce tłukło jak opętane. Strużki potu spłynęły mu po skroniach. Długa cisza. Spokój.

Dziwne napięcie momentalnie ustąpiło. Czas płynął dalej, jakby nigdy się nie zatrzymał.

Anthony trwał tak przez kilkanaście minut, dochodząc do siebie. Z wolna podniósł powieki. W otwartej futrynie panowała normalność. Wciąż jednak nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że coś obserwowało go ze szczytu schodów. Dostrzegł jakiś prostokątny kawałek papieru tuż przed sobą, na drugim stopniu. *Jak to możliwe?!* Coś, co nie miało prawa tam być. Zbliżył się na czworakach. Rozdygotane ręce ledwo utrzymywały ciężar ciała. Zdjęcie. Ta sama fotografia, którą trzymał w szkatułce. Otwarta kasetka znów musiała leżeć na podłodze, jednak w tejże chwili nie miał odwagi iść na górę i odłożyć jej na miejsce. Drżące palce trzymały znajomy obrazek. W ostatnim odruchu spojrzał w górę i fala zimna przeszyła go aż po stopy. Na górnej krawędzi ostatniego stopnia dostrzegł ciemny wzgórek. Czubek dziwnego cienia stał bez ruchu, bacznie obserwując go z poddasza. Odszukał w pamięci obraz, w którym widział już coś niezwykle podobnego. *Sylwetka w narożniku!* Wycofał się nagle i zatrzasnął drzwiczki. Najgorsze miał już za sobą, ale szok nie pozwalał mu się podnieść. Pognał na dłoniach i kolanach do dużego pokoju i podciągnął się na sofie. Brakowało mu słów i logicznych wyjaśnień. Adrenalina buzowała we krwi. Siedział przekrzywiony na kanapie i ściskał w dłoni zdjęcie. Nic się nie zmieniło – te same stopy na pierwszym planie, on pod drzewem wpatrzony w laptopa, w tle skarpa i kawałek oceanu. Ale coś było nie tak. Pod opuszkami wyczuł zgrubienie; podłużne wypustki, których dziwnym trafem wcześniej nie zauważył. A może po prostu wcześniej ich tam nie było? Potarł palcami powierzchnię fotografii. W nagłym olśnieniu spojrzał na kredens przy wejściu. W starym niebieskim kubku znajdowała się garstka przyborów do pisania. Chwycił za ołówek, odwrócił zdjęcie na białą stronę i raptownymi pociągnięciami dłoni pokrywał biel szarością grafitu. Minutę później gapił się w osłupieniu na wielkie litery

wyryte po przekątnej.

TIHSKAY

Słowo nie miało sensu i wyglądało na losową zbitkę liter, a przynajmniej tak mu się wydawało. Raz jeszcze przyjrzał się dokładnie, przeczytał wyraz od końca i w przerażeniu odskoczył od stolika wprost na kanapę. Natychmiast pociemniało mu w oczach. Gdy nadeszło oprzytomnienie, on już biegł z całych sił. Nawet nie pamiętał, kiedy włożył kurtkę. W dłoni trzymał zdjęcie – jedyny podpis niewytłumaczalnego, dobitny dowód, że jednak nie oszalał. Dusza zdawała się uciekać przed upiorem w leśniczówce, a serce gnało ku polu, gdzieś na skraju miasta. Nie miał pojęcia, co tam zastanie, ale coś szeptało mu słowa głosem kobiety z parafii: *To taki Indianin, co mieszka samotnie na polach. Ludzie tam nieraz do niego chodzą, jedzenie przynoszą, a on w zamian im coś czaruje…*

ROZDZIAŁ 14

Kwadranse mijały błyskawicznie. Richard Murray przepadł bez śladu. Zgubił się w rozmyślaniach, najpierw o Stevie, potem o Tatianie Zharkovej. Nie mógł już trwać w złudzeniach, a jednak chwytał się ich jak tonący brzytwy. Nienawidził się za brak poczucia realizmu, za brak uczciwości wobec samego siebie. Nie był sobą. Na ogół unikał naiwności jak ognia, szczególnie w pracy. Z drugiej strony ta nagła przypadłość po raz kolejny potwierdzała to, co kiełkowało w nim już od dawna. Był w fazie zauroczenia, co w normalnych warunkach mogło tylko cieszyć, biorąc pod uwagę tragiczną utratę dziewczyny sprzed lat. Mógł odżyć na nowo i spróbować zatrzeć bolesną traumę. Niestety w obecnych okolicznościach uczucie sprawiało okropny ból. Znaleziony w plecaku dokument sąsiadki w samym środku lasu był niemal jak wyrok. Wyrok śmierci. Steve biegający po lesie, dowód Tatiany znaleziony na dróżce, a nieopodal leśniczówka pisarza. Następne sześćdziesiąt minut rozpłynęło się w powietrzu. Dziesięć nieodebranych połączeń – od Danny'ego Jonesa, od Steve'a, a potem znowu od Jonesa. Szybko zdeponował dowód rzeczowy, zdał relację szefowi i znów był w terenie. W końcu coś w nim pękło. Nie mógł już dużej czekać. Dowody były przytłaczające, choć sama konkluzja wręcz niewiarygodna. Postawił wszystko na jedną kartę. Teraz albo nigdy.

Było już ciemno, gdy Richard dotarł na miejsce. Osiedle domków po

obu stronach ulicy wyglądało na zupełnie puste. Światła w oknach napawały ciepłem i bezpieczeństwem mieszkańców, nieufnych wobec mroku Anterrey. Nikt nie wyglądał przez okno; być może z braku ciekawości, a może ze strachu, że spojrzy w oczy jakiejś bestii zaczajonej po drugiej stronie szyby. Murray zaparkował przy krawężniku, między innymi samochodami, w bezpiecznej odległości od celu. Nie rzucał się w oczy. Siedział w swoim aucie, schowany w ciemności. Zanosiło się na wyjątkowo zimną noc. Słupki rtęci spadły nad wyraz nisko. Skupił wzrok na domu ze zgaszonymi światłami. Był chyba jedynym budynkiem w tym rzędzie bez żadnych oznak życia. To na pewno właściwe miejsce. Nie ma mowy o pomyłce. Detektyw lawirował między rzeczywistością a wspomnieniami. Balansował na granicy przeszłości i teraźniejszości. Czekał. Na odpowiedni moment, na przekonanie, że robi dobrze. Mógł jeszcze się wycofać, zapalić silnik i ruszyć przed siebie. Od podjęcia ostatecznej decyzji dzieliły go tylko minuty.

***

Igiełki szronu okrywały okolicę. Wybielały maski zaparkowanych samochodów, wyścielały chodniki i pokrywały siwizną czarny, osiedlowy asfalt. W okolicy panował zupełny spokój. Jedynie regularne tąpnięcia o płyty chodnikowe dawały o sobie znać w promieniu kilku metrów. Czarne sportowe buty uderzały o beton w stabilnym, równomiernym biegu. Ubrany w szary dres, Steve Smith poruszał się nie niepokojony przez nikogo. Głowa chowała się pod szarym kapturem. Jeszcze kilka minut i stanie u drzwi. Za parę chwil miał okryć się ciepłem domowego zacisza i włączonych grzejników. Nie był przygotowany na tak chłodny wieczór. Gdy wychodził z domu, nic na to nie wskazywało. Przyjemny chłód obijał mu się o twarz, by w ciągu godziny przerodzić się w przenikliwe zimno. To nie było normalne. Dziwna atmosfera wisiała w powietrzu. Przez jego umysł przebiegały słabe

obrazy z dzieciństwa. Molestowanie brata, a później jego samobójcza śmierć. Nie wiedział, dlaczego tak odległe sceny zaprzątały mu głowę. Być może dlatego, że niedawno zwierzył się z nich Richardowi. Nie chciał o tym myśleć. Wrócił do rzeczywistości. Ta była szara i monotonna, ale nie powodowała bólu.

***

Murray wciąż siedział w samochodzie. Wzrok utkwił w oddalonej sylwetce budynku. W głowie prowadził monolog i przekonywał się do swoich racji. Nadeszła odpowiednia chwila. Przyświecała mu tylko jedna myśl: *Pomyliłem się co do ciebie, Steve!* Śledztwo dobiega końca! Otworzył schowek i wyciągnął skórzane rękawiczki. Po cichu wynurzył się z auta. Było coś dziwnego, coś nienaturalnego w tak drastycznym spadku temperatury. Schował ręce do kieszeni i przeszedł na drugą stronę ulicy. Czarne włosy spowite żelem i zaczesane do tyłu sztywniały od mrozu. Smugi pary uciekały ustami i ocierały się o policzki.

***

Steve stał już przed drzwiami swojego domu. Zimne ręce sięgnęły do spodni. Skostniałe palce wyciągnęły klucz. Po kilku próbach kliknięcie zamka otworzyło zasuwę. Zamknął za sobą ciemność i mróz. Wszedł do dużego pokoju. Zmęczone ciało opadło na fotel, wsłuchując się w ciszę.

***

Richard stanął przed domem. Nie mógł wejść frontowymi drzwiami. To było zbyt ryzykowne. Wąskie przejście przy płocie prowadziło na tyły. Wszystkie budynki musiały wyglądać podobnie. I tu się nie pomylił. Zatrzymał się pod

tylnymi drzwiami, zapewne prowadzącymi do kuchni. Obrócił się na wszystkie strony. Wokół nie było żywej duszy. Szyba nad klamką, przedzielona prostokątnymi ramkami, biła ciemnością od wewnątrz. Pomieszczenie musiało być puste. Murray włożył rękawiczki i zacisnął dłoń w pięść. Krótkie uderzenie w okienko najbliżej klamki. Ostre kawałki wleciały do środka i rozbiły się o podłogę. Szybko przełożył rękę przez dziurę w drzwiach. Dłoń znalazła zamek. Jeden obrót i mechaniczny trzask otworzył wejście.

***

Odgłos rozbijanego szkła spowodował, że Steve zerwał się na równe nogi. Wyszedł do przedpokoju i spojrzał w głąb. Na moment przystanął i wstrzymał oddech. Powietrze przepełniała cisza. Ciemność zalewała korytarz i kuchnię. Smith nie włączył światła w holu. Stąpał po cichu, krok po kroku. Nie usłyszał nic więcej poza brzękiem tłuczonej szyby. Zajrzał do kuchni. Tylne drzwi z małymi okienkami wpuszczały słabe światło bijące od ulicznych latarni. W świetlistych smugach wpadających do środka dostrzegł kawałki szkła na posadzce. Dłoń macała ścianę w poszukiwaniu kontaktu. Włączył światło. Cisza. Stłuczony kubek i rozlana woda. Na kuchennej ladzie brązowy kot wpatrywał się spokojnie w bałagan na podłodze. Szkliste zielone oczy spojrzały na właściciela.

– Miau!

***

Richard zamknął za sobą drzwi. Kawałki szkła trzeszczały pod ciężarem jego butów. Nie zapalał światła. Zimny blask ulicznych latarni oświetlał wnętrze. Stał w małej, prostokątnej kuchni. Wąsko i ciasno, ale estetycznie. Wszedł do pokoju gościnnego. Za plecami łazienka i schody prowadzące na górę.

Pośrodku mała sofa i kontury szklanego stolika. Zdążył poznać to miejsce. Stojące powietrze niosło słabą nutę jej słodkich perfum, a może po prostu wyobraźnia kazała mu tak myśleć. Wszystko wokół sprawiało wrażenie, jakby nic się nie stało. Jakby Tatiana miała zaraz zejść po schodach z sypialni, włączyć światło i przywitać go swoim zniewalającym uśmiechem. Jakby tkwił w tej samej radosnej chwili, gdy zaprosiła go do siebie, ale teraz obserwował ten moment z zupełnie innej perspektywy. Wewnętrzny ból rósł z każdą sekundą. Nie był to zwykły ból złamanego serca. Powodowały go złość i zawód. Richard zmierzył pokój wzrokiem. Pamiętał szczegóły tego miejsca, choć zgaszone światło ukrywało pewne elementy. Jeszcze niedawno nic nieznaczące, teraz nabrały zupełnie nowego wyrazu. Przypominały o sobie, wręcz spowiadały się detektywowi. Antyramy wisiały w tym samym miejscu. Teraz przyćmione, wciąż odkrywały to, czego nie mógł zauważyć ani zrozumieć za pierwszym razem. Zbliżenia ptaków i roślin w wielkim formacie. Twarze ludzi w różnorodnych ujęciach zamrożone w stop-klatce. Gdzieś już widział coś podobnego. Dwoje ludzi w parku. Powiększona twarz kobiety w kadrze. Malcolm Murphy i Cinthia Green.

Odwrócił się i udał na piętro. Wchodził do sfery najbardziej prywatnej. To w tym miejscu była najbardziej bezbronna. To tu czuła się najbardziej bezpiecznie. Wyciągnął komórkę i włączył aplikację latarki. Wąskie światło starego telefonu było niezwykle skromne, jednak dobrze się sprawdzało w małych pomieszczeniach. Na końcu schodów znajdowały się zamknięte drzwi. Jedyne możliwe wejście. Wszedł do środka. Skórzane rękawiczki nie zostawiały śladów, ale nie to było w tej chwili najważniejsze. Słowa szefa zapewniały dodatkową ochronę. *Nawet naginajcie prawo, jeśli będzie trzeba.*

Sypialnia mieściła podwójne łóżko i szafę we wnęce ściany. Na przeciwległej stronie komoda z lustrem, bez miejsca na krzesło. Kobieta nie była pedantką, a jednak mieszkanie wyglądało na zadbane, nawet pościel

została starannie złożona. Tak jakby miała gdzieś wyjechać na dłużej. Tak jakby miała już nie wrócić. Sprawdził szuflady komody. Kilka podstawowych kosmetyków i paczka chusteczek higienicznych. Uroda tej klasy nie potrzebowała zbyt wielu dodatków. Murray otworzył szafkę poniżej szuflad. Wewnątrz walały się opakowania z lekarstwami. Tabletki na wszelkie bóle, tuż obok lateksowe rękawiczki, jednorazowe igły i strzykawki. Malutka buteleczka ze srebrnym wieczkiem wyglądała z głębi, jakby odseparowana od reszty. Richard skierował na nią światło latarki. Wziął w garść podejrzaną fiolkę. Domyślał się, co to może być, i niestety się nie pomylił. Etykieta na butelce była doskonale czytelna w blasku latarki. ESMERON. 50 mg = 5ml. Skąd mogła go mieć? Z apteki, w której pracowała? A może po znajomości z miejscowego szpitala? Czy mogła go przywieźć ze sobą do miasta z wiadomym zamiarem?

Na te i inne pytania nie mógł w tej chwili odpowiedzieć. Usiadł na krawędzi łóżka i schował twarz w dłoniach. Jego ciało trzęsło się w płaczu, a łzy spływały po policzkach i skórze rękawiczek. Przecież to była Tatiana i jej dom. Przystań osoby, która mogła pomóc mu zamknąć bolesny rozdział z przeszłości. Tak bardzo chciał być w błędzie, lecz fakty pozostawały nieugięte. Przesiedział tak dłuższy czas. Dziesięć, może piętnaście minut. Do czasu, aż wypuścił ustami ostatni gram żalu, aż wylał ze łzami cały zawód. Gdy skończył, otrząsnął się z bezsilności. Jego umysł resetował się do stanu sprzed zaginięć. To musiało potrwać, ale wiedział, że wkrótce zapomni.

Detektyw zszedł do dużego pokoju i wyłączył latarkę. Wrócił myślami do chwil sprzed paru godzin. Siedział wtedy w samochodzie na tylnym parkingu supermarketu. Nie pamiętał, ile razy obejrzał plecak ze wszystkich stron, zanim oddał go w ręce kolegów z komendy. Nie miał na dłoniach rękawiczek. A zresztą nie były potrzebne. Materiał okazał się zbyt porowaty, by istniało jakiekolwiek prawdopodobieństwo ściągnięcia odcisków. Dowód

osobisty też nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Tatiana Zharkova. Ten sam plecak widział w materiale z kamery przemysłowej i w wizji u starego Indianina. Ta sama czarna przepaska. Czy to faktycznie były tylko halucynacje? Nadzwyczaj prawdziwe, nadzwyczaj zgodne z rzeczywistością. W tym wszystkim przebijała się jedna wyrazista konkluzja. Przepaska była za wąska, a plecak zbyt mały, by dało się go założyć na plecy wysokiego Steve'a. *Pomyliłem się co do ciebie, kolego! Przepraszam!*

Teraz wszystko zaczęło się wydawać obce. Szklany stolik z kanapą, na której jeszcze niedawno siedział. Przytulność wnętrza, której doświadczył. Spojrzenie kobiety, w której oczach tonął. To było jak przyjemny sen bez nadziei na urzeczywistnienie. Stał na środku ciemnego pokoju i włączył komórkę. Szefowi należały się słowa wyjaśnienia. Wtem podniósł głowę, jakby właśnie coś sobie przypomniał. Spojrzał na okno. Dwa obramowane zdjęcia na parapecie stały tam, gdzie przedtem. Oba podobne do siebie, lecz już na pierwszy rzut oka dało się zauważyć, że zrobione w innym czasie. Na obu fotografiach przepiękna szatynka uśmiechała się do kadru. Roześmiany chłopak z zespołem Downa obejmował ją za szyję. Uradowana buzia odsłaniała język i nierówne zęby. Można było odnieść wrażenie, że łączy ich silna więź, jakby nie z tego świata. Byli niczym matka z synem, połączeni po latach. Ostatnia ramka stała w rogu między ścianą a ramą okienną. Już nie leżała płasko, jak niegdyś, gdy przyszedł tu po raz pierwszy. Czy wtedy celowo je położyła? Jeśli tak, to co chciała ukryć? Czy zrobiła to z myślą o nim, nie chcąc go krzywdzić? Czy może nie chciała krzywdzić siebie i nowej, obiecującej znajomości? To wszystko zdawało się tracić na znaczeniu. Richard wziął fotografię do ręki. Siwy mężczyzna w średnim wieku mocno obejmował Tatianę i uśmiechał się do aparatu. Ona, zwrócona ku niemu, składała czuły pocałunek na jego policzku. W oddali nagle kończył się grunt, aż po horyzont rozciągał się ocean. To nie były czułości między

ojcem a córką. Oni zdawali się sobie bliżsi. Murray znów wstrzymał oddech. W prawym rogu widniała ukośna dedykacja skreślona ładnym, zamaszystym pismem: *Dla Ciebie. Anthony O'Donnell*.

Detektyw połączył w głowie zdarzenia. Nie było czasu do stracenia. Pospiesznie wybrał numer i przyłożył komórkę do ucha.

– Steve, pakuj tyłek i jedziemy do lasu! Podejrzenie zabójstwa! Domek w drodze na skarpę! Zgarnij pomoc, a ja zawiadomię szefa! Spotkamy się w drodze!

Dwie minuty później białe audi ruszyło z piskiem opon.

ROZDZIAŁ 15

– Victor, ja muszę dzisiaj skończyć. Przemyślałam to sobie w nocy. – Barbara siedziała przy kuchennym stole, w zaciszu malutkiego mieszkania. Kawa parowała z kubka przy talerzu z niedokończonym obiadem.

– Jesteś tego pewna, Bar? – Młody, dobrze zbudowany blondyn poprawił okulary na nosie. Siedział tuż przy niej i nie spuszczał oczu z jej przemęczonej twarzy. – Może poczekamy jeszcze trochę?

– Nie. – Pokręciła przecząco głową. – To trwa już zdecydowanie za długo. Mówiłeś, że mam się nim trochę poopiekować i potem ulotnić. I tego musimy się trzymać! Zresztą pamiętaj, robię to tylko dlatego, że ty mnie poprosiłeś.

– Wiem, pamiętam, Bar, i doceniam to. W końcu kiedyś bardzo mi pomógł. Ale masz rację, trzeba to skończyć. – Mężczyzna westchnął głęboko i pogrążył się w myślach. – Akcja z O'Donnellem jest trudniejsza, niż mi się wydawało.

– Ja też się tego nie spodziewałam, Victor. Przecież na początku był wyciszony i wszystko przebiegało zgodnie z planem. No, może nie do końca, gdy zaczął się do mnie dobierać w kuchni. Cała się spięłam! – Barbara uśmiechnęła się szerzej; czuła się spokojniejsza na myśl, że dziś wieczorem będzie już po wszystkim.

– Dobrze, że nic ci nie zrobił, bo udusiłbym go własnymi rękami! –

Twarz Victora spoważniała na tę myśl.

– Wiem, że byś to zrobił. Jednak na szczęście do niczego nie doszło. Ale wiesz… – Spojrzała mu w oczy. – Myślę, że właśnie od tego momentu zaczął dziwnie się zachowywać. Tak jakby się domyślał, że tak naprawdę tam nie mieszkam.

– Być może właśnie tak było! – Victor skinął w pełnej zgodzie. – To niesamowite, że silne uderzenie w głowę może odebrać człowiekowi pamięć! Nie wyobrażam sobie nic nie pamiętać. – Zawiesił wzrok w przestrzeni. – Można oszaleć w takiej sytuacji.

– Pewnie, że można. A on w dodatku się nie wysypia! Nawet ostatnio, kiedy wychodziłam do pracy, napisałam mu karteczkę, żeby odpoczywał. Ale te jego wahania nastrojów są coraz gorsze! A jak już usłyszałam, że rzucił czymś o ścianę, to wiedziałam, że nie możemy dłużej tego ciągnąć. Koniec udawania posłusznej żony. Wczorajszy wieczór tylko przypieczętował tę decyzję.

– Serce mi prawie stanęło, jak cię zobaczyłem w takim stanie. – Przypomniał sobie obraz roztrzęsionej Barbary, płaczącej w drzwiach mieszkania.

– Moje stanęło, kiedy on ścisnął mnie za szyję. Był w amoku! Popadł w jakąś paranoję! A potem zobaczył ten klucz i zupełnie odpuścił. Mówił, że to przez jakiś sen. Nic nie rozumiem. – Barbara wzięła szybki łyk kawy.

– Co masz zamiar zrobić? – spytał z lekkim niepokojem.

– Nie wiem. Pojadę tam, może będzie spał. Napiszę tutaj list i zostawię u niego w kuchni. Jak się obudzi, to przeczyta. Niech wie, że odchodzę. Spakuję torby i wrócę do ciebie. Godzina, może dwie i będziemy mogli świętować. – Ostatnim zdaniem chciała go pocieszyć.

– Tylko proszę cię, zrób to szybko! Weź wszystko jak najprędzej i spadaj! – Victor był niespokojny, jakby przeczuwał coś złego.

– Taki właśnie mam plan. – Barbara czuła spokój i nie mogła się doczekać momentu zakończenia sprawy z Anthonym. – Martwisz się, jakbyś to ty musiał tam dzisiaj wracać – mówiła spokojnie, patrząc mu w oczy.

– To prawda. Mam złe przeczucia! Nie wyobrażam sobie, co będzie, jeśli znów coś ci zrobi. Bar, ja pojadę z t…

– Nie! – przerwała mu w pół zdania. – Wiem, co chcesz powiedzieć, ale nie możesz jechać ze mną. On nie może cię zobaczyć. Anthony nic nie pamięta, a na twój widok może dostać szału. Jestem pewna, że będzie potulny jak baranek, o ile w ogóle mnie zobaczy. Rozkleił się, kiedy odjeżdżałam. Na pewno chciałby mnie teraz przeprosić.

– Zdrzemnij się jeszcze, zanim tam pojedziesz. Wyglądasz na przemęczoną, a musisz być w pełni sił.

– Postaram się, Victor. W nocy nie mogłam zmrużyć oka, bo za dużo myślałam, ale nad ranem udało mi się zasnąć i obudził mnie zapach pysznego obiadu. – Barbara próbowała go rozchmurzyć.

– Cieszę się, że ci smakował – uśmiechnął się delikatnie. – W końcu muszę o ciebie dbać. Jesteś wszystkim, co tutaj mam!

– Trzymamy się razem, Victor! – Barbara pochyliła się do przodu i ścisnęła jego dłoń, dodając mu otuchy. – Tak było i będzie. Możesz być tego pewien.

– Kochana jesteś, Bar. – Odwzajemnił jej uścisk. – Aha, jeszcze jedno! Weź, proszę, ze sobą ten nóż sprężynowy. Tak na wszelki wypadek. Będę spokojniejszy.

– O to nie musisz się martwić. Na pewno go wezmę! – Barbara skinęła głową, patrząc mu głęboko w oczy.

***

Taksówka zatrzymała się na poboczu, poza miastem. Zaniedbany mężczyzna

wysiadł z samochodu i rozejrzał się wokół. Nie pamiętał, czy kiedykolwiek tu był. Nie przypominał sobie, czy wcześniej przebył tę trasę. Wszystko, każdy budynek, ulica i zakamarek, wydawały mu się dziwnie znajome, a jednocześnie nowe, nieodkryte. Dokuczliwe zimno nie ustępowało. Wręcz przeciwnie, na odkrytym terenie doskwierało jeszcze mocniej, bez trudu przesiąkając przez lekką kurtkę, sweter i spodnie. Anthony szedł wzdłuż drogi, by w końcu zboczyć w wydeptaną i nierówną ścieżkę przecinającą pole. Nie zapomniał o słowach Marii, gospodyni ojca Malcolma. Pamiętał, że musi coś kupić dla starego Indianina. W ręce trzymał papierową torbę z podstawowymi artykułami: bochen chleba, masło oraz kilka owoców i warzyw. Znów zmagał się z fizycznym zmęczeniem. W oddali, na końcu dróżki, widział małą konstrukcję ze strzechą. Z każdym krokiem widok stawał się wyraźniejszy; ukazał się zniszczały płotek, a tuż za nim kamienna studnia i kilka klatek zbitych w całość, służących za kurnik. Gdy wchodził w progi chaty starego Indianina, ogarnęło go dziwne, nienaturalne uczucie. Ten malutki zakątek wydawał się zupełnie oderwany od rzeczywistości oraz codziennych nawyków i trosk każdego śmiertelnika. Nie tylko znajdował się nieco poza miastem, ale też sprawiał wrażenie utrwalonego w innym wymiarze, odmiennym stanie świadomości, znacznie bliższym wieczności niż śmiertelnej doczesności.

Indianin siedział po turecku w lepiance, wpatrując się w ognisko. Zmęczony mężczyzna w czarnej kurtce i potarganej czuprynie stał w wejściu, nie wiedząc, jak się zachować. Starzec bez słowa wskazał na wytarty dywanik pod przeciwległą ścianą. Anthony położył papierową torbę tuż przy nim i posłusznie wykonał jego polecenie. Obyło się bez przywitania, bez zbędnych grzeczności, a jednak O’Donnell zdawał się go rozumieć.

– Duch twojej żony z przeszłości cię tu sprowadził. – Yakshit wpatrywał się tępo w oblicze pisarza przez skwierczące płomienie, a ochrypły głos

Indianina chwytał go za wnętrze i wprowadzał w błogi trans.

– Przyszedłem ze zdjęciem, bo ktoś wypisał na nim pańskie imię.

Wyciągnął fotografię z wewnętrznej kieszeni kurtki, lecz zanim zdołał się podnieść, nagły podmuch wiatru wpadł przez wejście i wyrwał je spomiędzy palców. Sztywny papier zatoczył półokrąg, wyminął ognisko i upadł pod nogami szamana. Anthony zaniemówił w głębokim zdziwieniu. Jeszcze nigdy nie doświadczył takiego zbiegu okoliczności, równie tajemniczego, co mistycznego.

Pomarszczona dłoń Yakshita zawisła nad fotografią. Kulista energia w pomarańczowym odcieniu pojawiła się nad zdjęciem. Głowę miał wyprostowaną, a oczy jakby pokryły się mgiełką.

– To dusza tej samej kobiety z tej i poprzedniej egzystencji. To ona cię tu przysłała. Przyszedłeś tu z przeznaczenia, bo nic we wszechświecie nie rodzi się z przypadku.

– Kim jest ta kobieta? Ja nic nie pamiętam. – Szept pisarza drżał w cichym niepokoju.

– Kobieta, która zrobiła to zdjęcie, dokonała tu zemsty. Zabiła nastolatka, kobietę i mężczyznę. To oni w poprzednim wcieleniu pozbawili ją życia. Wrzątkiem, glebą i ostrzem mordu na niej dokonali, a ona powróciła, by w ten sam sposób zakończyć ich żywot.

– Ale dlaczego?

– Bo wszechświat zawsze dąży do równowagi. Morderca w poprzednim istnieniu staje się ofiarą w tym życiu. Dusza pamięta poprzednie wcielenia i zemsty musi dokonać, aby rachunki wyrównać.

– Ale co ta kobieta ma wspólnego ze mną? Ja jestem niewinny! – Anthony nie mógł uwierzyć w to, co słyszał.

– Zjawiła się w twoim życiu, aby cię w sobie rozkochać, rozbić twój związek, a potem porzucić. To w odwecie za to, jak w zeszłym bycie

zostawiłeś ją niegodnie. Ją i wasze niepełnosprawne dziecko.

– Dziecko? Nasze dziecko? – Anthony chciał się ruszyć, ale ciało odmówiło posłuszeństwa. – Ja nie mam żadnych dzieci.

Stary Yakshit poczekał z odpowiedzią. Zamknął oczy, szukając pełnej synchronizacji z falami wszechświata. Wziął głęboki haust powietrza w płuca. Źrenice zniknęły pod powiekami. Niewidzialna moc natchnęła jego duszę, wypełniając ją równowagą wieczności, odzwierciedlonej w rytmicznych wersach zakończonych rymem:

W ubiegłym istnieniu twoim twa żona syna powiła,
lecz nie kochałeś dziecka, ty i twa dusza przegniła.
Chorobą twarz naznaczona, chłopak bez twojej miłości,
wyzbyty swoich rodziców, w ulicach dożył starości.
Przez matkę zawsze tulony, śmierci jej biedak doświadczył,
jej umysł zemstą skalany, oprawców tutaj wypatrzył.
Dusze ich wciąż te same, w złości do chorych bytów,
lecz zemsta się dokonała wśród ich upiornych skowytów.
Śmierci jej nie zadałeś, więc z ręki jej nie zginąłeś,
lecz jej samotność podałeś; coś dał, to teraz powziąłeś.

– W złości do chorych bytów? Ja nic nie rozumiem! – O’Donnell nie pojmował słów szamana.

Wyraźnie zmęczony Indianin siedział w milczeniu, odzyskując siły. Bezpośredni kontakt z wiecznością pozbawił go energii i nie potrafił już dłużej utrzymać boskiego stanu. Po chwili znów się poruszył, a jego usta lekko się rozwarły, tym razem w bardziej przyziemnym przekazie.

– Dusze mogą przenosić swoje zachowania z poprzedniego wcielenia. Nastolatek, kobieta i mężczyzna zionęli nienawiścią do chorych istot

w poprzednim życiu. Także w tym istnieniu pragnęli ich krzywdy.

– Czy ja…? – Anthony zawiesił się pod ciężarem słów Indianina.

– Ty również powieliłeś swoje czyny z poprzedniego życia. Niektóre na kartach swojej książki, niektóre w rzeczywistości. – Yakshit odczytał jego myśli.

– Jak wygląda ta kobieta? Czy to Barbara?

– Kobieta z czerwonym znamieniem na ciele. Czerwone znamię to pozostałość po torturach i cierpieniu z poprzedniego wcielenia.

Anthony odruchowo chwycił się za kark. Czuł, jak podłużne znamię na szyi zaczyna szczypać skórę.

– Ale kim ja jestem w tym wszystkim?

– Wiesz dobrze, kim jesteś. Pamięć duszy przesiąka przez uraz w twej głowie i odbija się w koszmarach. Jesteś częścią planu wszechświata, który w tym mieście musi się ziścić. Wszyscy przyszli tu w przeznaczeniu, nigdy z przypadku. Mordercy i ofiary z poprzedniego życia. Są też trzy twoje ofiary z poprzedniego bytu, lecz nie chcą twojej śmierci. Jedynie drogę sprawiedliwym do twoich drzwi wskazały.

Świadomość O'Donnella wpadła w czarną otchłań. Brutalne obrazy, jakże znajome, układały się w chronologiczny film, a ich znaczenie nabrało zupełnie nowego wymiaru.

Łysy mężczyzna z długą brodą pogrążył się w czytaniu gazety w obcym języku. Sunął wzrokiem po rubryce towarzyskiej, aż wreszcie się zatrzymał. „Wdowiec, 43 lata, o dobrych manierach i dużych dochodach, pragnie poznać wdowę w celach matrymonialnych". *Kobieta po czterdziestce w brązowej sukni i jasnymi guzikami pośrodku stała nad stołem, z talerzem w dłoniach. Jasnowłosy chłopiec z zespołem Downa tkwił bez ruchu, wpatrzony w ojca.*

Elegancka kobieta stała w parku, na tle szerokiej fontanny. Papierowe

żaglówki bujały się na wodzie, błyszczącej w promieniach słońca. Dojrzała twarz z dużymi ciemnymi oczami kokietowała bez słów, wsłuchując się w szczupłego, brodatego mężczyznę.

– Jesteś cudowny. Tak bardzo się cieszę, że cię poznałam, Désiré. Nigdy wcześniej nie odpowiadałam na ogłoszenia matrymonialne w gazecie, ale teraz wiem, że sam Bóg popchnął mnie do tego.

Kobieta stała tuż przed nim. Czuł jej perfumy, oglądał jej plecy i swoje palce muskające tył sukni. Bawił się tak jeszcze przez chwilę, by w końcu zadać śmiertelny cios. Błyszczący szpikulec wszedł w bok między żebrami. Podważał rękojeść ku górze, wysuwał szpic do połowy i wciskał ponownie z niekłamanym podnieceniem. Długie ostrze wchodziło i wychodziło, tworząc mały otwór po prawej stronie. Kobieta słabła pod rozrywającym bólem, aż w końcu osunęła się w jego ramiona.

Zwłoki sunęły po drewnianej podłodze i w mgnieniu oka spoczęły w wannie. Ciężki tasak ćwiartował ciało. Czerwony strumień zalał dno. Głowa kobiety opadła. Zastygłe oczy wpatrywały się w nicość.

Żeliwne drzwiczki pieca odsłaniały czerń wnętrza. Popiół zmieszany z fragmentami kości wpadał do wiadra. Mężczyzna wpatrywał się w głąb z nieskrywanym zaciekawieniem. Ogarnęło go nieznane wcześniej uczucie, że gdzieś tam, po drugiej stronie tunelu, ktoś odwzajemnia jego spojrzenie, że w tym międzywymiarowym ciągu, w zagiętej czasoprzestrzeni, ktoś stoi dokładnie w tej samej pozycji przy komorze pieca i wyczuwa jego przeszywający wzrok.

Szeroka, elegancka ulica powoli pustoszała. Biegł z całych sił, nie oglądając się za siebie. Krzyki za plecami stawały się coraz głośniejsze:

– Landru! Landru!

Wzrok poszybował ku górze i zatrzymał się na tabliczce z nazwą ulicy. Rue de Rivoli.

Sala rozpraw była surowa i chłodna, podobnie jak twarze ławy przysięgłych. Elegancko ubrana widownia spoglądała na brodatego mężczyznę bez włosów. Z tuzinów oczu biła nienawiść zmieszana z pogardą.

– Jest winny popełnionych czynów!

– Ha, nic na mnie nie macie. Nie macie żadnych dowodów. Jedynie poszlaki. Pokażcie ciała! Strzeżecie prawa, którego sami nie potraficie egzekwować.

Kobieta w pierwszym rzędzie z idealnie prostym przedziałkiem wzdłuż głowy i spiętym kokiem krzyczała w płaczącej złości:

– Jak mogłeś mi to zrobić? Rozbiłeś nasz związek i zostawiłeś mnie samą z dzieckiem na pastwę losu! Czym ja sobie na to zasłużyłam? Pożałujesz tego! Kiedyś i ty zostaniesz sam! Zobaczysz, kiedyś i ty zostaniesz sam!

Wśród znajomych wizji pojawiła się nowa, jakby wyjęta ze słów Yakshita.

Był wczesny wieczór. Skromnie ubrana kobieta z zaczesanymi na boki włosami weszła w wąską uliczkę, skracając drogę do domu. Jasnowłosy chłopak z zespołem Downa, w koszulce i spodenkach biegał radośnie po bruku pokrytym piaskiem. Trójka bezdomnych, kobieta z mężczyzną i nastolatkiem, siedziała wokół garnka z gotującą się wodą; płomienie oplatały kociołek osiadły na resztkach desek. Matka z synem już minęła grupkę, gdy niczym niesprowokowany młodzieniec w łachmanach podbiegł od tyłu i zadał potężny cios w potylicę dziecka. Zaśmiał się przy tym głośno, szukając aprobaty w spojrzeniach podpitych towarzyszy; ich twarze były czerwone, w dłoniach dzierżyli puste butelki. Przerażoną kobietę ogarnęła furia. Zdążyła tylko odepchnąć młodzieńca, gdy ktoś zaszedł ją od pleców. Bezdomna kobieta chwyciła ją za włosy i pociągnęła do siebie. Ta upadła na bruk, obok wrzącego garnka. Zawołała coś jeszcze z poziomu gruntu w stronę

struchlałego dziecka, a chłopak wystrzelił sprintem przed siebie wzdłuż nieuczęszczanej uliczki. Rozjuszony nastolatek podbiegł do kociołka i mocnym kopnięciem wywrócił go z desek. Twarz matki, porażona bólem palącego wrzątku, wykrzywiła się w agonalnym krzyku. Bulgocząca ciecz zalała część ramienia i wsiąkała w spódnicę. Brudna, bezdomna kobieta w wypłowiałych lokach schyliła się pospiesznie, chcąc ją uciszyć. Jednym ruchem dłoni zagarnęła garść piasku i wepchnęła jej w usta, ziejące przeraźliwym skomleniem. Otyły mężczyzna wyzwolił ją z cierpień. Ostrze rozbitej butelki przecięło gardziel na wskroś. Krew trysnęła na kołnierz. Trójca bezdusznych – nastolatek, kobieta i mężczyzna – trwała w osłupieniu, wpatrując się w nagle zgasłe ciało. Otwarte oczy matki spoglądały w niebo; jej dusza w pojedynczej łzie spłynęła po policzku.

Wrzątek, gleba i ostrze. O'Donnell słyszał w głowie słowa wypowiadane głosem Indianina. Pod zamkniętymi powiekami pojawiła się ostatnia wizja. Szarpał się niemiłosiernie, próbując się wybudzić. Gardło z wysiłkiem wydało pojedynczy szept. *Fatima!* Nagle zerwał się z ziemi i chwycił za kark. Pieczenie skóry na tyle szyi zbudziło go ze snów wszechświata. Nic więcej nie pamiętał. Odzyskał zmysły, gdy wybiegał z pola. Gnał z całych sił wzdłuż ciemnej drogi, w stronę pojedynczych świateł miasta.

ROZDZIAŁ 16

Barbara Orszanski kończyła pakowanie. Wieczór, choć nadzwyczaj zimny, okazał się niesłychanie łatwy. Podjechała pod dom pełna obaw, acz gotowa na ewentualną konfrontację. Zupełnie bezpodstawnie. Leśniczówka świeciła pustkami. Anthony nie zostawił żadnej wiadomości; ani na stole w kuchni, ani w sypialniach czy też w pokoju gościnnym. Nie napisał nawet słowa przeprosin. Nie miała pojęcia, gdzie był i co robił. Nie spodziewała się, że go nie zastanie. Powinien siedzieć w domu i wypoczywać, tak jak zalecił lekarz. Wnętrze domu okrywał mrok. Jedynie w pokoju Barbary paliło się światło, jedyna oznaka czyjejś obecności. Atmosfera była ponura, ale ona czuła się w miarę bezpiecznie. W tylnej kieszeni dżinsów spoczywał nóż sprężynowy. Wzięła go, jak prosił Victor, niekoniecznie dla własnego bezpieczeństwa, bardziej dla poprawy jego samopoczucia. Sypialnia była już prawie pusta. Wszystko, co miała, zostało spakowane do walizki na kółkach, czekającej na załadunek. Otwarta torba podręczna wypełniła się jedynie do połowy. Jeszcze tylko resztka koszulek, pożegnalny list, sklecony naprędce dwie godziny wcześniej, i mogła ruszać w drogę powrotną. Zimno dawało jej w kość. Barbara Orszanski nie pamiętała, by kiedykolwiek wcześniej aż tak przejmujący chłód nawiedził Anterrey. Powietrze przenikało przez obcisłe dżinsy, mroziło nogi i stopy. Niemniej czuła się pewnie. Gdyby musiała pożegnać się z Anthonym twarzą w twarz, chciałaby to zrobić z klasą

i pokazać mu kobietę, którą właśnie tracił na zawsze. Barbara chwyciła rączkę walizki na kółkach i wyprowadziła ją na ciemny korytarz.

Wyszła na zewnątrz leśniczówki. Mrok spowijał otoczenie. Słabe światło z okna sypialni rzucało się na glebę i pozwalało dostrzec koleiny po oponach auta. Podniosła drzwi bagażnika i włożyła walizkę do środka. Słaby trzask łamanej gałązki rozległ się gdzieś pod stopami. Coś ją tknęło. Odwróciła głowę do tyłu. Obraz drewnianego domu z otwartym wejściem trwał niezmiennie w tej samej formie. Panowały cisza i spokój. Barbara powróciła do rozmyślań. Była już jedną nogą w całkowitej wolności, w nowym etapie życia. Jeszcze tylko jedna torba i ostateczne zamknięcie drzwi do domu, który przysporzył jej tyle cierpienia. Ta prosta czynność miała dla niej wymiar symboliczny – zamknięcie rozdziału w życiu – i dlatego czekała na nią z wielką dozą ekscytacji. Przekroczyła próg i zamknęła za sobą drzwi, wpatrując się w ciemność pokoju gościnnego. Nagle obca dłoń szarpnęła ją za ramię. Krew odpłynęła z głowy, zimny pot zalał ciało, a panika przyćmiła wzrok. Głęboki oddech bestii sapał na jej szyi. Odwróciła się i zamarła. Bielma spowite szaleństwem i siwiejące włosy czaiły się w ciemnym narożniku. Mężczyzna ruszył do przodu taranem i pchnął ją na kanapę.

– Wiem, kim jesteś i co tutaj robisz! – Anthony stał nad nią, a ona w przerażeniu wpatrywała się w jego wściekłe źrenice.

Pewność siebie opuściła ją w okamgnieniu. Nie wiedziała, jak się tu znalazł, ale wspomnienie chrzęstu łamanej gałęzi wnet ją oprzytomniło. Tam, gdzie parkowała, nie było żadnych patyków. Błogie myśli o ucieczce pozbawiły ją ostrożności.

– Co robisz, Anthony?! Ty oszalałeś! – Głos Barbary drżał, a strach paraliżował ciało. Rękojeść noża w tylnej kieszeni wpijała się w pośladek.

– Mów, co zrobiłaś z ojcem Malcolmem! Okłamywałaś mnie, suko, gdy

mówiłaś, że nie mam przyjaciół. – Wyprostowany palec wskazujący mierzył prosto w jej oczy.

– Ale ja…

– Mów, co zrobiłaś!!! – Nie potrafił powstrzymać agresji.

– Ja nic nie zrobiłam!

– Myślałaś, że jestem tak głupi, że nie zauważę braku stron w gazecie! Myślałaś, że się nie domyślę! – wrzeszczał obłąkańczym tonem.

– Chroniłam tylko twoją słabą psychikę! Tak mi zalecił lekarz, gdy wychodziłeś ze szpitala! Nie mogłam ci wtedy powiedzieć, że zaginął! – Gula ścisnęła jej gardło, łzy napłynęły do oczu. Odepchnęła się od oparcia, chcąc się zsunąć z kanapy.

– Nie ruszaj się, dziwko! – Zbliżył się gwałtownie i pochylił nad struchlałą kobietą. – Teraz powiesz mi wszystko albo nie ręczę za siebie! – Przerażające brzmienie jego słów trzymało ją w ryzach. – Mów wszystko, tu i teraz! Czekałem na ciebie, na twoją troskę, ale ty mnie nie kochałaś! Ty chciałaś tylko moich pieniędzy!

– Ty… ty nie wiesz, o czym mówisz, Tony!

– Donny! – wszedł jej w słowo. – Donny, kobieto, Donny! Ty nawet nie wiesz, jak mnie nazywać! – wyrzucał kropelki śliny przez zaciśnięte zęby.

– Ty nie wiesz, kim ja dla ciebie byłam, jak ja cię kochałam! Jak dbałam o ten dom! Ale ty zawsze żyłeś w innym świecie! Rzuciłeś mnie dla tej młodszej suki! Rzuciłeś mnie bez żadnych wyrzutów, jakbym była śmieciem! – Cała złość i smutek nagle zeszły jej z serca i wypływały ustami, przynosząc ulgę.

– Kłamiesz! Przestań kłamać, rozumiesz?! – Chwycił ją za gardło, dokładnie tak jak wczoraj.

Barbara ścisnęła go za nadgarstek w próbie wyzwolenia się z uścisku.

– Wyrzuciłeś mnie z domu – szeptała w drganiach płaczu. – Zaślepiło

cię jej piękno i mnie wyrzuciłeś! Ja już od dawna tu nie mieszkam!

– Kłamiesz, Barbaro, ty znowu kłamiesz! – Jego głos drżał w szaleństwie; ostatnie skrawki rozsądku nie pozwalały mocniej zacisnąć dłoni.

– Ty nie wiesz, co ja przeżywałam! Nie wiesz, jak mnie bolało, gdy w pokoju znalazłam list od niej! Nie wiesz, ile mnie to kosztowało, żeby tu wrócić i czekać, aż wyzdrowiejesz! Ale wróciłam tylko dzięki mojemu bratu Victorowi! Tylko dzięki niemu! Bo znalazłeś mu tę cholerną pracę w bibliotece. On był ci tak bardzo wdzięczny. Ale to wszystko przeszłość, bo na mieście już mówią, że nawet ona zniknęła, ulotniła się i nie masz nikogo, rozumiesz? Nie masz nikogo! – Widziała, że łamał się w środku, że lada chwila eksploduje pod naporem emocji.

– Kłamiesz! – Anthony skrzywił się, ostatnimi siłami powstrzymując płacz.

– Spytaj Tatianę, dlaczego cię zostawiła! – Barbara zyskiwała przewagę nad bestią. – To ją spytaj, jak na ciebie wołała, bo dla mnie zawsze byłeś Tony!

Silna dłoń zamykała uścisk na jej szyi. Żyły pulsowały coraz mocniej pod palcami. Ból stawał się nie do zniesienia, a oczy pokrywały się mgłą, kiedy Barbara traciła przytomność. W odruchu desperacji poderwała nogę i trafiła go w krocze. Anthony wydał głośny dźwięk i zgiął się wpół. Bolesny chwyt raptownie zelżał. Orszanski podwinęła nogi i odepchnęła go z całych sił. W sekundę zsunęła się z sofy i wybiegła do przedpokoju.

– Wracaj tu, szmato! – Wściekły głos szaleńca odbijał się o jej plecy. Po chwili usłyszała ciężki tupot stóp podążających jej śladem.

Anthony wparował do sypialni. Zmierzył oświetlony pokój obłąkanym wzrokiem. Sapał jak rozwścieczone bydlę. Adrenalina stłumiła ból jąder. Odbił się od futryny i ślepo podążył do kuchni. W wejściu zderzył się

z Barbarą i poczuł nagłe szarpnięcie w boku. Popatrzył w dół. Jej ręka zginała się w jego stronę, jakby na znak pojednania, dłoń ściskała rękojeść, a ostrze znikało pod powierzchnią jego kurtki. Nie czuł bólu, bo nie mógł. Nóż minął prawy bok o milimetry i jedynie musnął naskórek. W napływie złości ścisnął jej nadgarstek i lewą ręką wyciągnął nóż spod odzieży. Z każdą sekundą łamał jej obronę. Barbara wnet stanęła po złej stronie ostrza. Instynkt Anthony'ego, a może pamięć duszy, pchała narzędzie w jeden właściwy punkt; w sam bok, między żebra. Ciało Barbary słabło wraz z odpływem sił i nadziei.

– Nie, proszę! – błagała łamiącym się głosem. – Ja nie chcę umrzeć! – W oczach Anthony'ego zobaczyła śmierć.

– Oszukałaś mnie, zdziro! – Wściekłość przemawiała szkalującymi słowami. Wnet skronie mężczyzny zaczęły pulsować, a ostry ból ogarniał płat skroniowy i prawe oko. O'Donnell błyskawicznie słabł, a agresja traciła impet. Bolesne pulsacje paraliżowały twarz. W ostatnim podrywie pobudzenia ruszył na nieszczęsną kobietę. Zacisnął palce na jej szyi i z całej siły pchnął do przodu. Ciało z hukiem runęło na szafki. Ciężkie uderzenie pozbawiło ją przytomności.

Ból znów rozpierał czaszkę. Anthony ścisnął skronie i kucnął przy przeciwległej ścianie. Amnezja ustępowała z każdą sekundą. Wspomnienia wracały ze zdwojoną siłą. Widział radosną Barbarę, najpierw w łóżku, potem w kuchni. Uśmiechała się do niego, posyłając całusy. Potem już tylko płakała, zagniewana i upokorzona. Mówiła coś o liście od kochanki, by po chwili wyprowadzić się z domu. Później siedział na skarpie, pod lipą. W oddali szczupła szatynka siedziała boso na trawie i celowała w niego obiektywem drogiego aparatu. Pamiętał tę scenę ze zdjęcia na strychu. Tym razem również pamiętał jej imię. *Tatiana.* Spod nikona błyszczał jej cudowny uśmiech. Opuściła aparat i coś zawołała. *Donny!* Była dość młoda, młodsza

od Barbary i o wiele bardziej urzekająca. W innym obrazie widział jej nagie piersi, jak falowały na łóżku pod jego ciężkim ciałem. Tuż nad nimi duże jasnoczerwone znamię rozlewało się na ramię, ale i ono nie potrafiło oszpecić jej idealnego ciała. Czuł pełnię szczęścia, gdy tak na nią patrzył. Teraz stała na tej samej ścieżce w lesie, z zaczerwienionymi oczami. Coś mówiła. Nie umiał czytać z ruchu warg, ale świadomość szepnęła do niego jej aksamitnym głosem: *Zakochuję się w kimś innym. Przykro mi, Donny.* Gdzieś w zakamarkach wyobraźni echo powtarzało jakieś imię. *Richard.* Szarpał ją z wściekłością. Uchwycił się jej czarnego plecaka, gdy próbowała uciekać, i zerwał go z jej ramion. Wprowadził ją siłą do domu. Tłumaczyła coś w uniesieniu, stojąc w przedpokoju. W napływie agresji popchnął ją na ścianę. Mocniej, niż zamierzał. Głowa kobiety uderzyła o futrynę kuchni. Leżała tak bez ruchu z otwartymi powiekami. Na szyi widniało zadrapanie po czterech paznokciach. Nie zauważył go wcześniej. Ostatni majak wyłonił się z pulsującego bólu. W ułamku sekundy folia ochronna, rozłożona na podłodze, błysnęła mu przed nosem. Widział, jak otwiera kremowe drzwi w kuchni. Ciągnął jej ciało po posadzce, w stronę piwnicy. Rozpalił w piecu. Na końcu znów był w lesie. Biegł na oślep między drzewami w stronę urwiska. Uporczywa myśl zaprzątała mu głowę: *Zabiłem ją! Niechcący ją zabiłem! Moje życie jest skończone!*

Własny wrzask rozpaczy wytrącił go ze wspomnień. Scenę w kuchni zastał tak, jak ją zostawił. Pomieszczenie ogarniała względna ciemność, lecz blask żarówki z sypialni nieco rozjaśniał obraz. Ciało Barbary opierało się na szafkach. Przy nodze leżał otwarty nóż sprężynowy. Spojrzał na kremowe drzwi. Musiał się upewnić, co działo się za nimi. Chciał wiedzieć to, czego nie dostrzegł w przypływie wspomnień. Wstał z podłogi i chwycił się za głowę. Żyły na skroniach wciąż pulsowały, ale ból głowy zdawał się ustępować. Wszedł do piwnicy i zapalił światło. Żeliwny piec grzewczy stał

pod przeciwległą ścianą. Napełniał Anthony'ego obawą i grozą. Nie zauważył nic rzucającego się w oczy – surowe ściany, kilka starych półek z farbami i narzędziami, drewno na opał i duże wiadro z popiołem. Otworzył komorę pieca. Jej czerń była głęboka i przejmująca. Chłonął oczami jej otchłań, pełen niewytłumaczalnej fascynacji. Odnosił wrażenie, że gdzieś na jej końcu musiało coś istnieć, wpatrywać się w niepokojącą ciemność dokładnie w tym samym momencie, choć w odległym wymiarze. Trwał niczym zahipnotyzowany i nie mógł się oderwać. Jakaś silna więź, jakby nadludzka moc, łączyła dwa odległe punkty wszechświata.

Spojrzał na wiadro. Szary pył mieszał się z białymi fragmentami kości. Pamiętał tę scenę w swoich koszmarach. W tejże chwili powróciły prorocze słowa starego szamana:

Dusze mogą przenosić swoje zachowania z poprzedniego wcielenia… Ty również powieliłeś swoje czyny z poprzedniego życia. Niektóre na kartach swojej książki, niektóre w rzeczywistości.

Brudny, zapuszczony człowiek z przetłuszczoną siwizną, w przepoconym swetrze i czarnej kurtce głośno załkał. Po amnezji, domysłach i paranoi prawie nie było śladu. Poczuł się zdrowy, a jednocześnie tak bardzo samotny. Słowa kobiety z własnych wizji krzyczały mu do uszu: *Rozbiłeś nasz związek i zostawiłeś mnie samą z dzieckiem na pastwę losu! Czym ja sobie na to zasłużyłam? Pożałujesz tego! Kiedyś i ty zostaniesz sam! Zobaczysz, kiedyś i ty zostaniesz sam!*

Wrócił na schody, lecz zatrzymał się w pół kroku. Kartonowe pudełko po butach spoczywało na ceglanej posadzce. Schylił się i odsunął wieko. Płytkie wnętrze wypełniały zdjęcia w ramkach, jedno na drugim. Przez łzy widział swoją uśmiechniętą podobiznę przy twarzy rozpromienionej Barbary. Na kolejnej obejmowali się czule na kanapie dużego pokoju. Na ostatniej wyglądała zza drzewa w lesie. Szeroki uśmiech zdradzał jej szczęście.

W rogu, po przekątnej przemawiały trzy słowa utrwalone znajomym, zamaszystym pismem: Kocham Cię, Tony!

– Nieee! – Ostatni krzyk przeraźliwej rozpaczy rozniósł się po piwnicy.

Anthony zerwał się z podłogi i wybiegł do kuchni. Jego dawne szczęście leżało nieprzytomne na kuchennej podłodze. Podbiegł do niej i lekko potrząsnął.

– Barbaro, obudź się, proszę! Tak bardzo cię przepraszam! To wszystko moja wina! Barbaro, proszę. Wybacz mi! – Wołał w głąb jej serca, obejmując w dłoni ciepły policzek.

Kobieta ruszyła głową, a gardło wydało ciche pomruki. Nagle ciemność kuchni przeszyły blade, czerwono-niebieskie blaski. O'Donnell podniósł się nerwowo i spojrzał przez okno. Kilka samochodów z rozświetlonymi kogutami na dachach zbliżało się do leśniczówki.

– Nie wierzę! To niemożliwe! – W jednej chwili zrozumiał wszystko. Jego umysł spowiła pustka. Oczy, niczym w hipnozie, prowadziły go przed siebie. Dobrze wiedział, gdzie się udaje. Wszak, jak mówił sam Yakshit: *Jesteś częścią planu wszechświata, który w tym mieście musi się ziścić.* Anthony O'Donnell włączył lampę w dużym pokoju, dorwał się do drzwi wejściowych i wybiegł na zewnątrz, pod mroźną osłoną nocy.

ROZDZIAŁ 17

Cisza i mrok już dawno opadły na Anterrey. Przejmujący chłód wypełniał powietrze, a szron osiadał na korze. Zachmurzone niebo nie przepuszczało blasku gwiazd. Murray dojeżdżał do przedmieścia. Przed nim kończyły się zabudowania i rząd sklepików, dając początek samotnej drodze w stronę lasu, aż po samo urwisko. Zatrzymał się na poboczu w oczekiwaniu na posiłki. Nie zdecydował się na wejście, byłaby to brawura. W końcu nie wiedział, co może zastać w samotnym domu, praktycznie na odludziu. Jego twarz emanowała spokojem, a w oczach błyszczało skupienie. Czuł podenerwowanie, niepokój i gniew. Gniew, ale nie smutek. Złość serca, że tak dało się zwieść. Niepokój wobec tego, co jeszcze mogło nastąpić. Był w centrum wydarzeń, w samym środku burzy. Wizyta w domu Tatiany miała być esencją śledztwa, wisienką na torcie kończącego się dnia; tymczasem okazała się falstartem.

We wstecznym lusterku rozbłysły niebiesko-czerwone flesze. Padały na ściany budynków, odbijały się od szyb i rozpraszały w gęstym, zimnym powietrzu. Warkot silników wzmagał się z każdą sekundą. Nikt nie pędził na złamanie karku. Pojazdy poruszały się bez zbędnych syren, bez siania niepokoju. Murray ruszył do przodu i zamknął peleton trzech policyjnych aut. Kolorowy błysk i ciągłe buczenie silników wyrwało ze snu bezdomną Anę. Leżała owinięta kocem, wtulając się w plecy towarzyszki. Była

zdezorientowana. Powieki, jak z cegieł, otwierały się z trudem. Zmrożone ciało nie chciało się poruszyć. Ana z wolna rozwarła spękane usta.

– Viki, patrz. Policja jedzie. Zobacz, Viki, zobacz. – Jej głos był słabszy, niż mogła się tego spodziewać. Z trudem podniosła ciężką rękę i położyła na skulonym pod kocem ciele koleżanki. Ale nie doczekała się odzewu. Żadnej reakcji.

Ciąg pojazdów parł do przodu. Asfalt ustąpił piaskowi, płaska nawierzchnia nierównościom. W pierwszym samochodzie Danny Jones siedział na miejscu pasażera i wpatrywał się w ciemność. Pomiędzy nim i kierowcą panowała cisza. Nie opuszczało go wrażenie, że ta noc skończy się tragicznie. Nie mógł się oprzeć déjà vu. Ponad dwie dekady temu siedział za kierownicą, tak samo jak dziś, w samym środku nocy. Otoczenie wyglądało niemal identycznie. Pędził na wezwanie do pobliskiego Nottingham, kiedy jeszcze mieszkał w Anglii. Ale to nie było wezwanie jak inne. Pożar na obozie dla dzieci, spalona altanka, opiekun i dwójka nieletnich w centrum poszukiwań. Jedną z ofiar okazała się jego córka. Ten dzień zmienił jego życie na zawsze. Długo włóczył się bez celu, zanim stanął przed starym drewnianym znakiem, niechlujnie wymazanym czarną farbą: „Witamy w Anterrey”. Dzisiejsza noc przywołała zatarte wspomnienia. Ona również nie mogła się skończyć dobrze. Przeczuwał czyjąś śmierć.

Steve Smith deptał po piętach dwóm policyjnym radiowozom. W bocznym lusterku niebieskiego opla astry snuło się białe audi kolegi. Za kierownicą widział czarną sylwetkę z zaczesanymi do tyłu włosami, ukazującą się w czerwono-niebieskich błyskach ślizgających się po przedniej szybie. Ciemna, zimna noc pobudzała umysł, a dziwna atmosfera prowokowała do przemyśleń. Miał już nigdy nie wrócić do pytania, które padło z ust Murraya w gabinecie przełożonego: *Skąd masz takie dokładne informacje, Steve? Jestem pod wrażeniem.* W myślach wciąż widział twarz

Richarda, przepełnioną zaciekawieniem, pewny głos podszyty domysłem z nutką oskarżenia. Domyślał się, że był w kręgu podejrzeń Richarda, ale nie wiedział dlaczego. Czuł zawód, jednak nie chciał mu o tym mówić. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Richard podążał w ciszy za Steve'em. Ręce spoczywały na kierownicy, a oczy gapiły się na samochód kolegi. Odwiedziny w domu Tatiany wypełniły większość luk w układance. Murray wyjaśnił sobie resztę w pędzącym samochodzie. Postura Zharkovej nie wskazywała, by mogła obezwładnić wyższego księdza czy lepiej zbudowanej Cinthii Green. Ani też nastoletniego Simona Alvareza. Stąd początkowo nie była w kręgu podejrzanych. Kobieta najzwyczajniej w świecie nie mogła pokonać swoich ofiar w normalnych warunkach. Posiadała jednak niekonwencjonalną broń. Pojedyncza dawka esmeronu dawała pożądany efekt. Po krótkim czasie następowało pełne zwiotczenie mięśni, bez szans na obronę, bez możności ucieczki. Zastrzyk gwarantował sukces. Kolejna konkluzja pchała się przed szereg, choć była mniej oczywista. Zharkova nie należała do stowarzyszenia Zdrowe Dzieci. Nie była zamożna, nie miała wpływów – tego mógł być pewien. Co prawda jej nazwisko figurowało w rejestrze pani Green, ale umówiona wizyta musiała być tylko pretekstem, by zbliżyć się do swojej przyszłej ofiary. Zabiła troje ludzi, którzy swoimi czynami wyrządzali krzywdę niepełnosprawnym. Sama opiekowała się Jimem z zespołem Downa, z którym łączyła ją bliska więź, a więc jej motyw wydawał się oczywisty. Murray zdał sobie sprawę, jak bardzo się pomylił. Zniknięcie Tatiany, zauroczenie jej osobą, a także niesłuszne podejrzenia wobec Steve'a wyprowadziły go w pole. Niemal do końca myślał, że była niewinna. Jednak ktoś, kto przepada bez wieści, nie musi być koniecznie ofiarą. I w tym przypadku ona nią nie była.

Las nieco się przerzedził. Kontury domku rysowały się w błyskach

kogutów. Niewielka chata z drewna stała prostopadle do linii drzew. Przed nią stał zaparkowany stary samochód. Ciemność odsłoniła pełnię kształtów leśniczówki. W środku paliło się światło. W tym samym momencie otworzyły się drzwi. Jakaś sylwetka wybiegła na zewnątrz i skierowała się w stronę drzew. Radiowozy zboczyły z drogi i zatrzymały się niemal pod domem.

– Stój, policja! – Murray wyskoczył z samochodu.

Tatiana? Biegł prosto w las. Pod butami trzaskały gałązki i szyszki. Kątem oka dostrzegł jeszcze sylwetki kolegów udających się ku wejściu; ich krok był ostrożny, w dłoniach trzymali pistolety gotowe do strzału. Najwidoczniej nikt nie zamierzał towarzyszyć Murrayowi. Dwóch młodych policjantów – funkcjonariuszy z mniejszym doświadczeniem – trzymało się kurczowo cienia przełożonego. Masywna sylwetka Danny'ego Jonesa nie wyglądała, jakby mężczyzna garnął się do sprintu. Rudowłosemu Smithowi wyraźnie zabrakło refleksu. Dopiero wyciągał pistolet z kabury, gdy Richard był już w pełnym galopie i włączał trzeci bieg. Pędził co sił w nogach. Światła kogutów rozświetlały leśny mrok, ale gwałtownie traciły na intensywności. Odległość od partnerów dramatycznie się zwiększała. Tracił szansę, by zatrzymać uciekiniera. Nagle stanął i wymierzył z broni. Oko zgrało się z muszką na lufie wycelowanej w ciemność. Padł strzał. Potem drugi. Nabój zrykoszetował gdzieś od kory. Sylwetka, już niewidzialna dla Richarda, spojrzała za siebie. Murray znów ruszył przed siebie. Gęstniejący mrok dezorientował mózg. Instynkt wiódł go do przodu, przez złowrogi las. Pędził po omacku. W końcu stanął w miejscu. Zmysły zupełnie się poddały. Złowroga cisza. Tylko słabe podmuchy wiatru i szelest liści niepokoiły duszę. Nagłe huczenie wstrząsnęło Richardem. Pistolet zadrżał w jego dłoni. Kilka metrów nad głową samotna sowa zaznaczyła swoją obecność.

– Tatiana!!! – Przeciągły, szorstki krzyk detektywa rozniósł się

pomiędzy drzewami.

W międzyczasie Danny Jones skradał się po deskach pokoju gościnnego. Pistolet zgrany ze wzrokiem mierzył w drzwi prowadzące do holu. Steve oraz dwaj młodzi funkcjonariusze asekurowali go z tyłu. Policjanci wolnym krokiem posuwali się do przodu. Jones wtargnął do sypialni. Pomieszczenie świeciło pustkami: torba na ziemi, wysunięte szuflady komody i otwarta szafa. Jeden z młodziaków otworzył wejście na strych, wpatrzył się w ciemność piętra. Broń drżała mu w dłoni. Pozostała dwójka stała w przejściu i zabezpieczała korytarz.

– Pokój czysty – szepnął Jones do podwładnych. – Młody, sprawdź górę! – Wskazał głową na schody. – My pilnujemy dołu!

Młody policjant nie zaprotestował i bardzo ostrożnie ruszył na poddasze. Przeszyła go niepewność. Nie słyszał wsparcia kolegów, będąc na samym szczycie schodów. Atmosfera gęstniała z sekundy na sekundę. Chwycił za pozostawioną latarkę i ogarnął snopem światła pomieszczenie. Nie dostrzegł niczego podejrzanego ani dziwnego. Miejsce było zupełnie puste.

– Strych czysty!

– Mamy ciało! – z kuchni dobiegł głos Danny’ego Jonesa.

W tym samym czasie do pomieszczenia wbiegł Steve podążający za głosem szefa. Przed oczami stanął mu obraz czarnoskórego mężczyzny pochylonego nad jakimś ciałem.

– Żyje! Wezwijcie ambulans! – Jones klęczał u boku kobiety w średnim wieku. Ta bezwładnie opierała się o szafki. Ciemne włosy spływały jej na ramiona, szyja czerwieniła się od uścisku dłoni.

– Sypialnia czysta! – krzyknął ktoś z ostatniego pokoju.

Dom był bezpieczny. Gdzieś w korytarzu młody policjant już wzywał karetkę. Danny Jones pochylał się nad półprzytomną kobietą i coś do niej

szeptał. Smith rozejrzał się wokół. Jego uwagę przykuły małe półotwarte drzwi po lewej stronie. Wszedł do środka. Palce wciąż dzierżyły pistolet. Słabe światło żarówki z odrapanego sufitu zapewniało dostateczną widoczność. Mała zagracona piwnica bez okien napawała grozą. Spory piec grzewczy stał na samym środku pomieszczenia. Tuż obok, w wiadrze spoczywały kilogramy popiołu. Steve zszedł po drewnianych stopniach i zbliżył się do pieca. Położył dłoń na zimnych drzwiczkach i otworzył komorę. Przeszywające skrzypienie nienaoliwionych zawiasów rozeszło się po ścianach. Brzmiało jak pisk porażającej agonii duszy opanowanej przez wszechobecne płomienie. Na samej krawędzi brudnej komory dostrzegł coś nietypowego. Chwycił delikatnie palcami i podniósł ku światłu. Kawałek wygiętego plastiku w kształcie półksiężyca z małymi, pionowymi kreskami przypominał fragment pierścienia obiektywu fotograficznego. Za mocno stopiony, by mieć stuprocentową pewność; zbyt charakterystyczny, by skojarzyć go z czymkolwiek innym. Tuż za nim, w głębi pieca, osmalony kawałek materiału ze ściągaczem na końcu natychmiast przywołał na myśl wieczorny jogging. *Dres.* To nie mogło być nic innego. W tym momencie nie wiedział, dlaczego ktoś ogrzewał dom fragmentami odzieży. Podszedł do wiadra z popiołem. Wziął do ręki biały, postrzępiony fragment czegoś, co wyglądało na kawałek plastiku. Przyjrzał się dokładnie. To nie był plastik. Jego ciało przeszyła fala zimna. Intuicja podsuwała makabryczne myśli. Steve Smith odwrócił się wolno i wrócił do kuchni.

Osłabiona kobieta na skraju przytomności szeptała coś niewyraźnie do ucha Danny’ego Jonesa. Jej ręka podniosła się wolno, a wyprostowany palec wskazywał na tyły domu. Wnet szef odwrócił głowę do Steve’a i dwóch spoconych młodziaków.

– Steve, dzwoń do Richarda! Szybko!

***

Murray wciąż zagłębiał się w las, kiedy telefon zawibrował w jego kieszeni. Przyłożył aparat do ucha, lecz urywane słowa nie dały się od razu zrozumieć. Detektyw stał w ponurej ciemności, gdzie nawet zasięg telefonii komórkowej zdawał się zawracać ze strachu.

– Co? Powtórz! – Trwał tak jeszcze kilka chwil, zanim cokolwiek zrozumiał.

Skarpa! Zerwał się z miejsca i biegł za intuicją. Malutka leśniczówka w oddali i słabiutkie światła policyjnych kogutów służyły za punkt odniesienia. Według wyliczeń musiał minąć domek po swojej prawej, by wyjść po drugiej stronie lasu. Nogi nie zwalniały, gałęzie pękały mu pod stopami. *Tatiana!* W myślach znów widział jej twarz, jej piękne oczy i długie włosy. Uśmiechała się do niego i kokietowała. Jeszcze tak niedawno pobiegłby za nią wszędzie na jedno skinięcie palcem. Ale w tej chwili była już tylko przestępcą, a on wykonywał swoją pracę. Niedługo potem był już na skraju lasu. Przystanął na moment, by złapać oddech. Powietrze nasączone żywicą zaczęło pachnieć oceanem. Stał gdzieś przy rozwidleniu, gdzie drogi rozchodziły się w przeciwnych kierunkach, by złączyć się z ulicami po przeciwnych stronach Anterrey. Dwieście metrów zmarzniętej ziemi rozciągało się przed nim w mroku do miejsca, gdzie stała samotna lipa z szeroką koroną. Za drzewem urywał się grunt i spadał pionowo w dół na bezludną plażę. Nad urwiskiem ktoś stał. Blade światło księżyca przebijało się przez chmury i opływało czyjąś sylwetkę. Postać, którą ścigał przez pół lasu, nie przypominała kształtem kobiety. Coś się nie zgadzało. Z każdym kolejnym krokiem dostrzegał więcej szczegółów. Skołowany i ponownie zmylony przez los podchodził do siwowłosego mężczyzny w średnim wieku. Postać była już w zasięgu głosu i pistoletu, lecz stała nieruchomo.

– Policja! Ręce na kark i kładź się na ziemię! – krzyknął.

Po chwili rozpoznał twarz. *Anthony O’Donnell.* Nie było mowy

o pomyłce. Jeszcze tego samego wieczora trzymał w ręku zdjęcie Anthony'ego i Tatiany, zrobione dokładnie w tym miejscu.

O'Donnell obrócił wolno głowę, podniósł ręce i splótł dłonie na potylicy.

– Zabiłem ją! Niechcący ją zabiłem! – Ale jego słowa nie doszły uszu detektywa.

– Powiedziałem ręce na kark i na ziemię! Dalej! – Głos Richarda stał się agresywny. W tym samym momencie echo słów Indianina rozeszło się w jego uszach. Nie do końca rozumiał cały przekaz. A jednak ciarki przeszły mu po plecach. *Jeszcze jedna śmierć wkrótce się dokona. Dusza przeciwko ciału własnemu się obróci. W poprzedniej egzystencji z Fatimą połączona, tu zyskał ją i stracił i to się nie odwróci.*

Anthony O'Donnell zrobił krok do przodu i spojrzał w dół. Buty w połowie wystawały poza krawędź przepaści. Ciało bujało się z lekka do przodu i do tyłu, na granicy życia i śmierci. Grunt pod stopami urywał się na ponad dwanaście metrów w dół. Drobne kawałki klifu oderwały się spod butów i spadły w przepaść. Zamknął oczy. Jego ręce wciąż spoczywały na karku. Czerwone poprzeczne znamię na skórze nieznośnie szczypało. Zaczęło pulsować, jakby coś w nim ożyło, jakby łączyło się z pamięcią wszechświata. Gdzieś w oddali usłyszał jeszcze „stój!", lecz nic już nie mogło odwrócić biegu wydarzeń. Duży kawałek gruntu osunął się w dół. Anthony zachwiał się przy próbie odzyskania równowagi. Przed oczami stanęła mu ostatnia wizja, jakiej doznał w domu starego Yakshita.

Był w ciemnej, murowanej celi. Ksiądz stał w drzwiach ze splecionymi dłońmi i z ostatnim pytaniem na ustach: „Synu, czy zechciałbyś się wyspowiadać po raz ostatni?". Odpowiedź była jednoznaczna: „Przepraszam, ale nie mogę kazać tym panom na mnie czekać!". Minął duchownego w przejściu i wyszedł na dziedziniec. Mocno związany szorstki

sznur wgryzał się w nadgarstki dłoni skrępowanych na plecach. Dwóch mężczyzn w garniturach eskortowało go do bramy. To był ciepły dzień, ale bez słońca; jakby zniknęło z nieboskłonu, rezygnując z uczestnictwa w ostatniej drodze Henriego Landru. Na placu dziedzińca zebrali się policjanci i strażnicy. Stali w oddali i obserwowali go w zupełnej ciszy. W myślach słyszał krzyki i zawodzenia swoich ofiar. Widział obrazy zakrwawionych ubrań, odciętych kończyn i palonej skóry. Nie zapomniał też o swojej żonie i dziecku. Zrozumiał, jak mocno ich skrzywdził. Zdał sobie też sprawę – zdecydowanie za późno – jak bardzo i jak prawdziwie ją kochał, pomimo swojej duszy bestii. Ciężkie drzwi bramy, wmontowanej w piękny, ozdobny biały łuk, otworzyły się do wewnątrz. Zgromadzony na zewnątrz tłum skandował obraźliwe hasła pod jego adresem. Z każdym kolejnym krokiem okrzyki stawały się coraz bardziej nieznośne. Przeszedł przez bramę więzienia wychodzącą na ulicę. Mężczyźni i kobiety, młodzi i starzy, przekłuwali go setkami oczu, odgrodzeni po obu stronach kordonem funkcjonariuszy policji. Jego kamienna twarz nie dała im poznać, jak bardzo się bał, jak bardzo trzęsło się jego wnętrze. Za chwilę miał być wolny i nietykalny, nieosiągalny dla rozzłoszczonych gapiów, ale nie tak sobie to wszystko wyobrażał. Przed murami więzienia stało czterech mężczyzn – wszyscy elegancko ubrani. Czarne garnitury, białe koszule i wysokie cylindry na głowach stanowiły dostojny element końcowego etapu procedury. Między postaciami stała wąska, drewniana konstrukcja na cztery i pół metra, złożona z grubych pionowych belek. Na samej górze, w bladym świetle dnia, błyszczało wypolerowane ostrze o ukośnym kształcie, idealnie wpasowane w stojące pale. Obok w oczy rzucał się wiklinowy koszyk o prostokątnych kształtach, w rozmiarze dorosłego człowieka. Czterech dżentelmenów przejęło skazańca. Okrzyki tłumu – „śmierć Landru!" – raptownie gasły w obliczu nadciągającej kulminacji. Leżał twarzą w dół, z głową nad małym,

głębokim koszykiem. Nikt nic nie powiedział, nikt się nie pożegnał. Ostatnie dziesięć sekund było wiecznością. Metaliczny świst przeciął ciszę. Bezlitosne ostrze gilotyny miękko wbiło się w szyję. Poprzeczne cięcie na karku. Gwałtowne chrupnięcie i ułamkowy ból. Spazmatyczny wstrząs ciała. Ostrze splamiło się krwią. Głowa wpadła do wiklinowego pojemnika. Aktywność mózgu gasła w mgnieniu oka. Obraz wiklinowych włókien przed samymi oczami rozmywał się i ciemniał. W myślach rozbrzmiewał jeden jedyny krzyk, desperacko przywołujący panią Landru; odbijał się echem u progu wiecznej wędrówki: Fatima!

EPILOG

– Miałem wrażenie się, że mnie o coś podejrzewasz, ale nie wiedziałem o co. Ty naprawdę myślałeś, że miałem coś z tym wszystkim wspólnego? – Steve siedział na blacie biurka Richarda. Atmosfera na komendzie, dwie doby po pamiętnej mroźnej nocy, uległa znacznej poprawie. Napięcie schodziło ze wszystkich, po raz pierwszy od dłuższego czasu.

– Przepraszam cię, stary, ale przeszło mi to przez myśl – odpowiedział Murray, nie przyznając się, że prowadził niemal szeroko zakrojone śledztwo wobec Smitha. – Musisz przyznać, że miałem powody do obaw. Wieczorne bieganie, dres, nagranie z kamery przy cmentarzu i parę innych drobnych rzeczy zapaliły mi w głowie czerwone światło. Na szczęście szybko się okazało, że nie było powodów, aby wszczynać wobec ciebie dochodzenia – dokończył z uśmiechem.

– Bardzo mnie to cieszy – odparł pogodnie Smith. – Najwyraźniej nie mam jeszcze tak popapranego mózgu jak Tatiana Zharkova. Bez obrazy, Richard, bo wiem, że ją znałeś, ale…

– Nie przejmuj się. Już mi przeszło. – Richard kłamał, gdyż jeszcze nie do końca pogodził się z tym faktem. – Tatiana Zharkova okazała się morderczynią najwyższej klasy. Zupełnie uśpiła moją czujność.

– Tylko dlaczego musiała zabijać w tak okrutny sposób? – zapytał Steve.

– Z zemsty. Wrzątek, gleba i ostrze – powiedział Richard, a dopiero potem pomyślał, że chyba się pospieszył. Pamiętna rozmowa z Yakshitem utrwaliła mu się w pamięci.

– O co ci chodzi, bo nie rozumiem?

– A nic. Nieważne. Tak mi się powiedziało. Ty, zobacz, szef chyba czegoś od nas chce. – Murray szybko zmienił temat.

W głębi posterunku Danny Jones stał w wejściu do swojego gabinetu i przywoływał ręką podwładnych.

– Nie rozsiadajcie się tym razem, bo zajmę wam tylko parę minut. – Sam usiadł za biurkiem, podczas gdy Murray i Smith stali przed nim w milczeniu. – Rozwiązuję waszą specjalną grupę śledczą, bo już nic znaczącego w tej sprawie się nie wydarzy.

– A co z Barbarą? Myślałem, że szef da nam czas, byśmy ją jeszcze przesłuchali – powiedział Steve z lekkim zaskoczeniem.

– Nie ma potrzeby. Wy już się napracowaliście. Przed południem wysłałem do szpitala paru chłopaków, którzy zadali jej kilka pytań.

– Już? – Richard podniósł brwi w zdziwieniu.

– Kobieta jest tylko lekko poturbowana, ale psychicznie dobrze się trzyma. Jak wyjdzie ze szpitala, to złoży szczegółowe zeznania. Jedynym, czego się dzisiaj dowiedzieliśmy, jest to, że morderczyni Tatiana Zharkova była kochanką naszego pisarza i doprowadziła do rozpadu jego związku z Barbarą. Jak się okazuje, Barbara już dawno nie mieszkała z O’Donnellem. Opiekowała się nim tylko tymczasowo, nim doszedłby do zdrowia.

– A więc upadek O’Donnella ze skarpy sprzed paru tygodni mógł być jednak próbą samobójczą. – Steve Smith szybko doszedł do logicznej konkluzji.

– I prawdopodobnie był – kontynuował Danny Jones. – Pewnie miał związek z zaginięciem Tatiany. Znaleziony w lesie plecak Zharkovej

w pobliżu jego domu to jedynie poszlaka, ale dość mocna.

– Jednak nie mamy jeszcze na to twardych dowodów – dodał Richard, jakby jeszcze łudząc się, że Tatiana odnajdzie się żywa.

– Jeszcze nie. Ale jutro robimy dokładne przeszukanie leśniczówki i okolic, więc mam nadzieję, że uda nam się odkryć ostatnią kartę.

– Steve, myślisz, że Anthony zabił Tatianę Zharkovą? – Murray zwrócił się do kolegi. W tym samym momencie, nie wiadomo dlaczego, przypomniał sobie wizytę u Yakshita i widok szamana miotającego się na posadzce swojej lepianki, jakby zajął się ogniem.

Steve jedynie wzruszył ramionami. W pamięci utkwił mu fragment aparatu i rękawa dresu w piecu grzewczym leśniczówki. Dotykał kawałka kości w wiadrze z popiołem. On znał już odpowiedź na wątpliwości swojego kolegi. Ale nie zamierzał przekazywać Richardowi swoich najgorszych przeczuć. O wszystkim miał się dowiedzieć jutrzejszego dnia.

– Dobra! To wszystko z mojej strony – podsumował Danny. – Aha, Richard, jak nie masz nic do roboty, to podjedź do Barry'ego w szpitalu. Podobno są nowe trupy, ale tym razem niezwiązane z naszą sprawą. Niemniej dowiedz się, proszę, co się stało.

– Jasne, szefie. Za pięć minut wyjeżdżam!

Murray stanął przed budynkiem posterunku i nie mógł wyjść ze zdziwienia. W głowie znów słyszał szept starego Indianina. Ze wstydu nie potrafił tego powiedzieć szefowi, ale słowa Danny'ego nad wyraz dokładnie pokrywały się z tym, co usłyszał w lepiance Yakshita.

Morderczyni Tatiana Zharkova była kochanką naszego pisarza i doprowadziła do rozpadu jego związku z Barbarą.

Tą duszą kieruje podwójna chęć zemsty: odnaleźć i zabić swoich dawnych oprawców… Wkroczyć w czyjeś życie, zburzyć miłosny związek i osamotnić, bo ta istota również kiedyś została osamotniona.

Dwadzieścia minut później wysiadał już z samochodu. Mróz zelżał tak szybko, jak się pojawił tamtego pamiętnego dnia. Richard do teraz nie mógł zrozumieć, skąd ta nagła anomalia pogodowa w tak spokojnym i przewidywalnym mieście. Niewysoki budynek z czerwonej cegły nie grzeszył wielkością i nowoczesnością, ale wystarczył na stawienie czoła chorobom i dolegliwościom mieszkańców Anterrey. W sytuacjach, gdy szpital nie mógłby pomóc, pozostawały tylko modlitwy i oczekiwanie na cud, ewentualnie lecznicze ręce szamana Yakshita.

Murray nigdy wcześniej nie był w miejscowej kostnicy, bo nie miał powodu. Śmierć z przyczyn naturalnych, do niedawna stanowiących sto procent zgonów w Anterrey, nie była powodem do odwiedzin znajomego lekarza medycyny sądowej w zacisznej trupiarni. Przeważnie nie było też potrzeby przeprowadzania autopsji, jednak Barry Janssen chętnie podejmował się otwierania każdego ciała. Można było podejrzewać, że temu staremu wdowcowi sprawiało to czystą przyjemność. On natomiast tłumaczył się wykonywaniem swojej pracy i chęcią podtrzymania umiejętności. W powszechnej opinii rzetelnie wykonywał swoje obowiązki, a tajemnicą poliszynela była opowieść dwójki asystentów, według których dłoń nie zadrżała mu nawet przy rozkrajaniu zmarłej przed laty żony.

– Zapraszam do środka! – Uśmiechnięty Barry w białym kitlu tryskał optymizmem, zapraszając w progi kostnicy.

– Dzień dobry panu. – Murray wyciągnął rękę na przywitanie. – Tak jak obiecałem, teraz możemy w końcu podać sobie dłonie.

– Nie byłbym taki pewien! – Barry trzymał dłoń Murraya w mocnym uścisku. Po chwili zaśmiał się złowieszczo i rozluźnił chwyt. – Żartuję, oczywiście. Obie sekcje robiłem rano, więc rączki mam czyściutkie.

– To co my tu dzisiaj mamy? – Richard kiwał głową w żartobliwej dezaprobacie.

– Dwie bezdomne pacjentki i ekspedientka z piekarni – rzekł beznamiętnie, przyprawiając Richarda o ciarki na plecach. – Przyjechały tu wczoraj rano, prosto z lasu. Wszystkie zmarły z wyziębienia podczas tej strasznie mroźnej nocy.

Na środku pokoju, na przenośnych metalowych łóżkach leżały trzy ciała przykryte białymi prześcieradłami. Z tyłu osiem pojedynczych komór chłodniczych wbudowanych w ścianę i zabezpieczonych grubymi metalowymi drzwiami z ciężką dźwignią.

– Ekspedientka też była w lesie? – zdziwił się Richard.

– Zgadza się. Właścicielka piekarni znalazła ciała po tym, jak jej pracownica nie otworzyła lokalu na czas. Wiedziała, że ta często nosiła do lasu jedzenie bezdomnym, by im jakoś pomóc. Podobno były ze sobą zżyte. Być może zasnęła razem z nimi albo opadła z sił, próbując je ratować. Nie wiadomo. Jak przyjechał ambulans, można było jedynie stwierdzić zgon.

– To rzeczywiście bardzo smutne. – Murray odkrył ciało po lewej. *Viki*. Leżała spokojnie, pogrążona w wiecznym śnie. Rozpoznał bladą twarz kobiety w chuście; w nagłym napływie wspomnień wciąż siedziała w dżinsach i męskiej koszuli, wciśnięta pod dach szałasu. Krótkie blond włosy komponowały się z kolorem śmiertelnie bladego oblicza. Długie, precyzyjne cięcie w kształcie litery Y zaczynało się pod mostkiem i ciągnęło aż do pępka. – Przekażę to szefowi. Ważne, że śmierć nie ma znamion udziału osób trzecich. Nic podejrzanego!

– Podejrzanego nie! – wtrącił się Barry; jego dłonie spoczywały w kieszeniach białego kitla. – Ale coś niezwykle dziwnego, z czym nie spotkałem się nigdy wcześniej.

– A co to takiego? – Murray zerknął na niego w zaskoczeniu.

– Proszę spojrzeć na prawy bok zmarłej. Dostrzeże pan małe czerwone znamię w kształcie nierównego kółka. – Barry mówił do detektywa, podczas

gdy ten przyglądał się prawej stronie ciała denatki. – Powie pan, że to zwykłe znamię, nic nadzwyczajnego. Ale proszę podejść do pozostałych ciał i sprawdzić to samo miejsce.

Słowa Janssena były co najmniej zastanawiające. Detektyw podszedł do środkowego łóżka i odkrył prześcieradło. Czarnowłosa Ana z takim samym cięciem na klatce piersiowej leżała nieruchomo; za życia wygadana, teraz śmierć zupełnie odebrała jej mowę. Czerwona plamka na żebrach wyróżniała się na śnieżnobiałej skórze; podobny rozmiar, niemal to samo miejsce. Ostatnie ciało, należące do rudowłosej kobiety z piegami na twarzy, również prezentowało prawie taki sam ślad.

– Pewnie siostry albo kuzynki, ale rzeczywiście to dość niezwykłe, nawet jak na osoby blisko ze sobą spokrewnione. – Richard przejechał dłonią po zaroście.

– Panie Murray, przed godziną przyszły wyniki. Te kobiety na pewno nie były ze sobą spokrewnione. – Głos Barry'ego brzmiał bardzo poważnie. – Trzy zupełnie odmienne DNA. Genetyka nie kłamie! Jak żyję, nie spotkałem się jeszcze z tak niezwykłym przypadkiem. Trzy znamiona niemal w tym samym kształcie, w tym samym miejscu u trzech obcych kobiet. I jeszcze do tego dobrze się znały!

Richard stał przy ostatnim łóżku zupełnie skonfundowany. W głosie Barry'ego przebijał się ton starego Indianina. Pamięć, a może tym razem niepojęta moc czy nadprzyrodzona siła, momentalnie przywiodła mu na myśl słowa Yakshita. To, co w tamtej chwili uznał za omamy obłąkanego człowieka, teraz nabierało nowego znaczenia.

Dusze migrują z życia do życia i spotykają się w innych wcieleniach. Występują w innej roli i powinowactwie, ale i tak na siebie natrafią, choćby na chwilę… Plama na skórze bywa wskazówką, jak ciało kiedyś umarło…

Zapadła noc. Ognisko w lepiance strzelało w najlepsze. Kury

w rozpadającym się kurniku gdakały cicho w błogim spokoju. Stary Indianin zaciągał się fajką i spoglądał gdzieś w niebo. Nadludzka wiedza i przeczucie utrzymywały go w przekonaniu, że najgorsze już minęło. Ale nie mógł podzielić się swą radością z innymi. Nie tylko dlatego, że nie miał przyjaciół. Nadwrażliwa percepcja Yakshita była darem niezrozumianym przez zwykłych śmiertelników. Podniósł się z ziemi. Pozornie emanował spokojem, ale coś było nie tak. Szósty zmysł kazał mu zachować czujność. Wracając do lepianki, wyszeptał prorocze słowa:

– Kolejne zło kroczy ku Anterrey. Spokój znów ustąpi. Wróci strach i cierpienie.

Uśpienie powracało nad rozległe pola, niewzruszone drzewa bujały się w lekkich podmuchach wiatru, a ptaki ścięło kojące znużenie. Światła w domach stopniowo znikały w mroku, powietrze na ulicach nasiąkało błogą obojętnością, a miasto zapadało w nocny letarg. Mieścina na końcu świata wracała do codziennej apatii. Stagnacja znów zagościła w starym, ponurym Anterrey. Jedynie niespokojne psy i koty, wiedzione wyczulonym instynktem, ułożyły się do snu z jednym okiem na straży.

kontakt z autorem: danradziejewski@gmail.com

Miasteczko Anterrey. Znamię
Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-8147-588-4

© Daniel Radziejewski i Wydawnictwo Novae Res 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Wioletta Cyrulik
KOREKTA: Katarzyna Kusojć
OKŁADKA: Paulina Radomska-Skierkowska
KONWERSJA DO EPUB/MOBI: Inkpad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES
ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia
tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, http://novaeres.pl

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.